

KULTURA KOSZALIŃSKA

aLmanach 2007



KULTURA KOSZALIŃSKA
aLmanach
2007

Koszalin 2008

„Kultura Koszalińska. Almanach 2007”
Wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina

Kolegium Redakcyjne:
Anna Mosiewicz - przewodnicząca
członkowie:
Maria Słowik-Tworke
Anna Marcinek-Drozdalska
Andrzej Ciesielski

Małgorzata Kołowska – redaktor prowadzący

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 094 348 15 61

Opracowanie graficzne, druk:
Wydawnictwo „Alta Press”
ul. Zwycięstwa 168
75-612 Koszalin
tel./fax 094 346 51 77
www.altapress.pl

Kolegium Redakcyjne dziękuje koszalińskim
instytucjom kultury za udostępnienie fotografii
z zasobów archiwalnych

Projekt okładki:
Arkadiusz Docz

ISSN 1896-5504



Szanowni Państwo,

Jest mi niezwykle miło, że już po raz trzeci trzymacie Państwo w ręku Almanach „Kultura Koszalińska”. Jeszcze nie tak dawno z uwagą i z pewną dozą niepokoju patrzyłem na pracę zespołu fachowców skupionych wokół Rady Kultury przy Prezydencie Miasta, którą powołałem w 2005 roku. Uwagą, bo światło dzienne ujrzało nowe wydawnictwo. Nowe nie tylko w treści, ale także w formie. Z dozą niepokoju, bo nowe oznacza kilka pytań: czy pomysł jest udany? Czy odniesie sukces? Czy warto się w niego angażować? Dziś na Almanach dalej patrzę uważnie, ale niepokój zniknął. Dwa poprzednie numery przekonały mnie bowiem, że o losy wydawnictwa mogę być spokojny. Z jednej strony czuwa nad nim profesjonalny zespół ludzi znających kulturę od przysłowiowej podszewki, z drugiej zaś koszalinianie związani z greckimi muzami wciąż zadziwiają bogactwem swoich pomysłów, myśli, ekspresji i wiedzy. To sprawia, że o rozwój kultury mogę być spokojny.

W pierwszym wydaniu Almanachu napisałem o najmłodszych mieszkańcach naszego grodu m.in. „nasza przyszłość, która już teraz zazdrośnie patrzy na sukcesy seniorów i obiecuje sobie w duchu, że będzie lepsza, bardziej uznana od swoich poprzedników (miłościwie nam obecnie panujących!). Ot, przywilej młodości.” I długo nie musiałem na ziszczenie się tych zapowiedzi czekać. Do drzwi, za który-

mi czeka sława, zaczynają skutecznie dobijać się chociażby młodzieńki Marta Kowalczyk i Daria Zawiałow, a Koszalin za sprawą Diany Staniszewskiej, a ostatnio Pauliny Bagińskiej zostaje postrzegany jako potentat tańca nowoczesnego.

Ale nim młodym uda się zdobyć szturmem pozycje zajęte przez dotychczasowych mieszkańców kulturalnego Olimpu, to właśnie ci ostatni wciąż miłościwie nam królują. I to królują w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Z bogactwem koszalińskiej kultury mogli Państwo zapoznawać się na co dzień, a Almanach pozwoli doświadczenia i wrażenia nie tylko usystematyzować, ale także przeżyć raz jeszcze. Sięgnijmy więc pamięcią do festiwalu filmowych „Młodzi i Film” oraz „Integracja Ty i Ja”, licznych koncertów muzyki poważnej i jazzu, ciekawych spektakli teatralnych z monodramem „...syn” na czele, wspomnijmy literaturę, która wyszła spod pióra koszalińskich twórców, zanurzmy się w otchłan wyrazu plastycznych impresji...

Jeżeli czują Państwo już tego wszechogarniającego ducha kultury, który unosi się nad naszym miastem i wlewa się do naszych dusz, nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić do lektury kolejnego tomu Almanachu.

Mirosław Mikietyński
Prezydent Koszalina

Z radością oddajemy do rąk Państwa trzeci już almanach z cyklu „Kultura Koszalińska”, tym razem opatrzony datą 2007. Cieszy fakt, iż ta inicjatywa może być kontynuowana dzięki życzliwości Prezydenta Miasta Koszalina – Mirosława Mikietyńskiego. Wpisujemy się już w kulturalną tradycję, stając się istotnym elementem koszalińskiej rzeczywistości. Mamy nadzieję, że w przyszłości nadal będziemy dokumentować na łamach naszej publikacji wartościowe, kulturotwórcze działania, a także przedstawiać ludzi, dzięki którym Koszalin staje się znaczącym miejscem na mapie kulturalnej Polski i Europy.

Podobnie jak w latach ubiegłych, tak i teraz staramy się utrwalić na kartach „Almanachu” najbardziej znaczące wydarzenia, tworzące w 2007 roku pejzaż życia artystycznego, kulturalnego i intelektualnego naszego miasta. O tym, jak bardzo był on bogaty i różnorodny świadczą interesujące inicjatywy realizowane w sferze muzyki, teatru, literatury, sztuki i architektury oraz filmu. I tym razem nie zabrakło więc tematów, przeciwnie, konieczne było dokonywanie wyborów, które z tych zjawisk zostaną opisane w „Almanachu”. Rezultat naszych przemyśleń przedstawiamy Państwu z nadzieją, iż uwzględnione w publikacji wydarzenia należą do najbardziej znaczących. Z radością zauważamy również, że bogactwo tematów przekłada się na szerokie spektrum osób, prezentujących na łamach „Almanachu” swoje relacje.

Obok różnorodności podejmowanych w Koszalinie inicjatyw artystycznych, źródłem wielkiej satysfakcji są również sukcesy mieszkańców naszego miasta odnoszone w Polsce, w Europie i na świecie. W ubiegłym roku zaznaczyliśmy swoją obecność nawet za oceanem!

To nie tylko promocja Koszalina, ale również nasz wspólny wkład w kreowanie europejskiej i światowej kultury. Utrwalone na kartach „Almanachu” kulturotwórcze działania nobilitują zarówno ich twórców, jak i Koszalin, który stał się miejscem zdarzeń przekraczających granice nie tylko naszego miasta, ale także kraju i kontynentu.

Zjawiska kulturalne, z natury swej kruche i ulotne, często giną w chaosie współczesności. Tym bardziej zasługują na nobilitację i uznanie. W tym kontekście misja naszej publikacji wydaje się oczywista, wierzymy bowiem, że ocalone od zapomnienia zjawiska kulturalne staną się częścią naszej wspólnej historii.

Prasa codzienna w pogoni za sensacyjnymi newsami nie zawsze docenia uniwersalny, mądry dyskurs, jaki – poprzez swoje dzieła – artyści prowadzą z odbiorcami. A przecież to właśnie artyści i kreatorzy kultury, ludzie utalentowani i obdarzeni wielką wrażliwością sprawiają, że możemy żyć pięknie, mądrzej, bardziej intensywnie i bardziej twórczo. Przestrzeń kulturalnego dialogu wypełniona twórczymi refleksjami i intelektualnymi poszukiwaniami jest wartością uniwersalną i bezcenną. Kreatorom unikatowych zjawisk artystycznych życzy więc wielu dalszych oryginalnych pomysłów, a uczestnikom życia kulturalnego – niepowtarzalnych wrażeń i głębokich przemyśleń generujących nowe spojrzenie na rzeczywistość.

Bogdan Gutkowski
przewodniczący Rady Kultury

Trzecią już edycję almanachu „Kultura Koszalińska” zdominował jeden z dość nośnych społecznie tematów, jakim jest współczesna plastyka, przez niektórych – chyba na wyrost – zwana sztuką. Temat ten gościł na łamach naszych lokalnych gazet i w innych mediach, a wywołany został billboardem ze zdjęciami znanych w Polsce postaci i antysemitycznym hasłem. Jak się okazało sprawcą zamieszczenia był niejaki Peter Fuss, postać chyba wymyślona po to, aby na nią spadało – jak na biblijnego kozła ofiarnego – wszelkie odium. Plansa miała wymowę *à rebours*, a więc chciała zwrócić uwagę na istniejący antysemityzm, dziwne tylko, że ci prowincjonalni koszalinianie, którzy przed trzema laty odnowili dawny żydowski cmentarz, nie potrafili zrozumieć wymowy owej – celowej, jak się można domyślać – prowokacji.

Zainicjowana przez Muzeum w Koszalinie akcja, także związana ze „street artem”, bardzo modnym wśród nazywających siebie awangardą artystów, została eufemistycznie nazwana „Kocham Koszalin”. Na elewacji za-bytkowego, eklektycznego pałacu młynarzy pojawiły się więc trzy wielkie fotografie, z których tylko jedna – archiwalna – miała swoją dramaturgię i wymowę.

Zorganizowana przez redakcję „Almanachu” i Galerię „Scena” dyskusja, na którą zaproszono „street artystów” z innych miast – Gdańska, Poznania i Torunia, wzbudziła zainteresowanie nie tylko miejscowego środowiska artystów, ale także prezydenta naszego miasta. Materiały z tej dyskusji zostały zamieszczone w „Almanachu”, są one bowiem wykładnią punktu widzenia obu stron – twórców i odbiorców ich sztuki. Artyści, którzy nazywają sami siebie „awangardą” poszukują innych odbiorców, spodziewając się natychmiastowej reak-

cji, posługują się zatem socjotechniką – czy ona także jest sztuką? Spodziewają się zaskoczenia odbiorców swych działań – *happenin-gów* i *performance’ów*, świadomie odchodząc od „rytuału wernisaży” (cytat z jednej z wypowiedzi). Jeden z poznańskich artystów wyraził się nawet, że „należy odzyskać przestrzeń publiczną” – a kiedy ona należała do artystów? Czy w czasach Toulous – Lautreca, gdy wieszła swe słynne plakaty? Czy w okresie buntu młodzieży w latach 1968/69, gdy na paryskich murach zawisły napisy „interdit d’interdire”, co w wolnym przekładzie oznacza „zabrania się zabraniać”? Czy w okresie stanu wojennego, gdy opozycjoniści pisali „wrona skona”? Czy też teraz, od kilku lat, gdy z każdego wolnego miejsca na murach, słupach i parkanach bombardują nas reklamy proszków, samochodów i kredytów, a na wielu pięknych elewacjach malują swe graffiti, czasem nawet niezłe, domorodni „street artyści”? Czy w całym tym reklamowym zgiełku, nadmiarze bodźców potrzebne nam billboardy, które będą nam przypominać o naszym antysemityzmie, drobnomieszczaństwie oraz innych prawdziwych i wymyślonych wadach? A czy awangardowi artyści, którzy ubolewają, że edukacja plastyczna społeczeństwa kończy się „na Kossakach i Malczewskich” (cytat!) zapytali nas o zdanie? Czy my chcemy takiej sztuki? Jest na nią zapotrzebowanie, czy to tylko artyści myślą, że jest? A może uszczęśliwiają nas na siłę? Może lubimy wernisaże i – jak pisze w swym świetnym materiale Marek Wawryn – cenimy „kontemplację i medytację nad dziełem sztuki, co nie jest niczym anachronicznym”? Może nie chcemy „niewolnictwa wizualnego, arbitralnego i aroganckiego narzucania swego komunikatu”? To są pytania, których nie zadano artystom pod-

czas dyskusji – może teraz zechcą się nad nimi zastanowić?

Koszalińskie środowisko artystyczne zawsze emanowało na całą społeczność miasta – działające od 1947 roku muzeum było jednym z inicjatorów Spotkań Artystów i Teoretyków Sztuki w Osiekach, od kilkudziesięciu lat dzieci i dorośli kształcą artystycznie ognisko plastyczne, jest Zespół Szkół Plastycznych i wydział wzornictwa na wyższej uczelni. Zlikwidowano Biuro Wystaw Artystycznych, jednak w to miejsce powstało kilka prywatnych galerii, w tym jedna na niezłym, krajowym poziomie. Przed piętnastu laty artyści zrzeszeni w koszalińsko – słupskim ZPAP zaczęli organizować w Osiekach plenery malarskie, w których biorą udział malarze nie tylko z Polski, ale także i zza granicy. Dwugłos o tych plenerach – krytyczny ze strony „nowej awangardy” i drugi, broniący tej idei, napisany przez jedną z orga-

nizaterek – jest dopełnieniem szerokiej dyskusji o kondycji współczesnej sztuki i jej miejscu w naszym zabieganym życiu.

„Almanach” to podsumowanie najciekawszych zjawisk w życiu kulturalnym naszego miasta, jakie wydarzyły się w ubiegłym roku. Było ich tyle, że redakcja miała prawdziwy kłopot z ich wyborem, mając do dyspozycji kilka tylko arkuszy wydawniczych. Cały zespół redakcyjny wyraża niniejszym nadzieję, że nie pominą najważniejszych wydarzeń, a ich wybór przypomni wszystkim zainteresowanym to, co przysporzyło chwały miastu, satysfakcji twórcom, radości widzom.

Anna Mosiewicz
przewodnicząca Kolegium Redakcyjnego

MUZYKA



Filharmonia Koszalińska w roku 2007

Rok kontynuacji ze światłem w tunelu

Rok 2007 był rokiem kontynuacji, pracowitej, ambitnej, ale tylko kontynuacji. Filharmonia zduszona, przez 52 lata o statusie sublokatora, bez własnej sali koncertowej – nie ma możliwości rozwojowych, co skazuje ją na trwanie. Możliwie dobre trwanie - i to Filharmonia Koszalińska doskonale robi. Jednak rok ten jest o tyle różny od poprzednich, że zapłonęło światło – jeśli już nie światło – nadziei na zmianę, na budowę prawdziwej filharmonii, na pracę rozwojową, na realizację pomysłów twórczych, na uczynienie z Filharmonii Koszalińskiej silnego ośrodka kultury promieniującego na całe Pomorze, liczącego się w całym kraju, a nade wszystko obdarzającego harmonią i pięknem własnych mieszkańców. Ale – jak na razie – Anno Domini 2007 było tak:

Czas karnawału (od 4 stycznia do 2 lutego) wypełniła filharmonia serią pięciu cotygodniowych programów, z których każdy był wykony-

wany dwukrotnie, a jeden z nich - z **Grażyną Brodzińską** - nawet czterokrotnie. Wysłuchaliśmy programów rozmaitych: brzmiały operetkowe oraz musicalowe arie i duety (**Ruben i Gabriela Silwowie, Adam Zdunikowski**), był jazz grany przez **Trio Andrzeja Jagodzińskiego** „podlany sosem” koszalińskich smyczków, **Ryszard Rynkowski**, który dokumentnie wykorzystał swą popularność śpiewem i słowem (przydługim), i wreszcie **Adam Sztaba** – młody muzyk z Koszalina, silnie zaznaczający się w lekkim życiu muzycznym (za sprawą telewizji); w pierwszej części koszalińskiego koncertu akompaniował własnymi instrumentacjami delikatnym interpretacją **Haliny Frąckowiak**, w drugiej podbił publiczność – jako kompozytor, i jako dyrygent - brawurowo prowadząc orkiestrę przez rytmiczne szaleństwa swego baletu *Opętaniec*, żywiołowej i tryskającej inwencją muzyki.

Po tygodniowym odpoczynku orkiestry **Ruben Silva** wprowadził słuchaczy od razu na głębokie wody symfoniki monumentalnej w wydaniu Piotra Czajkowskiego (16 lutego): *Koncert fortepianowy b-moll* zagrał **Rafał Łuszczewski**, przedstawiając wizję dzieła skoncentrowaną na pięknościach muzycznych – nic z pompacyjnego torturowania strun, choć nie brakło żywiołowej wirtuozerii; towarzyszenie orkiestry bardzo dobre. Świeżą i ożywczą koncepcję przyjęto entuzjastycznie. Druga część wieczoru należała do Rubena Silvy – prowadził dzieło-legendę: *VI symfonię „Patetyczną”*; wielkie wyzwanie dla każdego dyrygenta. Niezwykła wizja autora łączy tu walory muzyczne z ogromną skalą ekspresji: od rezygnacji do uniesienia, od tkliwości do dramatyzmu, od powagi do groteski... Dyrygent, znajdując dla tych skrajności złoty środek umiaru, dał wizję dzieła czytelną, artystycznie dojrzałą.

Następny program (23 lutego) ozdobiła młoda skrzypaczka, **Anna Maria Stańkiewicz**. Dwa miesiące po świetnych występach na Konkursie im. Wieniawskiego wykonała cały cykl *Cztery pory roku* Antonio Vivaldiego – rysowała owe

obrazy z niezwykłą sugestywnością i subtelnością, a zarazem wielkim temperamentem, biegłością – i prostotą. Dyrygował **Adam Klocek**, znany dotąd jako świetny wiolonczelista. W Vivaldim starannie towarzyszył solistce, choć mocno przesadzał z emocją w orkiestrowych ritornelach. Na koszaliński debiut dyrygencki wybrał *VII symfonię* Beethovena, dzieło bardzo wymagające – przede wszystkim w warstwie stylistyki. Z jej charakterystycznych cech w ujęciu Adama Klocka pozostała tylko żywiołowość. Przesadna, rozbuchana gestykulacja rozmywała rysunek przebiegu, a nade wszystko jego dyscyplinę – jaka jest istotą beethovenowskiej ekspresji. Dyrygował z radością, orkiestra grała z radością, także słuchali słuchacze, tylko gdzieś w tym wszystkim zagubił się Beethoven.

Program 9 marca zawierał Johanna Brahmsa *Koncert podwójny na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę* oraz *III symfonię*. *Koncert* wymaga dwóch doskonałych solistów – i tacy właśnie: dojrzały, doskonali, zjednoczeni, znaleźli się na naszej estradzie: **Kaja Danczowska** (skrzypce) i **Tomasz Strahl** (wiolonczela). Dali interpretacyjną kreację wysokiej miary – i stała się rzecz niezwykła: tę muzykę dla wytrawnych znawców trzeba było bisować (brawa dla koszalińskich słuchaczy!). Także świetna była *III Symfonia* – **Ruben Silva** wyważył jej powściągliwą ekspresję z domagającą się swych praw romantyczną pasją (III część!) i liryką, całość biegła w dobrych tempach – wartko i naturalnie, bez nadnaturalnej powagi, w jaką często się to dzieło ubiera – i przyjęcie znowu owacyjne.

Cztery piękne dzieła zestawione razem nie muszą tworzyć pięknej całości – jak się okazało na koncercie prowadzonym przez **Andrzeja Straszynskiego** (16 marca). *Popołudnie fauna* Claude'a Debussy'ego w sąsiedztwie *Koncertu skrzypcowego* Czajkowskiego może skutkować koszmarnymi snami i wrażliwego melomana i dyskorfem zgwalczonej orkiestry, zaś *Kaprys hiszpański* Rimskiego-Korsakowa po szlachetnych frazach *Arleżjanki* Bizeta to jak pizza po wykwinnym deserze. Zarzuty powyższe tra-

ciłyby swą ostrość, gdyby wykonania były znakomite, ale nie były. Jedynie **Konstanty Andrzej Kulka** w *Koncercie* Czajkowskiego jak zawsze doskonały: interpretacja dojrzała, bez egzaltacji, wirtuozeria najwyższej próby. Natomiast *Popołudnie fauna* zaledwie odegrane, *Arleżjankę* (I suita) i *Kaprys hiszpański* dyrygent uczynił bardzo szybkimi, ale nie uczynił przebiegu zgodnym. Zespół zniósł dzielnie tę nonszalancję, wykazując doświadczenie, biegłość – i wyrozumiałość. Publiczność jednak była zachwycona, co w jakimś stopniu rozgrzeszało dyrygenta i, ostatecznie, wyjeżdżał chyba z tarczą.

Rok Karola Szymanowskiego uczczono koncertem w katedrze (30 marca), prezentując dobrze dobrany program: kantatę *Demeter* oraz *Litanie do Marii Panny* i, oczywiście, *Stabat Mater*. Wykonanie tych dzieł powierzono, obok orkiestry, chórowi **Akademii Pomorskiej** w Słupsku – świetnie przygotowanemu przez **Beatę Wróblewską**, oraz trojgu solistom: **Sylwii Krzysiek** (sopran), **Małgorzacie Godlewskiej** (alt, także solo w *Demeter*, świetnie wykonane) i barytonowi **Arturowi Rucińskiemu**. Niestety, walory wokalne całej trójki solistów daleko przewyższały ich sztukę dykcji, z pięknego polskiego tłumaczenia *Stabat Mater*, które tak fascynowało Szymanowskiego, niewiele zostawało. Sytuację pogarszały jeszcze zbyt głośne – w akustyce kościoła – zespoły chóru i orkiestry. Całość prowadził bardzo dobrze **Paweł Przytock**: interpretacje trafne, naturalne, choć finałowe *Andante tranquillissimo* w *Stabat Mater* było i za szybkie i za głośne – Szymanowski domaga się tu *pianissima*. W sumie jednak owe mankamenty nie ważyły na artystycznej wartości gorąco przyjętego koncertu.

Po świątecznej przerwie filharmonia dała wieczór portugalski, co było repertuarowym novum (20 kwietnia). To echa występu na koszalińskim Festiwalu Organowym (w 2005) portugalskiego chóru *Orfeao de Leiria*, i nawiązanych wówczas kontaktów. Dyrygent chóru, **Augusto Mesquita**, przywiózł cztery rodzime dzieła z doby oświecenia – utwory bardzo dobre, peł-

ne inwencji, lekkości i klasycznego uroku. Jako dyrygent chóralny czuł się nieco skrupowany w klasycznej dyscyplinie tych dzieł, ale, znajdując w orkiestrze czujnego i starannego partnera, nadał im trafny kształt oraz charakter. W ogóle cały program tego wieczoru był reperturową premierą, bowiem jedyny nie portugalski utwór, *Koncert skrzypcowy d-moll* Gabriela Fauré, także dzieło nieznanne, wykonał po raz pierwszy w Polsce koncertmistrz koszalińskiej orkiestry, **Natan Dondalski**. Znakomity muzyk grał doskonale, wydobywając wszystkie jego piękności w narracji naturalnej, pełnej szlachetnego wyrazu i poezji – w oplotach barwnej i wyrazistej wirtuozerii. Publiczność wszystkie te, nowe dla siebie, utwory przyjmowała z otwartością i sympatią.

W następnym programie (27 kwietnia) estra-

da filharmonii awansowała do roli sceny: zrealizowano na niej *Toskę* Pucciniego – w pełnej postaci muzycznej, obsadowej i scenicznej. Pomysłowo wykorzystana przestrzeń wypełniła się orkiestrą, scenografią oraz obsadą *Toski* z chórami (chóry słupskiej Akademii Pomorskiej oraz dziecięce z Koszalina: MOK-u i katedralny *Cantate Deo*, jakie zdały sceniczny egzamin na piątkę). Tytułową rolę kreowała **Gabriela Silva** – siła jej dramatyzmu, wokalna i aktorska maestria, poruszająca prawdą wyrazu, były najwyższej miary; rolę barona Scarpia znakomicie prowadził i śpiewał **Przemysław Firek**; sławne arie Cavaradossiego wykonał świetnie swobodny i wyrazisty scenicznie **Edward Kulczyk**; elementy humoru wprowadzał **Ryszard Smęda** w kapitalnie zagranej, charakterystycznej roli zakrystiana. Protagonistom towarzyszyli



„Tosca” w Filharmonii Koszalińskiej. W roli tytułowej wystąpiła Gabriela Orłowska de Silva, jako Cavaradossi wystąpił Edward Kulczyk - oboje na zdjęciu

fot. Paweł Mielcarek

w ważnych epizodach równie świetni partnerzy: **Marcin Naruszewicz** (Spoletta), **Jacek Greszta** (Angelotti, dozorca), **Mateusz Teliński** (Sciarrone), **Katarzyna Szafarska** (Pastuszek). Świetnie grała i brzmiała orkiestra prowadzona przez **Rubena Silwę** – pomysłodawcę tego śmiałego projektu; artysta pokazał tu wielką klasę jako dyrygent operowy. Zdziwiwały logiczne sytuacje sceniczne uporządkowane przez samych śpiewaków (wykonawcy mieli tylko jedną próbę!). Była to świetna realizacja, zaś w życiu kulturalnym Koszalina wydarzenie niezwykle.

Po dramatycznej historii Toski na estradę wróciła symfoniczna normalność (11 maja). Dobrze nam znany, z najlepszej strony, wiedeński dyrygent **Władimir Kiradżijew**, poprowadził program ułożony bardzo ciekawie. Rozpoczął suitą z muzyki Arama Chaczaturiana do

Maskarady Lermontowa – od początkowego walca wprowadzającego słuchaczy w urzekającą, romantyczny klimat; utwór słusznie przypomniany. Świetnie zabrzmiał po Chaczaturianie arkadyjski w nastroju *Koncert obojowy* Ryszarda Straussa, który fantastycznie zagrał **Mariusz Pędziałek**. Po tych pogodnych dziełach Władimir Kiradżijew pokazał pełnię swej sztuki w utworze poważnym, należącym do szczytowych osiągnięć symfoniki w ogóle: *VII symfonii* Antona Dworzaka. Istnieje opinia, że to dzieło wprawdzie doskonałe, ale mało atrakcyjne. Dyrygent zadał temu kłam, przedstawiając je jako barwne, urzekające urodą i bogactwem myśli, o wielkiej sile wyrazu – co uwierzytelniła publiczność swym niezwykle gorącym przyjęciem.

W tydzień po bardzo udanym i bogatym repertuarowo popisie uczniów Zespołu Szkół



„Tosca” dwukrotnie rozbrzmiewała w Koszalinie:
27 kwietnia w sali koncertowej, 7 lipca - w amfiteatrze

fot. Paweł Mielcarek

Muzycznych (18 maja) znów wielka symfonia (25 maja): *III koncert fortepianowy* Sergiusza Rachmaninowa oraz *IV symfonia* Brahmsa. Kulminacją wieczoru była na początku – dzięki wspólnemu wykonaniu *Koncertu* przez **Adama Wodnickiego**. Artystę pamiętamy z wykonania podobnie monumentalnych dzieł: Koncertu b-moll Czajkowskiego i Koncertu B-dur Brahmsa. Tam górowała pianistka, tu stworzył kreację fascynującą zgłębianiem artystycznych i uczuciowych pokładów muzyki Rachmaninowa, nie zapominając jednak o pianistycie. Udział w tym miała orkiestra prowadzona przez **Tadeusza Karolaka** w dobrej koincydencji z solistą. Natomiast *IV symfonia* Brahmsa nie wzbogaciła konta dyrygenta, nie miał chyba czasu na jej opanowanie pamięciowe; zbyt zaafektowany partyturą przedstawił jedynie wstępną lekturę dzieła – z nietkniętą, a tak istotną warstwą muzycznych imponderabiliów. Muzyka cudownego dzieła jakoś się broniła, ale sześćdziesięciu starannie grających muzyków straciło okazję do wielkiego przeżycia – nie mówiąc już o słuchaczach.

Program koncertu, jaki wypadł akurat 1 czerwca, nie mógł nie mieć akcentów dziecięcych, była więc suita z *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego, był także *Karnawał zwierząt* Camila Saint-Saënsa, z jego popularnym *Łabędziem* subtelnie zagranym przez wiolonczelistkę orkiestry, **Polę Kapczyńską**; eksponowane w całym utworze partie dwóch fortepianów brawurowo wykonały uczennice II kl. koszalińskiego Liceum Muzycznego: **Aleksandra Baldys** i **Katarzyna Gołofit** – muzykalne, pełne swady, doskonale za sobą zgrane. *Piotruś i Wilk* to dzieło trzeciego w tym programie twórcy z najwyższej półki – Sergiusza Prokofiewa: baśń muzyczna dla dzieci z elementami edukacji orkiestrowej. Tu zaznaczył się, obok orkiestry, **Andrzej Zborowski**, który świetnie prowadził warstwę narracyjną, ujawniając przy okazji talenty aktorskie. Zaś wyobraźni słuchaczy pomagał mały teatrzyk lalkowy, odgrywający symulanicznie scenki z tej historii (laleczki ożywiali

aktor **Wojciech Broda-Żurawski** – oraz... **Wanda Vogelsinger**, kierownik biura koncertowego filharmonii). Stronę muzyczną całego niezwykle udanego wieczoru firmował dyrygent **Tadeusz Wojciechowski**, prowadząc zespół starannie i osiagając jego staranną grę.

W swej bogatej artystycznej działalności zdarzyło się **Rubenowi Silvie** prowadzić w katowickiej NOSPR prawykonanie, a następnie nagranie na CD *Koncertu skrzypcowego* hinduskiego kompozytora **Shirisha Korde** – z rewelacyjną solistką, **Joanną Kurkowicz**, koncertmistrzem orkiestry Filharmonii Bostońskiej. Tę niezwykłą kompozycję, oraz solistkę, zapragnął pokazać na koszalińskiej estradzie – i uczynił to 8 czerwca, na ostatnim koncercie sezonu 2006/2007. Solistka podbiła widownię swą sztuką, dźwiękiem instrumentu (*Guarnerius* 1699), fantastycznym wyczuciem orientalnej ornamentyki, olśniewającą techniką i żywiołowym temperamentem – a także twórczą inwencją we własnych kadencjach. Partnerował jej wirtuoz hinduskiej *tabli* (dwa niezwykle bębenki), **Samir Chatterjee**, który rytmami subtelnych dźwięków towarzyszył przebiegowi muzyki, nadając mu specyficzny koloryt. Nad nietypową całością niezawodnie czuwał Ruben Silva. Fascynujące dzieło, jak i jego twórcę (obecnego na sali), przyjęto entuzjastycznie. Na wieczorze tym zabrzmiały również rosyjskie dzieła inspirowane Wschodem: *W stepach Azji Środkowej* Aleksandra Borodina (wykonanie blade) oraz *Szeherazada* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, grana wyraziście, efektownie – błyskotliwy popis orkiestry, jej solistów i dyrygenta.

Pierwszy w nowym, 52. sezonie, występ orkiestry miał miejsce na Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku (12 września), **koncert inauguracyjny** zaś odbył się aż 28 września. Program zawierał *Koncert fortepianowy a-moll* Roberta Schumanna oraz sławną orkiestrową suitę *Planety* Gustava Holsta. Przed wyprawą do sfer astralnych zabrzmiała ziemiska i najgłębiej ludzka muzyka Schumanna. Młodzieńczo, acz nie początkujący pianista **Piotr Różański** grał

ją bardzo muzykalnie, z techniczną swobodą i brawurą, choć z uśpionym jeszcze zmysłem romantycznej ekspresji. Po przerwie, w niezwykłym świetlnym entourage'u, muzycy pod batutą **Rubena Silvy** sugestywnie przedstawili cechy siedmiu planet w muzycznym ujęciu Holsta. Tu i ówdzie zdarzały się jałowe dłużyzny, ale wynagradzały je partie barwne, wspaniałe. Orkiestra trudny egzamin w potężnym dziele zdała z powodzeniem, anielsko śpiewały dziewczęta ze Szkoły Muzycznej w *Neptunie* (przygotowanie: **Ewa Szereda**), zaś dramatyczny *Mars* urzekł widownię blaskiem orkiestry i feerią laserowych świateł – coś zupełnie nowego i wzbogacającego wrażenia wynoszone z sali koncertowej.

Kolejny koncert (5 października) był dla muzyków prawdziwym wyzwaniem: muzyka klasyczna, a więc przejrzystość, dyscyplina, odpo-

wiedzialność za każdy dźwięk... I tak też pod ręką **Rubena Silvy** zabrzmiała uwertura *Egmont* Beethovena: grana klarownie, w doskonałych tempach i z wielką ekspresją, choć w klasycznych ryzach – i również dobrze grana *Symfonia G-dur nr 94* Josepha Haydna kończąca koncert; prostota i piękno, przypomniane po repertuarowych przygodach ostatnich lat, entuzjastycznie przyjęte. Takież zachwyty wzbudziły dwa uroczyste *Konzerstücke*, duety Felixa Mendelssohna-Bartholdy'ego, które grali dwaj znakomici klarneści: **Arkadiusz Adamski** i **Roman Widaszek** (ten drugi na rożku basetowym, niższej odmianie klarнету). Ich wirtuozeria i finezja podbiły publiczność.

Następny program (12 października) łączył dwa krańcowo różne światy: liryki i ekstatycznego uniesienia w *I koncercie skrzypcowym* Karola Szymanowskiego, oraz współczesnej or-



W koszalińskiej realizacji „Toski” udział wziął Katedralny Chór „Cantate Deo”

fot. Paweł Mielcarek

kiestrowej ekspresji i kolorystyki w bajce muzycznej Piotra Mossa. *Koncert* należał do **Piotra Pławnera** – solista grał świetnie, doskonale technicznie, choć w tej doskonałości nie znajdował miejsca szczególnie klimat muzyki Szymanowskiego. A że dyrygent, **Jacek Rogala**, także pochłonięty był jedynie zorganizowaniem kapryśnej tkanki *Koncertu*, publiczności pozostało kontentowanie się samą efektywną atrapą utworu. Bajka *Ptak Ugui* Piotra Mossa (do tekstu Jean-Louis Bauera) dominowała w tym programie i w ogóle ozdobiła repertuar filharmonii – atrakcyjna zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Orkiestra znalazła się w jej świecie wspaniale, miała wiele okazji do własnych pomysłów i świetnie je realizowała. Narrator, **Wojciech Rogowski** (aktor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego), z tekstu Bauera zrobił barwną, dramatyczną opowieść, ożywiając zarówno retorykę bajki, jak i istotną w niej rolę orkiestry – także bohaterki tej opowieści. Opowieści przyjętej z ogromnym aplauzem tak przez młodzież (na koncercie szkolnym), jak i dorosłych (na koncercie abonamentowym).

Ostatni październikowy program (26 października) poświęcono gitarze: mistrzowskie ręce **Krzysztofa Pełecha** w *Concierto de Aranjuez* Joaquina Rodrigo oraz w dziełach Argentyńczyka Carlosa Guastavino (*Jeromita Linares*) i Meksykanina Arturo Márqueza (*Danzon nr 2*), choć skłonne do odprawiania nabożnego gitarowego misterium (w *Concierto!*), dały się jednak ponieść latynoamerykańskiej żywiołowości i zmysłowości – czego zabrakło w „Nocy Walpurgii” z *Fausta* Charlesa Gounoda, otwierającej koncert, a co obciążało konto dyrygenta, **Jana Jakuba Bokuna**, który ma jeszcze przed sobą osiągnięcie swobody wypowiedzi w tej roli (jest świetnym klarncem); zadatki na to pokazał w utworze Arturo Márqueza, tu także nareszcie pogrążyła sobie, bez wędzidla, orkiestra.

Listopadowe koncerty rozpoczął mocny akcent koszański: wieczór 9 listopada należał do pierwszego kontrabasisty orkiestry, **Pawła Wasilewskiego**, który doskonale wykonał *Koncert*

na kontrabas fis-moll Sergiusza Kusewickiego – trudności techniczne zdawały się nie istnieć, nade wszystko zaś zachwycały ciepła, szlachetna kantylena, wyważone dawki ekspresji i bogate brzmienie; świetny występ. Batutę dzierżyła pochodząca z Koszalina dyrygentka, **Marzena Diakun**. Jej towarzyszenie soliście zaspokajało wymagania utworu Kusewickiego, natomiast wystrzałowa uwertura Hectora Berlioz *Karnawał rzymski* była wystrzałem z korkowca; pozostawała satysfakcją, że orkiestra nie schodzi poniżej przyzwoitego poziomu gry. Podobnie brzmiała *Symfonia C-dur* George’a Bizeta – młodzieńcze dzieło, pełne wigoru, robiło wrażenie obojętnej lektury prowadzonej skromnym zestawem wycuczonych gestów. Zatem pewien regres młodej dyrygentki (uzdolnionej, co pokazała na poprzednich występach), a może po prostu zły dzień.

Koncert 16 listopada był prawdziwym świętem polskiej muzyki. Boliwijczyk **Ruben Silva** dał kolejny dowód swej głębokiej asymilacji naszej kultury, jej cechy wyczuwa jak mało który z polskich dyrygentów. Bogaty program wieczoru rozpoczął *Polonezem* Wojciecha Kilara z filmu *Pan Tadeusz* – dobry wstęp do potężnej dawki polskości, jaką ofiarowała nam tego wieczoru solistka, **Joanna Ławrynowicz**, grając dwa koncerty Henryka Melcera: *e-moll* i *c-moll*; dzieła z rozmachem zakrojone, raczej wielkie poematy symfoniczne na fortepian i orkiestrę. Rzadko słyszy się dziś pianistkę tak wrażliwą, operującą taką biegłością, lekkością perlistej techniki, kantyleną pełną wyrazu i dźwiękowej urody, a zarazem soczystym forte. I przebogata skalą kolorystyki. Jej doskonałym partnerem był Ruben Silva, który poza tym poprowadził brawurowo *Toccatę* Bolesława Szabelskiego – pięć minut orkiestrowej wirtuozerii w błyskotliwym wykonaniu i doskonałe zamknięcie polskiego wieczoru.

Wieczór 30 listopada, firmowany batutą **Pawła Przytockiego**, wypełniła wiedeńska romantyczna symfonia. Wprowadzie *Symfonia Niedokończona* Schuberta, pełna liryki i natchnio-

nych melodii, ale zarazem dramatycznych wzbuchów introwertycznego artysty, jawiła się w ujęciu dyrygenta jak zabarwione historią dzieło późnoromantycznej symfoniki – ale *IV symfonia* Mahlera była triumfem dyrygenta, prowadził skomplikowane fakturalnie dzieło doskonale, czuło się prawdę przeżycia z pasją przekazywaną. Solową, niełatwą partię wokalaną w IV części, opowiadającą o dziecięcych pogładach na niebo, śpiewała bardzo muzykalnie **Aneta Łukaszewicz**, na specjalne brawa zasłużyli soliści orkiestry. Był to w sumie świetny koncert i programowe wydarzenie.

Po tej symfonicznej eksplozji, skromny program ułożony i prowadzony przez **Rubena Silwę** (7 grudnia) prezentował koszalińskie smyczki i smyczkowy repertuar, w filharmonii prawie nieobecny. Neoklasyczne utwory z połowy XX wieku: *Concertino* Szweda Larsa-Erika Larssona, oraz *Divertissement* Jeana Françaixa – kompozycja rodem z Paryża, ojczyzny tego kierunku – należały do wirtuoza fagotu **Janusza Witkowskiego**, który przy bardzo dobrym akompaniamencie smyczków swobodnie i błyskotliwie rozwijał swe wielkie walory wykonawcze. Ponadto Ruben Silva poprowadził *Arię* z III suitu orkiestrowej Jana Sebastiana Bacha oraz *Serenadę C-dur* na smyczki Czajkowskiego, nie graną w Koszalinie – nie do wiary – od 47 lat. Wykonanie – piękny popis smyczków – przyjęło długotrwałą owacją i bisowaniem.

Beethoven, Brahms – znowu dwa nazwiska wielkich wiedeńczyków na afiszach (14 grudnia), koncert firmowali **Ruben Silva** i **Rafał Łuszczewski**. I po raz czwarty w tym sezonie, na przekór zwyczajowemu porządkowi programów, na początku zabrzmiał koncert fortepianowy: tym razem arcydzieło Brahmsa w *B-dur*. Pierwsze jego partie, owo cudowne rodzenie się utworu z łagodnego motywu rogu, były nerwowe (brakowało uwertury, wprowadzenia do koncertu), ale po solowym epizodzie fortepianu muzyka nabrała płynności i spokoju. Solista grał pięknym dźwiękiem, ze swobodą zdobywał „pianistyczne Himalaje”, w ogóle ekspresja

tego wykonania, eksponowanie nade wszystko muzycznych walorów wielkiego dzieła – było czymś odkrywczym. Absolutny sukces. Stąd dawno niewykonywana w Koszalinie skromna, klasyczna *VIII symfonia F-dur* Beethovena, po potężnej dawce brahmsowskiej ekspresji była trochę na straconej pozycji, ale świetnym wykonaniem – zwartym, energicznym, pełnym polotu – Ruben Silva uratował artystyczną równowagę ostatniego programu 2007 roku.

Był jeszcze nadprogram: kolejna bajka muzyczna, *Cyrk Giuseppe* (20 grudnia). Salę wypełnili uczniowie koszalińskiego Liceum im. Dubois, aby tym razem wysłuchać niezwyklej historii cyrkowego artysty. Bajki Piotra Mossa, dzięki swym wielkim walorom i oryginalności, adresowane są także do słuchaczy dorosłych – ci przyjęli pierwszą z entuzjazmem (patrz 12 grudnia) – szkoda zatem, że *Cyrk Giuseppe* wykonano tylko dla młodzieży. Była to znów znakomita lekcja muzyki, powiązana z arcybogatą partią orkiestry oraz tekstem (także Baurea) lekkim, dowcipnym, inteligentnym. Wykonanie bardzo dobre, dyrygent **Sławek A. Wróblewski** świetnie współdziałał z doskonałym narratorem (jak poprzednio – **Wojciech Rogowski**). Na wielki sukces koncertu złożyła się także druga część sali: młodzież słuchająca w wielkim skupieniu, zafascynowana SZTUKĄ rozwijającą dźwiękiem i słowem swe powaby; to piękny element tego koncertu, przyjętego długotrwałą owacją na stojąco, owacją także dla znajdującego się na sali kompozytora.

Obydwie bajki muzyczne wykonano w ramach edukacyjnego cyklu koncertów dla młodzieży szkolnej, finansowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Komentarz dydaktyczny w całym cyklu należał do **Andrzeja Zborowskiego**, niezastąpionego w dziele wprowadzania młodzieży (i nie tylko młodzieży) do świata muzyki.

Rytm pracy filharmoników w 2007 roku urozmaiciły dwa koncertowe wyjazdy do Niemiec oraz nagranie dwóch płyt. Pierwsza zawiera symfoniczne utwory Andrzeja Cwojdziańskiego

i Kazimierza Rozbickiego oraz solowe dzieła polskie w wykonaniu **Agaty Szymczewskiej**, druga – obydwaj Koncerty fortepianowe Henryka Melcera z **Joanną Ławrynowicz** (obie dla Wydawnictwa *Acte Préalable*).

*

Zarysowany wyżej obraz działalności Filharmonii Koszalińskiej w 2007 roku jest niepełny: filharmonia promieniuje muzyką także w miesiącach letnich za sprawą swego **Międzynarodowego Festiwalu Organowego**. Tegoroczny, liczbą 20 koncertów skomasowanych w dziewięciu tygodniach (koncerty w Koszalinie, Białogardzie, Darłowie, Sarbinowie), zbliżył się do nurtu symfonicznego, tworząc liczbową i programową symetrię oraz pełnię w artystycznej ofercie filharmonii, prezentował bowiem muzykę, jakiej brak w nurcie symfonicznym: organową, oratoryjno-kantatową, chóralną, kameralną.

Dyrektor artystyczny festiwalu, **Bogdan Narloch**, zaprogramował repertuar niezwykle interesujący i bogaty, co nie było łatwe – zważywszy duży udział artystów i zespołów z zagranicy, a także koncerty w trzech pobliskich miastach z organami mniejszymi, narzucającymi dostosowanie do nich repertuaru innego, niż w Koszalinie – ogromna praca organizacyjna. Jest także jego wielką zasługą włączenie tych miast do nurtu festiwalu – co znacznie powiększa za-

sięg kulturalnego oddziaływania imprezy. Tym bardziej, że koncerty tam cieszą się wielkim powodzeniem. Cały 41. Festiwal był niezwykle udany; wykonano na nim morze muzyki (ponad 150 utworów), wystąpiło 13 organistów, sześćoro wokalistów, czworo instrumentalistów, 8 chórów, 2 zespoły kameralne. Wszystkie występy na wysokim poziomie, niektóre zapisały się szczególnie – organiści: **Bogdan Narloch**, grał utwory z nagranej przez siebie płyty (dla Wydawnictwa *Acte Préalable*) z utworami koszalińskich kompozytorów, **Christoph Grohmann**, **Karol Gołębiowski**; wokalistki: **Bożena Harasimowicz** w *Laudate pueri* Vivaldiego, **Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz** w czterech *Ave Maria* i pieśniach religijnych Celiny Monikowskiej-Martini; **Joanna Garbacz** – flet (z mężem organistą), wirtuoz **Georgij Agratina** – fletnie Pana, cymbały; chóry: **Oktoich** cerkwi prawosławnej z Wrocławia, chór hiszpański **Camerata Primo Tempo** z Zamory, **Kapela Chóralna** z Kaliningradu; zespół **Cracow Brass Quintet**. Pięćkrotnie grała **Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej**, dyrygowali: **Eugeniusz Kus**, **Ruben Silva**, **Paul Leo Leenen**, **Luis Gracia Alvarez**, **Karol Borsuk**.

Festiwal rozpoczęty 9 czerwca występem Bogdana Narlocha oraz wykonaniem oratorium *Mesjasz* Haendla, zakończył się kameralnie 24 sierpnia *IV koncertem brandenburskim* Bacha.

ks. Arkadiusz Jędrasik

Od Volckmara po Cwojdzińskiego

Muzyka Pomorza na CD

Podczas ostatniego, 41. Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie ukazał się w sprzedaży album CD „Organy i muzyka organowa na Pomorzu”, który nagrano w Koszalinie, Darłowie i Białogardzie. Płyta zawiera utwory kompozytorów związanych z Pomorzem, zarejestrowane premierowo przez wybitnego wirtuoza organów Bogdana Narlocha.

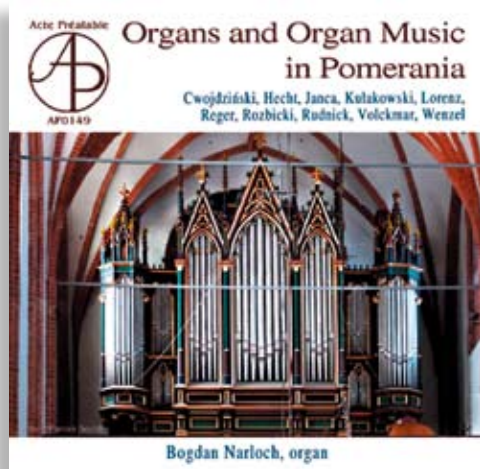
Obszar Pomorza obfituje w niezwykle interesującą i wartościową spuściznę historycznego budownictwa organowego oraz literaturę organową - dorobek działających na tym terenie organistów. Instrumenty budowane tu od XVI w. były następnie - w miarę zużycia, potrzeb, środków - przerabiane, rozbudowywane, rekonstruowane. Mamy duży, świetny instrument w koszalińskiej katedrze. Jego wielkie walory skłoniły środowisko muzyczne Koszalina do powołania w 1967 r. letniego Festiwalu Organowego. Od kilku lat program i zasięg festiwalu, który od 1970 r. jest imprezą międzynarodową, wzbogacają koncerty wykonywane w pobliskich, ościennych miastach: Białogardzie (świetne, duże organy) i Darłowie (niewielki, uroczy instrument w osiemnastowiecznej szacie).

Te trzy festiwalowe instrumenty brzmią na niniejszej płycie w utworach kompozytorów,

którzy mieli swój związek z obszarem między Szczecinem a Gdańskiem. Album zawiera utwory takich kompozytorów, jak: **Teofil Andreas Volckmar** (1686-1768), **Carl Adolf Lorenz** (1837-1923), **Wilhelm Rudnick** (1850-1927), **Jan Janca** (1933), **Andrzej Cwojdziński** (1928), **Kazimierz Rozbicki** (1932), **Leszek Kułakowski** (1955), **Eberhard Wenzel** (1896-1982), **Max Reger** (1873-1916), **Gustav Hecht** (1851-1930).

Wykonanie prezentowane przez Bogdana Narlocha jest znakomite. Zachwyca i fascynuje piękne brzmienie organów, które zostało świetnie oddane. Bogdan Narloch na swojej debiutanckiej płycie pokazuje się jako artysta o wielkiej wrażliwości, ogromnym talencie i wybornej muzykalności. Każdy utwór - szczególnie organowy „Introitus” z *Missa festiva* Rozbickiego - ma swój klimat. Gra jest pełna życia i wyrafinowania. Oczarowuje świeżością, zachwytem nad mało znaną muzyką, w której artysta widzi wiele ukrytych walorów znakomicie tu eksplorowanych. Organista wyborne odczytuje intencje kompozytorów przy tak zróżnicowanej muzyce i trzech różnych instrumentach.

Omawiana płyta warta jest wielkiego uznania i trzeba ją mieć w swojej kolekcji.



Bogdan Narloch, „Organy i muzyka z Pomorza”,
wydawnictwo Acte Prealable, 2007

Przed tegorocznym Festiwalem ukazała się i na Festiwalu miała premierę Pana debiutancka płyta. Jaka była geneza jej powstania?

- Ma to związek z moimi zainteresowaniami historią Pomorza. Kiedy uzyskiwałem coraz więcej informacji o historii muzyki naszego regionu, stwierdziłem, że wiedza dotycząca tej tematyki, zwłaszcza okresu przed 1945 r., jest niewielka. Dość zaskakującym odkryciem było poznanie utworów organowych skomponowanych przez takich kompozytorów jak Teofil Andreas Volkmar, Wilhelm Rudnick, czy Carl Adolf Lorenz. Okazało się, że jest to twórczość bardzo cenna, tak pod względem warsztatu kompozytorskiego, jak też wartości artystycznych. Moim pragnieniem było też fonograficzne udokumentowanie części dorobku współczesnych kompozytorów związanych z naszym regionem. Pomysł nagrania płyty powstał kilka lat temu...

Moim marzeniem było, aby płyta ukazała się na 40 jubileuszowy Festiwal Organowy. Jak się okazało nawet przy dzisiejszych możliwościach, nie było to takie proste. Jednym z ważnych powodów powstania tej płyty był brak wydawnictw fonograficznych, prezentujących walory brzmieniowe organów, na których odbywają się koncerty festiwalowe. Wielu naszych słuchaczy często wyrażało chęć nabycia takich nagrań.

Dlaczego akurat te trzy instrumenty zostały użyte do nagrania?

- Dlatego, że od wielu lat odbywają się na nich koncerty festiwalowe, ponadto reprezentują one odmienne typy brzmieniowe. W Koszalinie mamy przebudowane 50-głosowe organy firmy Schlag & Söhne o cechach neobarokowych, w Białogardzie największy (41 głosów) zachowany instrument o trakturze pneumatycznej Barnima Grüneberga reprezentujący typ niemieckich organów romantycznych i w Darłowie kameralne 9-głosowe organy Johanna Friedricha Schulze z 1860 r. Dzięki temu zaprezentowany na płycie repertuar udało się moim zdaniem dość dobrze stylistycznie wykonać.

Czy będą kolejne nagrania prezentujące inne in-

strumenty i innych kompozytorów pomorskich?

- Sądzę, że na razie projekt, który udało się zrealizować, zaspokoił potrzeby. Jeżeli jednak w następnych latach uda się wyremontować kolejne cenne pomorskie zabytkowe organy, pewnie warto byłoby je zaprezentować w repertuarze pochodzących stąd kompozytorów.

Dlaczego np. nie wszystkie utwory organowe z jednego cyklu autorstwa Andrzeja Cwojdziańskiego są na płycie?

- Cały cykl składa się z 7 Nokturnów i nagranie go w całości byłoby oczywiście uzasadnione. Kilka lat temu wykonałem te utwory podczas koncertu poświęconego twórczości Andrzeja Cwojdziańskiego w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Powodem rezygnacji z nagrania wszystkich Nokturnów była pojemność płyty.

Skąd się wziął pomysł na transkrypcję organową „Introitus” z „Missa festiva” Kazimierza Rozbickiego?

- Pomysł wyszedł od samego kompozytora. Moim marzeniem było, aby Kazimierz Rozbicki napisał utwór na organy solo. Z taką prośbą zwróciłem się do niego, informując o moich planach związanych z projektem nagrania. Moja nadzieja była uzasadniona faktem, że kompozytor ma w swoim dorobku uznane dzieła, a ponadto ma dużą wiedzę o fakturze organowej, co nie jest wcale tak częste u kompozytorów nie piszących na ten instrument. Jednak termin okazał się zbyt krótki, tak więc mamy transkrypcję organową utworu już istniejącego.

Jakie było zainteresowanie nagraniem wśród uczestników Festiwalu i na samym Pomorzu?

- Płyta wzbudziła duże zainteresowanie, czego obiektywnym faktem jest sprzedaż większej części nakładu. Wzrosło też zaciekawienie historią muzyki tych ziem, czego przykładem jest wiele dyskusji na ten temat.

Recenzja publikowana w „Naszym Dzienniku” Nr 30 (3047)
Rozmowa publikowana w „Muzyka 21”

Jazzowe rytmy i akordeonowe brzmienia

Rok 2007 dla muzyki jazzowej w Koszalinie był wyśmienity. Odbyło się wiele koncertów zorganizowanych przede wszystkim przez Centrum Kultury 105 w cyklu „Big Star Jazz”, ale muzyka synkopowana zabrzmiała także na Muzycznej Scenie Radia Koszalin i w koszalińskim klubie osiedlowym „Na Skarpie”.

Namysłowski na dobry początek

Pierwszy jazzowy koncert minionego roku to bardzo atrakcyjny występ **Zbigniewa Namysłowskiego** z zespołem młodych muzyków (10 lutego). Była to zarazem i promocja nowej płyty saksofonisty „Asymetry”. Niezwykle trudny pod względem rytmicznym materiał znakomicie zagrany został przez fantastyczny zespół, w którym na pierwszy plan zdecydowanie wysuwa się pianista **Sławek Jaskułka** i puzonista **Jacek Namysłowski**. Są to artyści, którzy już zaistnieli na naszym rynku muzycznym wydając autorskie płyty (jak uczynił to S. Jaskułka) i biorąc udział w wielu projektach innych artystów, jak to się działo w przypadku J. Namysłowskiego.

Każdy z koncertów, jakie odbyły się w naszym mieście, zasługuje na uwagę, gdyż każdy z nich wносił coś nowego i dostarczał słu-

chaczom wielu wrażeń i najwyższej satysfakcji. Wszak muzyka jazzowa niejedno ma oblicze, na ten gatunek składają się i swing i bebop, muzyka fusion czy mainstream itd. Szczególną uwagę warto zwrócić jednak na koncerty z udziałem: **Jarosława Śmietany**, naszego wybitnego gitarzysty (13 marca), nestora polskich pianistów jazzowych **Włodzimierza Nahornego** (2 kwietnia), oraz wokalistek **Danuty Błażejczyk** (24 kwietnia) i **Grażyny Auguścik** (15 maja). Zwłaszcza koncert tej ostatniej artystki długo będziemy wspominać, gdyż należy ona obecnie do najciekawszych wokalistek jazzowych na świecie, ma w dorobku wiele płyt nagranych tak z muzykami polskimi jak i gwiazdami jazzu amerykańskiego, no, i nie ma co ukrywać elementu sentymentu lokalnego: Grażyna Auguścik od wielu lat mieszka w USA, pochodzi z ościennego miasta - Słupska. Artystka na swój koszaliński koncert przywoziła muzyków amerykańskich, wśród których znalazł się jej długoletni współpracownik i gitarzysta **John Mclean** - znakomity instrumentalista i improwizator.

Te koncerty, w cyklu Big Star Jazz, odbyły się jeszcze przed wakacjami. W drugiej połowie roku, jak zawsze w październiku, odbył się

III Hanza Jazz Festiwal (3 – 6 października)

Dominujący nurt festiwalu wyznaczają warsztaty jazzowe, prowadzone przez wybitnych jazzmanów. Grono profesorskie w tym roku tworzyli: **Krystyna Prońko** – wokal, **Leszek Kulański** – fortepian, **Felix Astor** - perkusja, **Adam Wendt** - saksofon, **Krzysztof Puma Piasecki** - gitara, **Maciej Garbowski** – bas, **Przemysław Raminia** - akompaniament w klasie wokalne i **Christoph Titz** – trąbka.

Tegoroczna „Hanza” rozpoczęła się smothjazzowo, koncertem w wykonaniu gości z Niemiec, który poprowadził **Paweł Brodowski** – redaktor naczelny magazynu „Jazz Forum”, już chyba stały bywalec naszego festiwalu. Wystąpił kwintet trębaczka Christoha Titz, który ma swój własny, niepowtarzalny styl. Gra oryginalnie

nalne frazy pełne ciepła, jasności i emocji. Jego trąbka opowiada własne historie i gra z naszymi uczuciami. Od dawna Christoph Titz należy do najbardziej rozchwytywanych niemieckich muzyków sceny jazzowej. Jego indywidualność była już widoczna na początku jego kariery w latach 90., gdy tworzył z zespołem „Scetches”. Zasłynął także jako koncertowy i studyjny muzyk, grając dla takich gwiazd jak: Marla Glenn, Reinhard Mey czy Helmut Zerlett. Po licznych występach i nagraniach z innymi artystami w 2004 nagrał solową autorską płytę „Magic”, która zebrała entuzjastyczne recenzje i zdobyła aplauz publiczności. Na koszalińskim festiwalu usłyszeliśmy materiał z najnowszej płyty artysty „When I Love”, która łączy w nowoczesny i ory-



Hanza Jazz Festival:
Christoph Titz gra oryginalne frazy pełne ciepła, jasności i emocji

fot. Grzegorz Połaniecki

ginalny sposób fusion i world music z instrumentalnym smooth jazzem. Koncert bardzo się podobał. Przynosił też Christophowi Titzowi wielu młodych studentów na tegorocznych warsztatach.

W czasie trwania festiwalu koncerty jazzowe młodych adeptów tej muzyki można było usłyszeć w koszalińskich klubach i pubach, a wieczorne jam sessions w klubie „Vabanq” trwały czasami do rana. Wśród wielu festiwalowych wydarzeń i tym razem na szczególną uwagę zasługiwał koncert finałowy z udziałem niemal wszystkich uczestników, którzy chcieli się pokazać z jak najlepszej strony i na ogół im się to udawało. Z satysfakcją należy nadmienić, że zdecydowanie lepiej wypadli na tym koncercie Polacy.

Kolejna edycja Hanza Jazz Festiwal mogła się odbyć, oczywiście, dzięki finansowemu wsparciu miasta i funduszom europejskim z programu Interreg III A. Festiwal dobrze służy nie tylko propagowaniu muzyki jazzowej, ale też zacieśnianiu współpracy między Koszalinem i miastami Euroregionu Pomerania. Po trzech edycjach można już twierdzić, że jest jedną z ważniejszych imprez tego typu w Polsce.

Jesienne koncerty cyklu „Big Star Jazz”

to „Zaduszki Jazzowe” w Domku Kata (2 listopada) z udziałem kwintetu **Patrycjusza Gruszeckiego** – trębacza, laureata Grand Prix Krakus Jazz Festiwal 2006. Wirtuozeria improwizacji granych przez niego na trąbce w połączeniu z perfekcją i profesjonalizmem towarzyszących mu muzyków tworzą mieszankę wybuchową, której nie sposób zapomnieć. Po sukcesach na festiwalu w Jeleniej Górze muzycy zdążyli już nagrać w studiu Polskiego Radia Katowice szereg utworów, które znajdują się na debiutanckiej płycie zespołu. W Koszalinie, z uwagi na charakter koncertu zaduszkowego, muzycy zaprezentowali także kilka standardów. Koncert był świetny, pełen energii ale i zadumy.

Dwa tygodnie później (18 listopada) w naszym mieście zaśpiewała **Magdalena Kumo-**

rek. Aktorka i piosenkarka przedstawiła wielokrotnie nagradzany projekt „Droga za widowokres” z muzyką Krzysztofa Komedy. Piosenki Komedy to nie tylko próba zmierzenia się, przetworzenia przez siebie takich szlagierów, jak: „Kołysanka Rosemary”, „Nim wstanie dzień” czy „Ja nie chcę spać”. Muzyka Komedy, oparta na mrocznych i zawiłych, a czasem, dla kontrastu, wręcz prostych lecz zawsze pięknych motywach, w zderzeniu z tekstami Agnieszki Osieckiej czy Wojciecha Młynarskiego okazała się wymarzoną materiałem do pracy. **Marcin Partyka** zaaranżował ten materiał z niezwykłym polotem i smakiem, a Magda Kumorek dodała szczyptę aktorskiej interpretacji.

Cykl koncertów „Big Star Jazz” w roku 2007

zakończyła **Krystyna Prońko** (3 grudnia). To wokalistka mająca w naszym mieście wielu fanów. Był to więc jej kolejny koncert pełnowymiarowy, bo z mini recitalem występuje zawsze przy okazji koncertu galowego Hanza Jazz Festiwalu. Tym razem Krystyna Prońko zaprezentowała standardy jazzowe, swoje wielkie przeboje oraz polskie „evergreeny”, jak „Pierwszy siwy włos”.

W studiu koncertowym Radia Koszalin

Koncerty jazzowe w Koszalinie odbyły się także w studiu koncertowo - nagraniowym Radia Koszalin. W kwietniu materiał na swą drugą płytę zarejestrował zespół z Poznania „**Soundcheck**” i przy okazji zagrał dla nas koncert.



Warsztat wokalny Krystyny Prońko, która w Koszalinie jest już stałym gościem, cenionym jako znakomita wokalistka i również świetny pedagog

fol. Grzegorz Połaniecki

Zespół w obecnym składzie powstał pod koniec 2003 roku. Grupę tworzą młodzi, ale już doświadczeni muzycy, mający na swym koncie wiele wyróżnień zespołowych i indywidualnych. Repertuar grupy to przede wszystkim kompozycje saksofonisty **Macieja „Kocina” Kocińskiego**, ale także pozostałych muzyków: **Krzysztofa Dysa** - pianisty, absolwenta Liceum Muzycznego w Koszalinie oraz **Krzysztofa Szańdy** - perkusisty i **Andrzeja Świeśa** - kontrabasisty. Muzyka „Soudchecku” zaskoczyła swoją dojrzałością zarówno pod względem wykonawczym jak kompozycyjnym. Świadomość barwowa i dynamiczna, oraz współpraca wszystkich muzyków składają się na świetne zgranie zespołu.

W grudniu wielkim wydarzeniem w Radiu Koszalin był koncert z udziałem **Marka Bałaty**. Jego występ (15 grudnia) uświetnił uroczystość nadania imienia Czesława Niemena studiu koncertowo-nagraniowemu naszej rozgłośni. Z tej to okazji w programie koncertu dominowały utwory Niemena z piosenką „Dziwny jest ten świat” na czele. Zabrzmiały też kompozycje własne wokalisty oraz jazzowe interpretacje utworów Fryderyka Chopina. Marek Bałata to artysta niezwykle, od lat zajmuje czołowe miejsca w ankiecie „Jazz Forum” w kategorii najlepszy wokalista, pisze muzykę i, podobnie jak Czesław Niemen, zajmuje się grafiką. W zespole Marka Bałaty zagrali **Piotr Baron** na saksofonach, **Marek Markowski** na fortepianie, **Stan Michalak** na basie i **Michał Czwojda** na perkusji.

Jam i dżem „Na Skarpie”

Jak już wspomniałam na wstępie rok 2007 był rokiem bardzo pomyślnym dla jazzu w Koszalinie. Także i dlatego, że objawiło się nowe miejsce przyjazne muzyce synkopowanej.

Cykl koncertów jazzowych pod hasłem „Scena w Klubie” w klubie osiedlowym „Na skarpie” zapoczątkowała jego szefowa **Małgorzata Tomaszewska**. Na koncercie inauguracyjnym działalność „Sceny w Klubie” (11 maja) wystąpił

zespół saksofonisty **Macieja Sikały**, znakomitego instrumentalisty i kompozytora. W kameralnym gronie i tradycyjnie w bardzo miłej atmosferze 14 grudnia zagrało trio **Macieja Grzywacza** - gitarzysty z Trójmiasta, którego muzyka jest odbiciem tego, co wewnątrz i na zewnątrz nas. Kompozycje w nowoczesny sposób wykorzystują możliwości brzmieniowe jazzowego tria, są pulsujące rytmem i bardzo przestrzenne. W obu zespołach grają: **Piotr Lemańczyk** na basie i **Tomasz Sowiński** na perkusji.

Wieczory muzyczne w klubie wieńczzone są jam sessions, a pod koniec na stołach pojawiają się herbatniki i... dżemy o różnym smaku. No, i jak tu nie lubić jazzu?

Akordeon solo i w zespole

Wróćmy jednak do Centrum Kultury 105, gdzie w dniach od 20 do 23 września już po raz siódmy odbył się Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej, zainicjowany i organizowany przez **Artura Zajkowskiego**.

Ten festiwal to znakomita okazja do prezentacji akordeonu jako instrumentu zarówno solowego jak zespołowego, popularyzacji takiej formy muzykowania, integracji środowiska akordeonowego, wymiany doświadczeń i repertuaru. Słowem: jest to wielkie święto dla profesjonalistów, ale przede wszystkim dla akordeonistów – amatorów. Każdego roku obok zespołów zdobywających dopiero doświadczenie koncertowe melomani i miłośnicy akordeonu mogą posłuchać zawodowców. Koszalin gości zespoły podziwiane na całym świecie, grające utwory napisane specjalnie na akordeon i transkrypcje na ten instrument, wykonujące klasykę, ale także kompozycje rozrywkowe czy jazzowe.

Tradycją już jest to, że festiwal otwiera założony i prowadzony przez Artura Zajkowskiego zespół akordeonistów, który od tego roku nosi nazwę „Fantini Akord Koszalin Kwintet”. Nazwa ta jest znakiem tego, że zespół stał się szczęśliwym posiadaczem akordeonów włoskiej firmy Fantini. Jej założyciel i dyrektor generalny **Leo-**

nardo Fantini był gościem specjalnym festiwalu w roku 2007. Koszaliński zespół, laureat wielu wyróżnień, reprezentuje nasze miasto w całej Europie, występując na podobnych imprezach we Francji czy w Belgii. Repertuar kwintetu jest ogromny, poczynając od muzyki Bacha a na rozrywkowej czy musicalowej kończąc. To zasługa Artura Zajkowskiego, który od lat przekonuje naszą młodzież do tego, że warto grać na akordeonie, warto obcować z muzyką, warto grać w zespole, nie tylko w kwintecie ale i orkiestrze akordeonowej, która również działa w Centrum Kultury 105.

Na ubiegłorocznym festiwalu podziwialiśmy także Poznański Kwintet Akordeonowy – jeden z najlepszych w Polsce, złożony z wirtuozów tego instrumentu. Z powodzeniem koncertowa-

li też goście z zagranicy: Bałtycki Kwintet Akordeonowy, w którego skład wchodzi artyści z Litwy, Łotwy i Rosji.

Koncert galowy zakończył wspólny występ wszystkich uczestników festiwalu, którzy utworzyli wielką festiwalową orkiestrę akordeonową. Utwory dla niej zaaranżował Artur Zajkowski – dyrektor artystyczny imprezy i dyrygent orkiestry.

*

Życzymy sobie, aby kolejne lata tak samo obfitowały w wydarzenia muzyczne, obyśmy musieli dokonywać wyborów spośród mnogości propozycji. Oby te koncerty były jak najlepsze, na światowym poziomie. Że tak może być, pokazał miniony rok w Koszalinie.



Sponsorem VII festiwalu był Leonardo Fantini - właściciel włoskiej fabryki akordeonów.
Dzięki hojności naszego sponsora i wyposażeniu koszalińskiego kwintetu w najlepsze akordeony, powstał „Fantini - Akord - Kwintet”

fol. arch. 7 MFZMA

Lucyna Hermanowicz
Maria Słowik-Tworke

„Salon Muzyczny” Radia Koszalin

Dobry – ale mało!

Blisko rok, bo aż do połowy listopada 2007 przyszło melomanom czekać na zaproszenie do „Salonu Muzycznego Radia Koszalin”. Przypomnijmy, że poprzedni koncert zorganizowany wspólnie z Filharmonią Koszalińską (był to recital **Agaty Szymczewskiej**), odbył się w grudniu 2006 roku. A wiemy, że w minionych latach koncerty odbywały się prawie w każdym miesiącu, oprócz wakacji.

Mogło się wydawać, że idea, aby przyjeżdżający do Koszalina na zaproszenia Filharmonii Koszalińskiej artyści występowali nie tylko raz - z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, ale by także dać im możliwość zaprezentowania się w repertuarze solowym lub kameralnym, wydawała się z wszech miar słuszną i warta kontynuacji. Znakomicie mieściła się w ramach tzw. misji społecznej publicznej rozgłośni. Niestety...

Podczas jedyne go koncertu „Salonu Muzycznego” w 2007 roku wystąpiła znakomita pianistka młodego pokolenia **Joanna Ławrynowicz**. Recital ten jak i wiele poprzednich koncertów był wynikiem współpracy Radia Koszalin z Filharmonią Koszalińską.

Na program wieczoru złożyły się utwory Fryderyka Chopina. Już pierwsze takty *Fantazji-Im-*

promptu cis - moll (często granej przez pianistów na bis) zabrzmiały imponująco. Środkową część utworu artystka zagrała z typową uczuciowością, będącą kwintesencją muzycznego romantyzmu. Później kolejno zabrzmiały walce – *As-dur i h - moll z opusu 69* oraz *Grande Valce Brillante Es-dur op. 18*. Ich wykonanie było popisem wdzięku, elegancji oraz lekkości gry.

Tradycją „Salonu Muzycznego” są rozmowy z goszczącymi artystami, prowadzone pomiędzy dwiema częściami wieczoru przez gospodynię „Salonu” - dziennikarkę Redakcji Muzycznej Radia Koszalin Marię Słowik-Tworke i Beatę Górecką-Młyńczak. Obie kierują przebiegiem tych rozmów tak, aby pozwoliły poznać nie tylko najważniejsze doświadczenia i osiągnięcia w pracy artystycznej, a często też pedagogicznej podejmowanych artystów, ale także by ujawniały ich bardziej prywatne oblicze.

Joanna Ławrynowicz pochodzi z rodziny o znakomitych tradycjach muzycznych. Po raz pierwszy wystąpiła publicznie w wieku pięciu lat na koncercie w warszawskiej Filharmonii Narodowej. Zainteresowania muzyką, poparte talentem i starannym wykształceniem, sukcesywnie podnosiły jej umiejętności gry solistycznej. Artystka ukończyła studia w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, w klasie prof. **Teresy Manasterskiej**. Obecnie sama jest wykładowcą w tejże uczelni. Od roku 1998 pracuje jako asystentka w klasie fortepianu i kameralistyki. W roku 2003 uzyskała kwalifikacje adiunkta.

Jak mówiła słuchaczom w „Salonie Muzycznym” praca pedagogiczna przynosi jej wiele satysfakcji, podobnie jak praca naukowa oraz koncertowa.

Joanna Ławrynowicz jest laureatką konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych, m.in. Międzynarodowego Konkursu „Steinway and Sons” (Berlin 1990), Międzynarodowego Konkursu im. F. Chopina (Darmstadt 1999), Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Haliny Czerny-Stefańskiej w Ajigasa-wa (Japonia 2000), Międzynarodowego Kon-

kursu Pianistycznego „Art Livre” w Sao Paolo (Brazylia 2001).

Wielokrotnie zdobywała też stypendia Funduszu Stypendialnego im. F. Chopina, Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci oraz Polskiej Sekcji EPTA.

Prowadzi ożywioną działalność koncertową jako solistka i kameralistka. Występowała m.in. w Niemczech, Austrii, Francji, Finlandii, Szwecji, Danii, Holandii, Turcji, w Arabii Saudyjskiej, Estonii, Rosji i na Białorusi, w Szwajcarii, we Włoszech, na Cyprze, w USA, Kanadzie, Nowej Zelandii, w Wietnamie, Chinach, Kambodży i w Kuwejcie.

Joanna Ławrynowicz ma w sobie wielką pasję odkrywania zapomnianej muzyki polskiej. Jej dokonania fonograficzne są imponujące. Nagrała kilka świetnych albumów płytowych wydanych przez firmę *Acte Prealable*. Wśród nich są m.in. utwory na fortepian solo oraz wszystkie dzieła na skrzypce i fortepian **Romualda Twardowskiego**, komplet dzieł kameralnych **Henryka Melcera**, utwory na fortepian solo **Władysława Żeleńskiego**, komplet dzieł kameralnych **Józefa Elsnera**, dzieła kameralne **Zygmunta Stojowskiego**, oraz dwa koncerty fortepianowe **Henryka Melcera – Szczawińskiego**, które zostały nagrane w listopadzie 2007 roku w Koszalinie, z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Koszalińskiej pod batutą **Rubena Sil-**

vy. Większość zarejestrowanych przez artystkę utworów to światowe premiery fonograficzne.

W roku 1995 Joanna Ławrynowicz znalazła się w finale ogólnopolskiego konkursu na stypendia dla kandydatów do XIII Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina. W tym czasie doskonaliła swój kunszt pod okiem wybitnej pianistki **Haliny Czerny-Stefańskiej**, która przekazała utalentowanej uczennicy tajniki interpretacji utworów Chopina zgodnej z polską tradycją i wyczuciem chopinowskiego ducha. Joanna Ławrynowicz naukę, a później przyjaźń z pierwszą damą fortepianu w naszym kraju - ceni sobie bardzo wysoko i bardzo ciepło wspomina swoją mistrzynię, jej kunszt wykonawczy, wykwint, elegancję i wielką klasę. Na zakończenie swojego recitalu w Salonie Muzycznym Radia Koszalin z wielkim połosem i wirtuozerią zagrała przepiękne, spokojne *Andante spianato* i *Wielkiego Poloneza Es-dur op. 22* Fryderyka Chopina.

Wieczór nie mógł nie zakończyć się bisem, na który Joanna Ławrynowicz wybrała *Etudę Gesdur op. 10, nr. 5* - oczywiście Chopina.

Recital nagrodziły gorące brawa jak zawsze licznie zgromadzonej publiczności. Ta właśnie obecność podczas kameralnych koncertów w Radiu Koszalin każe wyrazić nadzieję, że na kolejne spotkanie nie trzeba będzie znów czekać cały rok.



TEATR



Oddycham razem z publicznością...

Rok 2007 z pewnością należał do najbardziej udanych w zawodowej karierze **Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej**, aktorki Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie. Choć dwanaście lat pracy na scenie BTD przyniosło jej ponad trzydzieści kreacji w bardzo zróżnicowanym gatunkowo repertuarze, przełomową okazała się rola w monodramie „...syn”, napisanym i wyreżyserowanym przez **Michała Siegoczyńskiego**, jednego z najbardziej interesujących teatralnych twórców młodego pokolenia.

Zaprezentowany na prestiżowych ogólnopolskich festiwalach spektakl rozpoczął pasmo sukcesów: wyróżnienie za wyrazistą kreacją aktorską na V Ogólnopolskim Przeglądzie Monodramu Współczesnego i indywidualną nagrodę aktorską na XIII Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska znalazła się również – obok czołowych polskich aktorów – w ubiegłorocznym „Subiektywnym spisie aktorów teatralnych” Jacka Sieradzkiego, opublikowanym na łamach „Polityki”. W kategorii „zwycięstwo” znany krytyk teatralny umieścił tych artystów, których – jego zdaniem – „aktorstwo uzyskuje nowe barwy i otwiera nowe możliwości”. Kolejnym sukcesem była nominacja do Bursztynowego Pierścienia – konkursu organi-

zowanego od wielu lat przez redakcję „Kuriera Szczecińskiego”.

- Aktorstwo stało się moją wielką życiową pasją – mówi Żaneta Gruszczyńska-Ogonowska. – Wszystkie sceniczne zadania staram się wykonać najlepiej jak umiem, najgoręcej i najszczerzej. Festiwalowe sukcesy uważam za zwieńczenie pewnego, bardzo interesującego etapu w mojej zawodowej biografii. Cieszę się, że moja praca została zauważona i doceniona, również na arenie ogólnopolskiej. To potwierdza, że mnóstwo energii, którą wkładam w sceniczne kreacje, po prostu ma sens. Postacie swoich bohaterów staram się nasycić prawdą czerpaną z obserwacji toczącego się wokół życia. Inspiracją są również moje osobiste doświadczenia. Wówczas mogę mieć pewność, że moje postacie nie będą „papierowe”, że przemówię do publiczności, że staną się jej bliższe... Wiem, że muszę „oddychać razem z publicznością”, więc staram się, aby moje bohaterki były częścią prawdziwego świata.

Teatr wcześniej wkroczył w życie Żanetty. Już jako kilkuletnia dziewczynka w każdą niedzielę wędrowała razem z dziadkiem do wrocławskiego Teatru Lalek. Chętnie zapraszała również rodziców na przygotowane przez siebie przedstawienia. Kolejne, szkolne już lata przyniosły liczne występy na akademiach i laury w konkursach recytatorskich. Aktorka podkreśla, że fascynacje artystyczne odziedziczyła po obdarzonym muzycznym talentem tacie. Natomiast mama nauczyła ją samodyscypliny, konsekwencji i poczucia odpowiedzialności. Te wyniesione z rodzinnego domu cechy z pewnością pomogły jej w zawodowej drodze.

Zanim jednak Żanetta trafiła na koszalińską scenę, uległa sugestii rodziców, odłożyła marzenia o szkole teatralnej i spędziła rok na filologii słowiańskiej. Wówczas przekonała się, że to właśnie teatr jest jej życiowym przeznaczeniem. Podjęła więc ważną decyzję i z powodzeniem zdała do Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Rok 1995 rozpoczął artystyczną przygodę Żanetty w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Po zauważonym przez teatralną kryty-

kę i ciepło przyjętym przez publiczność debiucie w roli Ismeny w „Antygonie” (1995), szybko nadszedł czas pierwszych sukcesów. W 1996 roku otrzymała nagrodę aktorską na Ogólnopolskim Festiwalu Dramaturgii Współczesnej we Wrocławiu za rolę w wyreżyserowanej przez Krzysztofa Galosa sztuce „Gdyby” Bogusława Schaeffera. Rok 1997 przyniósł jej tytuł najpopularniejszej aktorki sezonu, zdobyty w plebiscycie publiczności.

Następne dwanaście lat przyniosło Żanetcie Gruszczyńskiej-Ogonowskiej kolejne wyzwania, umożliwiające młodej aktorce prezentację pełni jej artystycznych możliwości. Stworzyła wiele interesujących kreacji w wielkiej teatralnej klasycie. Przypomnijmy więc niektóre z nich: „W małym dworku” Witkacego (1996/97), „Romeo i Julia” (1997/98), „Peer Gynt” Ibsena (1998/99), „Poskromienie złościcy” (1999/2000), „Świętoszek” Moliera (1999/2000), „Parady” Jana Potockiego (2002/03), „Pamiętniki” Jana Ch. Paska (2004/2005), „Sen Podszew-

ki” na motywach „Snu nocy letniej” Szekspira (2005/2006), „O miłości i innych demonach” Gabriela Garcii Marqueza (2005/06) i „Kordian” Juliusza Słowackiego (2007/08), w którym postać Laury, romantycznej heroiny, nasycy całkiem współczesnym wdziękiem. Oprócz ról dramatycznych i lirycznych, Żanetta ujawniła także komediowy talent w farsach: „Z rączki do rączki” (1996/97), „Czego nie widać” (2004/2005) i „Stosunki na szczycie” (2006/07). Występuje też w adresowanych do najmłodszej widowni adaptacjach znanych baśni: „Ani z Zielonego Wzgórza” (1997/98), „O dwóch takich, co ukradli księżyc” (1998/99), „Królowej Śniegu” (1999/2000) oraz „Pięknej i Bestii” (2006/07). Swój wokalny talent prezentuje w muzycznych spektaklach: „Neapol, rendez-vous 19.03” (2003/04), „Happy End” Bertolta Brechta (2005/06) i „Café Sax” (2006/07). Talent Żanetty do scenicznych metamorfoz podziwialiśmy w bardzo wysoko ocenionym „Kochanku” Harolda Pintera (1999/2000), w futurystycznej grotesce „Za-



Żanetta Gruszczyńska - Ogonowska w scenie ze spektaklu „...syn”

fot. Agnieszka Kot-Olczyk

klinacze szczęścia" (2003/04) oraz w kolejnej na scenie BTD inscenizacji Schaeffera „Kaczo, byczo, indyczo" (2004/05).

- *Bardzo dużo pracowałam, realizowaliśmy premierę za premierą – wspomina. – Nie narze-kałam jednak, przeciwnie, doskonale się czułam w tej pełnej nowych wyzwań atmosferze. Obsadzano mnie w różnorodnych gatunkowo sztukach, więc była okazja do nieustannego rozwoju i doskonalenia warsztatu aktorskiego.*

W 2006 spotkała młodego reżysera Michała Siegoczyńskiego. Od dawna podziwiała go za różnorodność tematyczną, oryginalność stylu i nowatorstwo technik teatralnych. Ich znajomość zaowocowała wspólną pracą nad monodramem „...syn”, napisanym przez Siegoczyńskiego specjalnie dla koszalińskiej aktorki. Premiera spektaklu okazała się trzydziestą w zawodowej karierze Żanetty. - *To jedno z naj-*

bardziej cennych doświadczeń w moim życiu – wspomina Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska. – Monodram „...syn” także zajmuje w mojej biografii miejsce szczególne. To bardzo trudna, wyczerpująca emocjonalnie realizacja, a jednak przynosi mi mnóstwo satysfakcji.

Chociaż Żanettę Gruszczyńską-Ogonowską wielokrotnie podziwialiśmy w sztukach z kanonu wielkiej teatralnej klasyki, aktorka podkreśla, że najlepiej czuje się w repertuarze współczesnym:

- *Bardzo mi odpowiada preferowany przez teatr niemiecki i polską awangardę teatralną styl, odrzucający koturnowość na rzecz poszukiwania posuniętej do bólu psychologicznej prawdy i maksymalnej naturalności w przekazywaniu scenicznych kwestii. Sukcesy ...syna, w którym po raz pierwszy zastosowałam tę technikę, potwierdzają jej słusność.*

Krytycy o monodramie „...syn”

Miłość w czasie... talk-show

„Zaczyna się upiornie, kiczowatymi światełkami jak z telewizyjnego studia; pretensjonalna baba mizdrzy się do widowni, śpiewa jakąś haniebną piosenkę. Ale to rozpęd tylko. W niespełna godzinny monolog aktorka jak po sznurku prowadzi widzów od blichtru talk-show do niebłyszczącej prawdy o dziewczynie przyjeżdżającej do miasta na studia, wielkiej miłości, krachu, jeździe na dno, próbie zabicia dziecka, więzieniu. Gdy kończy, jest szara. Z Michałem Siegoczyńskim, autorem i reżyserem monodramu „...syn”, można by się wadzić o nazbyt przewidywalny tok opowieści, ale w niczym nie umniejsza to precyzji i klasy roboty aktorki koszalińskiego Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Nagroda w ogólnopolskim konkursie na wystawienie polskiej sztuki współczesnej zasłużona bez wątpienia.”

(Jacek Sieradzki, Subiektywny spis aktorów teatralnych. „Polityka”, 20 sierpnia 2007)

„Wstrząsająca historia wygrywana jest na naszych emocjach, ale bez cienia fałszu. Ten spektakl wyciska łzy z oczu publiczności i samej aktorki, która nie odgrywa swojej postaci, tylko się z nią zlewa w jedną całość. Tematy, jakie zostają w tym tekście poruszone - toksyczna miłość i dzieciobójstwo - to zjawiska z naszego powszedniego życia, historie, które rozgrywają się gdzieś obok nas, a czasem we własnych domach. Formuła talk-show, według której przedstawienie zostało zrealizowane, doskonale odzwierciedla rzeczywistość, która nas otacza. Nie ma już tematów tabu, wszystko jest „na pokaz” i rozgrywa się na naszych oczach.”

(Aneta Dolega, Miłość, która zabija, „Kurier Szczeciński”, 3 października 2007, nr 190/1.10.)

Bałtycki Teatr Dramatyczny, Anne Reynolds, Moira Buffimi, „...syn”, scenariusz i reżyseria Michał Siegoczyński, scenografia Wojciech Stefaniak, choreografia Iwona Olszowska, kostiumy Ewa Gdowiok, oprawa muzyczna Wojciech Wnęk, projekcje multimedialne Grzegorz Bachanek, wykonanie Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, premiera 16 października 2006.

Udana powtórka z Osieckiej

Na początku 2007 roku rozpoczęto remont generalny Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, a już 31 marca odbyła się pierwsza premiera poza macierzystą siedzibą BTD przy ul. Heleny Modrzejewskiej – spektakl „Café Sax” w reżyserii Cezarego Domagały, oparty na 22 piosenkach Agnieszki Osieckiej.

Była to premiera niezwykle udana, a spektakl widzowie pokochali od pierwszej chwili. Ale czyż mogło być inaczej? W codziennym wirze dni, w bieżących sporach społecznych i politycznych rzadko uświadamiamy sobie, jak dalece dzisiejsze pokolenie czterdziesto- i pięćdziesięcioletków ukształtowane zostało przez piosenki Osieckiej. Mimowolnie wplatamy cytaty z jej twórczości do codziennych rozmów i do puentowania codziennych sytuacji, nie wiedząc, że „mówimy Osiecką”. Nasza wrażliwość, ocena stanów emocjonalnych, nasze wycucie poezji to między innymi spadek po Osieckiej. Więc już sama perspektywa wyjścia do teatru, gdzie w scenicznej formie będziemy mogli zobaczyć aktorskie wykonania znanych i kochanych piosenek, musi budzić podekscytowanie, a twórcom spektaklu daje ogromny kredyt zaufania.

Cezary Domagała tego zaufania nie zawiódł dzięki kilku zabiegom. Po pierwsze: nie czuł się skrępowany i zobowiązany pierwotnymi, cza-

sami mistrzowskimi interpretacjami piosenek-przebojów. Po drugie: nie próbował niczego udziwniać, scenicznie rozbudowywać. Postawił na skromne scenki, z niewielkimi dialogami, ale wyraziście zagrane. Po trzecie: zaufał publiczności pozostawiając spore pole na własne „podróże sentymentalne” z piosenkami Agnieszki Osieckiej, przez co wielu widzów nuci pod nosem wyśpiewywane ze sceny szlagiery, z rozmarzeniem wspominając kontekst w jakim powstawały.

Przedstawienie rozgrywa się w scenerii ulubionej przez „poetessę” kawiarni, gdzie spędzała wiele czasu na obserwacji ludzi, rozmowach z nimi i pisaniu. W klimat twórczości Osieckiej wprowadza nas piosenka „Okularnicy”, sztandarowy utwór STS-u, znak rozpoznawczy nie tylko teatru, ale całego pokolenia, które debiutuje po odwilży 1957 roku. Pokolenia Agnieszki Osieckiej, Marka Hłaski, Zbyszka Cybulskiego, które próbuje zrzucić „okulary, przez które ludzie wyglądają szaro”, „a twórcy dopóki ich nie zrzucą, nie stworzą rzeczy lepszych” - mówi w jednej z pierwszych kwestii alter ego Agnieszki Osieckiej, Poetka, grana przez **Małgorzatę Wiercioch**. Zaraz potem następuje muzyczna odpowiedź kolejną piosenką: „Pogoda na szczęście” w wykonaniu **Artura Czerwińskiego**, który gra w spektaklu barmana, z ciepłem i życzliwością przyglądającego się gościom „Café Sax” - aktorsko dobry, nieco mniej jest doskonały wokalnie. Ot! jak prawdziwy barman.

A potem już jedna po drugiej pojawiają się w kawiarni postaci znane nam dobrze z twórczości Osieckiej: „mężczyzna z przeszłością”, „szpetny czterdziestoletni” i „kobieta po przejściach”, z sennych marzeń i nocnych barów. Snują opowieści o sobie, swoich marzeniach, niespełnionych tęsknotach i kłękach. Agnieszkę Osiecką interesowało prawdziwe życie, patrzyła nań trochę po dziennikarsku, więc i jej piosenki są jak mini-reportaże o uwikłaniu wrażliwego człowieka w codzienność, o niemożności porozumienia między kobietą a mężczyzną, o zranionych uczuciach i manowcach namiętności.

Teksty piękne, mądre, czasami przewrotne, czasami zabawne, a gdy jeszcze do tego dojdzie aktorsko i reżysersko przemyślane wykonanie, to możemy się wtedy zachwycać takimi perełkami, jak „Mówiłam żartem” Małgorzaty Wiercioch i **Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej**, „Na zakręcie” **Katarzyny Ulickiej-Pydy**, „Filiżanka kawy” Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej czy „Szpetni czterdziestoletni” **Wojciecha Rogowskiego**.

Koszalińscy aktorzy nie sugerowali się zbyt nio mistrzowskimi wykonaniami Kaliny Jędrusik, Krystyny Jandy czy Maryli Rodowicz. Poszukiwali własnych interpretacji i w większości piosenek dało to dobre rezultaty. Najbardziej chęć odcięcia się od pierwowzorów widać u Katarzyny Ulickiej-Pydy, zwłaszcza w „Małgoście” i w „Na zakręcie”.

Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska najbardziej przekonuje tam, gdzie jej wykonanie jest pastiszem; najlepszym przykładem jest interpretacja piosenki Kaliny Jędrusik „Na całych jeziorach – ty”. Uznanie budzi też skuteczne przełamanie silnie utrwalonej w świadomości, wyra-

zistej interpretacji piosenek należących do „kanonicznego” repertuaru Maryli Rodowicz, jak choćby „Bossa nova do poduszki” i „Nie ma jak pompa”. W tej ostatniej piosence aktorka wspólnie łączy parodię z groteską, piękny śpiew, grę aktorską i taniec.

Scenki i dialogi pomiędzy piosenkami nie są najmocniejszą stroną tego spektaklu, ale rozumiem, że jakoś trzeba było połączyć, scalić w jedną opowieść utwory będące samodzielnymi bytami literacko - muzycznymi. Tylko dla czego czasami tak bardzo brakuje finezji aktorskiej, np. w scenie spotkania po latach Pana Czesia z Panem Lesiem?

I na koniec jeszcze jedna uwaga: dla recenzentów i wielbicieli Agnieszki Osieckiej, piosenką - puentą, piosenką najdramatyczniej i najzwięźle oddającą wszystko to, co wiedziała poetka o życiu, jest „Niech żyje bal”. Trochę żal, że nie kończy ona przedstawienia. Choć gdyby to nią kończyło się spotkanie w „Café Sax”, może nie wychodzilibyśmy z teatru tak uśmiechnięci i zadowoleni?



Bałtycki Teatr Dramatyczny, „Café Sax”, reżyseria Cezary Domała, kierownictwo muzyczne Paweł Steczek, scenografia Tatiana Kwiatkowska.

Zespół muzyczny w składzie: Tomasz Tukajski – fortepian, Robert Kwiatkowski, Bartosz Grudziński – perkusja, Grzegorz Wypych – gitara, Maciej Radek, Artur Jochym – kontrabas.

Obsada: Artur Czerwiński, Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, Wojciech Rogowski, Katarzyna Ulicka-Pyda, Małgorzata Wiercioch, Leszek Żentara.

Premiera 31 marca 2007

fot. Jakub Ruszkowski

O dwoistości męskiej natury

O tym, jak trudno przeniknąć męskie ego z pewnością przekonała się niejedna kobieta. Kulisy tajemnicy męskiej psychiki mogą więc intrygować... zwłaszcza, gdy przedstawione zostają w tak zabawnej, inteligentnej, przewrotnej i mądrej sztuce, jaką są „Dialogi penisa” współczesnego, francuskiego dramaturga Pierre’a-Henri Theronda. Wyreżyserował ją w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym Krzysztof Galos, dla którego nie jest to pierwsze spotkanie z koszalińską sceną. Przypomnijmy, iż realizowane przez niego spektakle: „Gdyby” Bogusława Schaefera (1996 r.), „Studio Paniki Rolanda Topora”(1999), musical „Raj” Włodzimierza Jasińskiego”(2000) i „Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska (2005), wpisały się w historię koszalińskiego teatru jako interesujące i oryginalne widowiska. W „Dialogach penisa” Krzysztof Galos potwierdził swoją klasę jako twórca obdarzony inwencją i swobodą w żonglowaniu teatralnymi stylistykami.

Od czasu premiery w czerwcu 2007 *Dialogi penisa* cieszą się niesłabnącą popularnością. Zagadki męskiej duszy wciąż intrygują, zwłaszcza, że próbuje je przybliżyć postać tak niekonwencjonalna, jak Roger, czyli personifikacja tej części męskiego ciała, którą zazwyczaj pomija

się milczeniem... Może więc teraz łatwiej będzie znaleźć odpowiedzi na wiecznie aktualne pytania? Czy w psychice homo sapiens płci męskiej możliwe jest harmonijne współistnienie antagonistycznych sfer – tej witalnej, mrocznej i tej racjonalnej, kulturowej? Czy męczyzna determinowany jest wyłącznie buzującym testosteronem? A może za maską pewnego siebie, uzależnionego od seksu Casanovy ukrywa się spragniony ciepła i tęskniący za miłością, zagubiony człowiek?

Opatrzona dość bulwersującym tytułem historia o uczuciowym dojrzewaniu pewnego zblazowanego czterdziestolatka zaintrygowała reżysera:

Ten tekst wpisuje się w krąg moich osobistych zainteresowań, dotycząc indywidualnego myślenia o zjawisku „męskości” – i to w różnych kontekstach – powiedział Krzysztof Galos. – Zaintrygował mnie wyeksponowany w sztuce wątek Casanovy, zainteresowały komediowo przedstawione zagrożenia dla przyszłości francuskiej populacji oraz tematyczny związek z niedawno przeczytaną wstrząsającą książką „Wojna plemników” Robina Bakera, opowiadającą o życiu jako „sztafecie plemników”. Zafascynowała mnie również komediowo przedstawiona antynomia ludzkiej psychiki. To miejsce nieustannej walki odmiennych sfer – tej uznawanej za niższą, czyli, popędowej, „libidalnej” – z częścią racjonalną, uwarunkowaną kulturą, tradycją, obyczajami, która umożliwia bezproblemowe funkcjonowanie w społeczeństwie. To bardzo ważne, gdyż odwieczna sprzeczność libido z rozumem jest źródłem niesamowitych konfliktów i kompleksów. Czasami czuję w sobie takiego „męskiego potwora”, który próbuje mną zawładnąć. I chociaż zalamuję ręce... uwielbiam to swoje libido!

Wspomnianą przez reżysera „odwieczną sprzeczność” doskonale odzwierciedlają bohaterowie spektaklu. Uwikłany w pułapkę seksu i pieniędzy André (**Piotr Krótki**) prowadzi swobodny żywot playboya. Przez purpurowe łóżce zalotnego architekta przewijają się sentymentalna Clara i zmysłowa Véronique, a obie panie

pozostają w całkowitej nieświadomości istnienia „tej drugiej”. Cóż, historia, jakich wiele, ale nie do końca. Trzeba bowiem dodać, że inspiratorem erotycznych podbojów naszego bohatera jest Roger (**Jacek Piotrowski**) czyli... jego penis, przedstawiony początkowo jako bezwzględne uosobienie męskiego egocentryzmu. Wraz z rozwojem wydarzeń pokojowe współistnienie obu panów staje się zagrożone. Nieopstrzeżenie bowiem nadchodzi kryzys psychiczny, którego ofiarą pada André... Erotyczne podboje stają się pieśnią przeszłości.

Zbudowane z błyskotliwie pointowanych dialogów przedstawienie konsekwentnie przedstawia nieoczekiwaną przemianę zarówno Andre, jak i jego zaskakującego interlokutora. Czas mija i oto w duszy bohatera rodzi się tęsknota za stałym związkiem, za kobietą potrafiącą docenić jego męską wrażliwość. To nic nowego, wszak czasem bohaterowie bywają zmęczeni! Jednak zaskakującym i przewrotnym, dynamizującym całą historię pomysłem, jest fakt, iż to właśnie wciąż żądny nowych wrażeń penis kieruje swego właściciela w stronę stabilizacji. Dlaczego? Po prostu pewnego dnia odkrywa swoje życiodajne przeznaczenie...

W scenicznym duecie następuje więc dynamiczna konfrontacja krańcowo odmiennych życiowych postaw, inspirowana przez obdarzonego bardzo silnym charakterem Rogera. W tę postać brawurowo wcielił się **Jacek Piotrowski**. Nie ma najmniejszych wątpliwości, kto tutaj rządzi! Personifikacja penisa jest osobnikiem wprawdzie o sympatycznie rozwichrzonej osobowości, ale jakże kapryśnym i despotycznym. W przeciwieństwie do stonowanego i wyciszzonego André, ekscentrycznie odziany, ozdobiony złotym łańcuchem i szokującym tatuażem Roger aż kipi anarchizycznym żywiołem. Posługuje się również argumentami nie do odrzucenia – aby ostatecznie zdominować swego nieszczęsnego właściciela posunie się nawet do szantażu.

Cóż bowiem zdziała mężczyzna, gdy jego penis ogłosi strajk? Skutki bywają groźne. Bezrad-

ność może przerodzić się w depresję, a stąd już tylko krok do jeszcze poważniejszych schorzeń psychicznych. Może nawet pojawić się schizofrenia! Niezbędna więc okazuje się pomoc psychiatry... i jak na zamówienie pojawia się doktor Desmoulins (zmieniony nie do poznania, przezabawny **Jacek Piotrowski**). Spotkanie dwóch panów jest doskonale skonstruowaną, sięgającą najlepszych komediowych tradycji scenką. Nie oznacza jednak szczęśliwego finału życiowych dylematów André. Wkrótce okazuje się, że los przygotował dla naszego bohatera kolejne niespodzianki... Czy znowu pochłonie go szaleństwo świata?

Dialogi penisa – to pełna delikatnej pikantarii opowieść o męskich namiętnościach i pragnieniach. Reżyserski kunszt **Krzysztofa Galosa** nasycy tę historię ciepłym humorem i optymizmem. W budowie scenicznych sytuacji reżyser przedkłada delikatną sugestię nad dosłowność, znakomicie łączy elementy farsy i surrealistycznej groteski z psychologiczną analizą sekretów męskiej duszy. Wzbogaca swoją opowieść subtelnym zmysłem ironii, pomysłowo zderza absurdalny humor spod znaku Wood’ego Allena z łagodną zadumą nad sensem życia. Zaskakuje inscenizacyjną inwencją, a w finale objawia się jako mistrz fantasmagorycznych klimatów. Doskonale też prowadzi koszalińskich aktorów przez meandry swoistej psychodramy, która przecież do najłatwiejszych gatunków zdecydowanie nie należy. Swoją „dozwoloną od lat osiemnastu” realizację adresuje głównie do par, tych młodych i nieco starszych, które z pewnością zainteresują tak atrakcyjnie scenicznie rozważania na temat seksualności. Zarówno tej męskiej, jak i kobiecej.

Bałtycki Teatr Dramatyczny, Jean-Pierre Théron, „Dialogi penisa”, reżyseria Krzysztof Galos.

Obsada: Piotr Krótki, Jacek Piotrowski, Sylwia Różycka.

Premiera 9 czerwca 2007

niez dynamiczne sceny zbiorowe, odważnie i nowatorsko kreuje sceniczną przestrzeń. (...)

Joanna Nowińska, Miesięcznik nr 11, 5 grudnia 2007

Piękna romantyczna poezja

(...) Dzieje Kordiana, które obejrzelśmy na scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, są ilustracją duchowych przemian bohatera. Młodziutki, nieszczęśliwie zakochany idealista, rozpoczyna etap podróży po świecie, stopniowo tracąc złudzenia i wiarę. Na ośnieżonym szczycie Mont Blanc dojrzewa do wielkiej metamorfozy. Zmagając się z obecnymi w duszy demonami odnajduje cel i sens życia w walce o wolność ojczyzny. Zagubiony w nieprzyjaznym świecie, dramatycznie rozdarty romantyk zmienia się w spiskowca przepelnionego pragnieniem zabicia cara - symbolu znieprawdzonego zaborcy. Jednak w decydującej chwili zabraknie determinacji, urzeczywistnienie planów przerasta jego siły.

Dramat niespełnionego buntownika Jan Skotnicki przekłada na sceniczne obrazy, uderzające konsekwencją i precyzją, wspaniałym wyczuciem teatralnej formy, a jednocześnie różnorodnością nastrojów. Czysty, typowo romantyczny liryzm z początkowych scen stopniowo przechodzi w mroczną, rozgrywaną w fantasmagorycznym klimacie opowieść o gorączkowym szaleństwie i zachwianej równowadze widzenia. Jan Skotnicki znakomicie aranżuje rów-



Jacek Piotrowski i Piotr Krótki

Bałtycki Teatr Dramatyczny, Juliusz Słowacki, „Kordian”, reżyseria Jan Skotnicki, scenografia Małgorzata Treutler, muzyka Mirosław Jastrzębski.

Obsada:

Jerzy Balbuza (współpraca) - Prezes, Dozorca,
Karolina Bratz - Anioł Biały, Wioletta
Wojciech Broda-Żurawski - Grzegorz, Żołnierz, Starzec
Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska - Anioł Czarny, Laura
Saniwoj Król / Marcin Rój (współpraca) - Kordian
Piotr Krótki - Car, Doktor
Grzegorz Kućma - Szydłwach, Kurata, Szwajcar, Lud
Jacek Piotrowski - Dozorca, Drugi Wariat, Lud
Wojciech Rogowski - Konstany
Leszek Żentara Papież, Ksiądz.
Premiera 6 października 2007
Zdjęcia: Jakub Ruszkowski, archiwum BTS



„Kordian” - scena zbiorowa



„Kordian” - Marcin Rój i Karolina Bratz

Artystyczne Biesiady w Policku

Zaczęło się od nocy
czerwcowej...

Od pięciu lat malownicza sceneria Cichego Dworu w podkossalińskim Policku jest miejscem spotkań sympatyków sztuki teatralnej. Tę tradycję zapoczątkowała w 2003 roku „Pieśń o nocy czerwcowej” – wyreżyserowany przez Krystynę Kuczewską-Chudzikiewicz poetycki spektakl oparty na twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Aktorem prezentowanych w Policku spektakli jest Jerzy Bokiej, doświadczony aktor Teatru Propozycji „Dialog”, a zarazem właściciel Cichego Dworu.

*- W czerwcu noc zapada bardzo późno, więc ten pierwszy plenerowy spektakl rozpoczął się o godzinie 23-ciej – wspomina prezes Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog” **Bogdan Gutkowski**. – Efekt był wspaniały. Byłem zachwycony monodramem, scenografią Krystyny Kuczewskiej-Chudzikiewicz, płonącymi świeczkami rozsyjanymi na polu. Już wówczas do Policka przyjechało sto dwadzieścia osób. Z roku na rok towarzyszyła nam coraz liczniejsza publiczność. Drugi plenerowy spektakl odbył się na początku wrześ-*

nia 2004, inaugurując sezon artystyczny „Dialogu”. Zapropnowałem wówczas modyfikację programu i w Policku, obok sztuki teatralnej pojawiła się również plastyka i muzyka. Od tej chwili spotkania zaczęły być realizowane jako Artystyczne Biesiady, inaugurujące kolejne sezony teatru Propozycji „Dialog”.

Pięć lat – to już mały jubileusz. Taka okazja sprzyja wspomnieniom.

Po urokliwej „Nocy czerwcowej” w Policku przyszedł czas na twórczość Bolesława Leśmiana. W roku 2004 poetyckie widowisko „W cieniowym istnieniu bezładzie...” przygotował sprawdzony już reżysersko-aktorski tandem: Krystyna Kuczewska-Chudzikiewicz i Jerzy Bokiej. Przełożenie na sceniczne obrazy bogactwa znaczeń, a także ulotnych, nie do końca wypowiedzianych uczuć zrodzonych w wyobraźni wielkiego wizjonera polskiej poezji, nie było zadaniem łatwym. Jednak artystyczna wrażliwość reżysera i aktora umożliwiła wykreowanie baśniowego świata na pograniczu snu i jawy, pełnego namiętności, wzruszeń i piękna, za którym wszyscy tęsknimy... Magię tego nasyconego liryzmem widowiska podkreślała uroda plenerowej scenerii i sugestywna muzyka kreująca symboliczno-wizyjny świat zaludniony postaciami przeniesionymi z ludowych ballad, baśni i legend. I oto na oczach widzów prastawiański mężczyzna przeobrażał się w poetę – „niebieskiego wycierucha” zbuntowanego przeciw sztywnym obyczajowym konwencjom, następnie w bohatera „Ballady dziadowskiej”, uwodzonego przez piękną rusalkę, wreszcie w odrzuconego przez bliskich żołnierza-inwalidę, znajdującego ukojenie w specyficznym przymierzu z Bogiem.

Spektaklowi teatralnemu towarzyszyły w 2004 roku spotkanie ze sztuką plastyczną. Swoje prace – tkaniny, obrazy i kompozycje przestrzenne – zaprezentowało ośmioro kossalińskich artystów: **Greta Grabowska, Maria Idziak, Grażyna Kordas-Parczewska, Paweł Daciuk, Jerzy Kurkiewicz, Krzysztof Rećko-Rapsa, Andrzej Słowik i Mariusz Włodarczyk.**

W 2005 roku Biesiada w Policku rozpoczęła się od otwarcia wystawy zaaranżowanej w wozowni Cichego Dworu. Zaproszenie do udziału w tej wystawie, towarzyszącej obchodom 50-lecia Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Koszalińsko-Słupskiego, przyjęło osiemnastu artystów: **Paweł Daciuk, Teodor Dimczewski, Bożena Giedych, Łucja Końko, Witold Lubiniecki, Marek Łęgowski, Piotr Maksymiuk, Edward Malinowski, Ewa Miśkiewicz-Zębrowska, Paweł Narkowicz, Kazimierz Rajkowski, Krzysztof Rećko-Rapsa, Agnieszka Sienkowska, Elżbieta Stankiewicz, Zofia Szreffel, Janusz Tężycki, Dorota Waligóra i Mariusz Zieliński.** Obejrzelśmy kalejdoskop różnych stylów i technik plastycznych – od realistycznych pejzaży i portretów poprzez monochromatyczne tkaniny i baśniowe w nastroju kompozycje, aż do uderzających barwnymi kontrastami abstrakcji.

Część teatralną wieczoru wypełnił wyreżyserowany przez **Stanisława Miedziewskie-**

go spektakl „Rzysko”, oparty na poezji kolejnego wielkiego poety – Jarosława Iwaszkiewicza. Wiersze, wybrane przez **Krystynę Strzałko** z jego bogatej spuścizny, ułożyły się w filozoficzną przypowieść o radości życia, a jednocześnie o smutku przemijania i konieczności pogodzenia się z nieuchronnym kresem... Błyskotliwa, pełna efektownych pomysłów inscenizacyjnych reżyseria S. Miedziewskiego zdynamizowała kolejne obrazy. Oto na ganku szlacheckiego dworku, przywołującego wspomnienie ukochanego domu Iwaszkiewicza w podwarszawskich Stawiskach, pojawia się Poeta, by dokonać swoistego posumowania swej długiej twórczej drogi i pożegnać się z życiem, w którym nie zabrakło miłości i szczęścia, wzlotów i upadków, sławy i niesławy, cierpienia i wzruszeń. Żył długo i barwnie. Teraz – u kresu – za jego powściągliwym uśmiechem kryje się smutek, za parawanem spokojnej rezygnacji, pogody i radości otwiera się otchłań, w której pograżyło się już tyłu przyjaciół. Ostatnim wyznaniem poety patro-



„Klatki” Andrzeja Słowika

fot. Zdzisław Pacholski

nuje już Bóg Śmierci – okrutny Tanatos. Znika bezpowrotnie przywoływana przez poetę „pogoda lasu, pogoda wody, pogoda burzy, pogoda nieba i pogoda czasu...”

Głębię filozoficznych przemyśleń, a jednocześnie bogactwo znaczeń zawartych w późnej twórczości Jarosława Iwaszkiewicza przejmując przekazał **Jerzy Bokiej**, pełen naturalności i prawdy zarówno jako mistrz zmysłowej, nastrojowej symboliki, jako żarliwy piewca urody życia, jako kolekcjoner i koneser egzotycznych pejzaży zintegrowanych klimatem melancholii w poetyckie pocztówki z różnych stron świata, a także jako zbliżający się już do kresu ziemskiej podróży wędrowiec. To jedno z najbardziej przejmujących wcieleń Poety. Znika epikurejska pogoda ducha... Spotkanie z odzianym w symboliczną czerń Tantosem (wyrazista rola **Jerzego Litwina**) przeradza się w metaforyczną i z góry skazaną na klęskę walkę Życia ze Śmiercią, zakończoną finałowym dance macabre...

W 2005 r. kolejna Artystyczna Biesiada znów połączyła teatr i plastykę. Tym razem pojawiła się także muzyka, a to za sprawą krakowskiego barda **Pawła Orkisa**. Znany z ubiegłego roku duet Miedziewski - Bokiej zaproponował spektakl „Orfeusz i Eurydyka” oparty na tekstach Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Reinera Marii Rilkego i C.K.Williamsa, którzy w swej twórczości zmierzili się z mitem o miłości silniejszej niż śmierć.

Czy wpisanie własnego bólu w odwieczny topos pomoże pogodzić się ze stratą ukochanej? Odpowiadając na te pytania Czesław Miłosz stworzył porywającą i dramatycznie osobistą poetycką wizję śmierci zwyciężonej przez miłość, a także odnowicielskiej, kreatywnej siły poezji i ukojenia, niesionego cierpiącej duszy przez niemal intymny kontakt z naturą.

Wszystkie odcienie tej artystycznej, pełnej gwałtownych emocji mozaiki, mistrzowsko przełożył na język teatru Stanisław Miedziewski. Podobnie jak wszystkie, reżyserowane przez niego spektakle, także „Orfeusza i Eurydykę” charakteryzuje emocjonalna intensywność,

estetyczne wyrafinowanie i wielka inscenizacyjna wyobraźnia. Tworząc swój spektakl o tęsknocie, determinacji, miłości i śmierci reżyser spojrział na stary mit z dzisiejszej perspektywy, interesująco splatając antyczne motywy z realiami współczesności. Swoją opowieść przedstawił we wnętrzu starej wozowni Cichego Dworu. Minimalizm dekoracji, gra światła i cieni, przejmująco piękna muzyka podkreślały magiczny charakter historii odwiecznej walki życia ze śmiercią. W oryginalną wizję Stanisława Miedziewskiego wpisał się Jerzy Bokiej, który przejmując wykreował na scenie postać zagubionego w swych tęsknotach współczesnego Orfeusza. Są w jego kreacji sceny poruszające swą dynamiką i ekspresją, nasycone rozpaczą i bezradnością. Ale jest również nadzieja... Współczesny Orfeusz – tak jak w poemacie Czesława Miłosza zagubiony i niepewny, czy starczy mu sił w tej ostatniej próbie – „kulil się w porywistym wietrze, który targał jego płaszczem, toczył kłęby mgły”. I właśnie takim go zapamiętamy.

Magię przeniesionego na scenę mitu Orfeusza i Eurydyki podkreślały – związane tematycznie i z Czesławem Miłoszem i dziejami antycznych kochanków – przestrzenne instalacje wkomponowane w otaczającą Cichy Dwór zieleni. To efekt pleneru plastycznego w Policku, poprzedzającego Artystyczną Biesiadę. Jego uczestników przedstawiła **Jadwiga Kabańska**, podkreślając, że „*granice między sztuką a rzeczywistością powinny być tak płynne, jak tylko to jest możliwe*”. Zainspirowani siłą mitu arteści – **Witosław Czerwonka** i **Wojciech Zamiera** z Sopotu, **Aga Rożnowska** z Poznania, **Sebastian Wywiórski** z Krakowa oraz **Andrzej Słowik** i **Paweł Daciuk** z Koszalina – przełożyli swoje fascynacje na plastyczne formy, zaskakujące różnorodnością i wyobraźnią.

Wyrazistym akcentem finałowym tej Biesiady okazał się koncert **Pawła Orkisa** „Ballady na początek wieku” - *W podróż po XXI wieku warto zabrać najcieplejsze uczucia i najpiękniejsze emocje – wiarę, nadzieję i miłość. Odnajdziecie je państwo w pieśniach Włodzimierza Wysockiego,*

Leonarda Cohena i Bulata Okudźawy, które przygotowałem na dzisiejsze spotkanie – zapowiedział artysta swój recital, który okazał się muzyczną uczcą.

Ostatnia Teatralno-Muzyczna Biesiada wpiśała się w obchody Roku Wyspiańskiego, jaki proklamowano na rok 2007. Tym razem S. Miedziewski i J. Bokiej postanowili zmierzyć się z niezwykle trudnym artystycznym wyzwaniem i – prawdopodobnie po raz pierwszy w historii polskiego teatru – przedstawić „Wesele” w formie... monodramu. Zamyśl wydawał się karkołomny. Wprawdzie aktorowi towarzyszyły efektowne wizualnie lalki (dzieła **Beaty Jasione**k i **Barbary Sosnowskiej**), a ukrytą w dramacie Wyspiańskiego wizyjność podkreślała niepokojąca gra światła i sugestywna scenografia autorstwa **Zbigniewa Macieja Cyglera**. Ale „Wesele” jako monodram?

Twórcy spektaklu wyszli zwycięsko z tej próby. Słowa uznania należą się reżyserowi. Łącząc teatralną erudycję z poczuciem humoru, celnością obyczajowych obserwacji, wielkim wy-

czuciem i wyobraźnią w budowaniu nastrojowych scen wizyjnych, wykreował na scenie nasycone głębokimi emocjami widowisko. Jego siłą jest oryginalność przekazu, konsekwencja w sposobie scenicznej narracji i porywający rytm scen, podkreślony świetnie dobraną muzyką. Może w ludowo-narodowym klimacie nieco zaskakującą, gdyż ze sceny płyną dźwięki bałkańsko-cygańskich melodii, ale... przecież jesteśmy w Europie! To tylko jeden z wielu – oprócz jakże przewrotnego finału – akcentów charakteryzujących w lekko anarchizujący, ale tym bardziej przecież interesujący styl sztuki reżyserskiej Stanisława Miedziewskiego.

Kolejne gratulacje należą się **Jerzemu Bokiejowi**, którego rola w „Weselu” wydaje się być najtrudniejszym zadaniem w jego dotychczasowej praktyce. Dowiódł on, że możliwe jest przekonywująco wcielać się w krańcowo odmienne w charakterze postacie, zderzając jednocześnie narodowe mity ze stereotypem Polaka. Każda z barwnej galerii wykreowanych przez niego postaci była pełna i wielowymiarowa. Publiczność doceniła aktorski kunszt Jerzego Bokieja, nagradzając go owacją na stojąco.

Ubiegłoroczna Biesiada w Policku należała do silnych i wyrazistych artystycznych osobowości. Z recitalem wystąpiła aktorka warszawskiego Teatru „Rampa” – **Agnieszka Matysiak**. Talent, niepowtarzalna barwa głosu i wyrazista sceniczna ekspresja czynią z niej zjawisko w świecie piosenki literackiej. Wieczorną Biesiadę wzbogaciła recitalem złożonym z dramatycznych pieśni Edith Piaf i uroczych, lirycznych piosenek Kaliny Jędrusik. Świetnie skomponowany muzyczny spektakl ukazał pełnię wokalnych i aktorskich talentów Agnieszki Matysiak.

Jak można podsumować te pięć minionych lat? Każde z kolejnych spotkań w Policku staje się artystycznym wydarzeniem. Trudno się więc dziwić, że z roku na rok towarzyszy Artystycznym Biesiadom coraz większe zainteresowanie publiczności. W ubiegłym roku organizatorzy powtórzyli *Wesele*, które 31 sierpnia i 1 września obejrzało ponad tysiąc widzów.



Agnieszka Matysiak
na „biesiadnej” scenie w Policku

foto. arch. STP „Dialog”

„Wesele” na jednego aktora i zmechanizowane pałuby

„Domek mały, chata skąpa, Polska, na wesele, na wesele do Policka.”

Jest 1 września 2007, godzina 20, przed „chatą małą” (nie taka mała, bo to obszerny dwór, podniesiony z ruiny i przywrócony pomorskiemu krajobrazowi) zajeżdżają samochody, autokary, bryczki, powozy, wolanty z gośćmi weselnymi. Sześćset osobowa publiczność. W roku, który ogłoszony jest jako Rok Stanisława Wyspiańskiego, koszalińskie Stowarzyszenie teatr propozycji „Dialog” proponuje zdarzenie teatralno – towarzyskie.

Miejsce zdarzenia: ogromna wozownia (była obora przy dworze). W tej niezwyklej sali zbudowano konstrukcję, coś w rodzaju estrady, zainstalowano specjalnie skonstruowaną teatralną rampę z oświetleniem, ustawiono dekorację, która przedstawia wnętrze domu weselnego: białe ściany, okno, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, łóżko z pierzynami, stół, przy stole siedzące postaci. To pałuby zmechanizowane naturalnej wielkości człowieka, które biorą udział w przedstawieniu. Reprezentują osoby z dramatu Wyspiańskiego. Są to więc: Radczy-

ni, Panna Młoda, Poeta, Dziennikarz, Jakub Szela, Dziad, Hetman Branecki, Stańczyk, Wernyhora, Jasiek ze Złotym Rogiem. Stół zastawiony butelkami z wódką. Okno – przedmiot autentyczny, wyrwany z jakiegoś domu, przeniesiony w przestrzeń teatralną, ożywać będzie jako znak i instrument budowania nastroju. Oczywiście, za oknem słomiana wiecha.

Opisana powyżej scenograficzna aranżacja, a raczej instalacja, została przygotowana jako swoiste instrumentarium dla jednego aktora, wykonawcy, który zamierza dosłownie buszować w tekście „Wesela”. Na tę okazję poważyliśmy się zaproponować formę teatru jednego aktora, opartego na fragmentach dramatu Wyspiańskiego. Czy za tą decyzją stoi jakieś nieoczekiwane odczytanie dramatu? Nie. Forma, kształt tego zdarzenia, zostały wymuszone okolicznościami rzeczywistości poza teatralnej, zastanej w Policku. Po pierwsze, wieloletnia tradycja inauguracji kolejnego sezonu teatralnego Teatru „Dialog” ma miejsce w tej wozowni lub w otaczającym dwór parku, ale z powodu spodziewanego deszczu o tej porze, przedstawienie przygotowywaliśmy w przestrzeni zamkniętej, pod dachem. Drugi warunek, bardziej istotny, to gospodarz dworu w Policku, Jerzy Bokiej, aktor „Dialogu”, który od lat występuje w podobnych okolicznościach, jako wykonawca monodramu. Jak dotąd, zawsze z sukcesem. On, jako Gospodarz tego miejsca (dziś o szczególnej sławie) i Artysta Teatru, zaprasza do siebie zarówno publiczność, jak i autora, któremu to zdarzenie jest poświęcone. Pierwszego września 2007 tym szczególnym gościem był sam Stanisław Wyspiański. Wieczór zaś otworzył Bogdan Gutkowski - prezes Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog”, światły kapitalista i obywatel miasta Koszalin, angażujący w to przedsięwzięcie swoją pozycję, umiejętności menedżerskie i kapitał.

Wracając do przestrzeni, w której odbyło się to spotkanie. Całość wozowni – obory, zaaranżowano jako miejsce przyjęcia weselnego – a więc długie stoły, ławy, na ścianach wystawa



„Wesele” w Policku
- scena ze spektaklu

fot. Zdzisław Pacholski

prac artystów ludowych, przy wejściu do sali orkiestra ludowych grajków, bufet z poczęstunkiem: zjawiskowy bigos, przygotowany przez panią Basię Bokiej, kaszubski smalec, chleb i beczka piwa. Ludowy piknik, na który przybyli rżadni rozrywki i towarzyskiej sensacji inteligencji z miasta – w większości od lat towarzyszący działaniom „Dialogu”. Sprzedano sześćset biletów.

Na ten monodram według „Wesela” wybraliśmy kilka scen z drugiego aktu, dołączyliśmy do tego fragmenty utworów poetyckich oraz zapis wywiadu z 1937 roku, z Teofilą Pytkówną, żoną Wyspiańskiego. Przedstawienie rozpoczęło się przytoczeniem fragmentu tego wywiadu, w którym żona Wyspiańskiego opowiada: *„No, Teosiu, powiedział mąż, jedziemy na wesele Lucjana i ty tam patrz, jak co będą robić i gadać. Jak ja będę w chałupie, to ty bądź na dworze, a jak ja na dworze, to ty w chałupie. Ja mu to potem syćko powiedziałam, jak było, a on zapisywoł, oj zapisywoł!”. W tej sekwencji aktor sie-*

dział na łóżku z pierzynami, mocząc nogi w szafliku. Po tej introdukcji pojawia się motyw muzyki granej na weselu. W naszej realizacji użyliśmy utworów cygańskiej orkiestry weselnej z Czarnogóry. Wycierając nogi, aktor wygłasza *„Trza być w butach na weselu”* i wkłada te buty.

Od tego momentu zaczęły się prawdziwe zapasy z tekstem „Wesela”. Pałuby zmechanizowane, które przyjęły na siebie role postaci z dramatu, weszły w „intensywny dialog” z aktorem-narratorem, przez zabiegi animacyjne, podobnie jak w japońskim Teatrze Bunraku. Aktor co raz to występował w imieniu innego z bohaterów „Wesela”: a to Poety, a to Pana Młodego, a to Jaśka, grając te postaci realistycznie. Sytuacją, która stała się kluczem do opowieści na scenie, było picie wódki przez aktora Jerzego Bokieję, jak to na weselu! Stan pogłębiającego się „upojenia” grającego wyznaczał rytm przebiegu przedstawienia. Rytm pojawiających się zjaw, przewidywań, z czego budował się swoisty nastrój i realizowała się bezpośrednio teatral-

nego zdarzenia. To pozatekstowe założenie dało w efekcie w połączeniu z innymi, użytymi tu środkami, opartą na kontrastach i dysonansach, niepowtarzalną agogikę tego monodramu.

Najmocniej zostały zaakcentowane odegrane w całości sceny z dramatu, z udziałem Stańczyka i Wernyhory. Odpowiednio oświetlone, zawieszane na ścianie okno, którym aktor posługiwał się jak instrumentem, wystukując rytm poruszanej przez wiatr okiennicy, stwarzało nastrój tajemnicy i zagrożenia.

W finałowej scenie wykonawca monodramu chowa się w szafie i stamtąd pojawia się, wywołany śpiewem Czesława Niemena „Miałeś chacie złoty róg”, jako nasz dzisiejszy, rozpoznawalny uwodziciel Chochoł. Ubrany rzeczywiście „w to, com miał” wdziera się do weselnej sali z długim kijem sękatym, waląc na oslepie tym

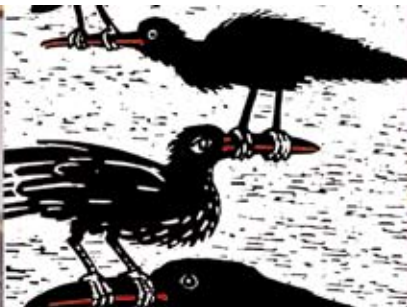
kijem po meblach i ścianach z pełnym auto-zachwytu okrzykiem „Tęgo gram! Tęgo gram! Tęgo gram!”, zagłuszając prawie śpiewającego Niemena. Następnie z towarzyszeniem dźwięków Mazurka a-moll Chopina, nasz Chochoł aranżuje fotografie z poszczególnymi osobami przedstawionego spektaklu.

Pojawiają się paparazzi i reporterzy ze wszystkich stron. Fotografują z różnych punktów widzenia. Błysk fleszy oslepia wszystkich. Ciemność.

To „Wesele” w Policku stało się dla nas i dla publiczności (co wiemy z opinii i głosów) momentem konstatacji, że ten dramat jest jak kameleon przyczajony i w każdej sytuacji demonstrowuje swoją aktualność, uderza szyderczą i oczyszczającą siłą.



fot. Zdzisław Pacholski



LITERATURA



Anatol Ulman – Strażnik śmietnika

W twórczości Anatola Ulmana bardzo często pojawia się – prawda, że w rozmaitych wariantach – pewien motyw, któremu skłonny byłbym przypisać pierwszorzędne znaczenie. Na początek pozwolę sobie przywołać fragment „Cigi de Montbazon” (1979), bo choć nie powiedziałbym, że wspomniany motyw występuje w powieści w jakiejś wzorcowej postaci, to jednak chodzi o epizod, który szczególnie zapadł mi w pamięć. Początek lat czterdziestych. Z uporem godnym lepszej sprawy „żołnierze kancleza” usiłują przemienić nasze swojskie kartofliśka w grunt stosowny do budowy gmachu Tysiącletniej Rzeszy. Do podwarszawskiego ogrodu, którego strzeże i w którym gospodaruje ojciec bohatera-narratora, trafia niezwykle transport:

Jeszcze wtedy ani tata, ani ja tym bardziej nie przypuszczaliśmy oszukaństwa tkwiącego w do-

starczonym nawozie. Z pewną nadzieją tata odkładał egzemplarze obłożone skórą, ciemnobrązową lub czarną, która przerabiana była w jego wyobraźni na wiele par damskich bucików, ale potem, przy obdzieraniu, okazać się miało, iż materiał był kruchy, pozory wytrzymałości nadawała mu jedynie sztywna podkładka, bez niej pękał i darł się na bezużyteczne pasy. Dlatego jeszcze tej nocy zanieśliśmy cały stos do piwnicy i zrzuciliśmy na inne, pokryte już szklistym szronem.

– Na nic się nie zda – rzekł tata patrząc w dół w zimnym, nocnym świetle.

Do niczego nieprzydatny surowiec to oczywiście – książki, pochodzące, jak się wydaje, z jakiejś zniszczonej biblioteki. Księgozbiór musiał być bardzo bogaty, boć zwoziło go kilka ciężarówek, które „nawracały wiele razy”. A w dodatku ten niezwykle transport nie był bynajmniej precedensem, skoro „cały stos” świeżo dostarczonych książek zrzucony został na inne, zapewne – dostarczone wcześniej.

Tylko po co je przywieziono? Z książek – wiadomo – na gospodarstwie żadnego pożytku¹. Ani to kompost, ani środek opałowy, ani skóra, która akurat bardzo by się przydała znającemu szewski fach ojcu bohatera-narratora. Książki tedy trafiły do piwnicy (a właściwie do „d o ł u p o s p a l o n e j p i w n i c y” – podkreśl. K.U.), gdzie gniły i butwiały zwykłą koleją rzeczy. Bo też cała ta operacja przypomina pokątny pochówek. Kontekst okupacyjny nie jest tu bez znaczenia, a ciężarówki krążą, jak gdyby przewożyły zwłoki do masowego grobu.

Owszem, w zdziczałym ogrodzie, w którym mieszka rodzina bohatera-narratora, jest też tajemna cmentarna grządka z tujami, gdzie spo-

¹ I nie tylko na gospodarstwie. Głośny dziś krytyk literacki średniego pokolenia tak wspomina swoje pacholące lata: „w środowisku, w którym wzrastałem, istniało silne, ugruntowane tradycją, przekonanie o wyższości sportu i ruchu na świeżym powietrzu nad czytaniem książek. Żadna tam kalokagatia! Albo jedno, albo drugie... z pograżania się w lekturze biorą się same nieszczęścia, głupoty powstają w głowie i wzrok się psuje; co innego kopanie piłki na podwórku albo wspinanie się na drzewa.” D. Nowacki: *Książki, których nie czytałem, a powinienem*. „FA-art” 1998, nr 4, s. 20-21.

czywają „żołnierze kanclerza”, którzy na swoje nieszczęście zblądziili tutaj z ulicy i naruszyli przestrzeń ogrodu². Obok nich – jakkolwiek z zupełnie innych powodów – swój „grób”, dosłowny i symboliczny, znalazły również książki, a szerzej – cała tradycja kulturowa.

Miejsce, do którego trafiły pozostałości świetnej biblioteki, ma też cechy dołu kloaczego. Mieszkańcom miasta może się kojarzyć z zsympem na odpadki. Bo też wygląda na to, że historia i cywilizacja wydalily kulturę poza siebie. Ulman wprawdzie nie pisze o konflikcie kultury i cywilizacji, nie można powiedzieć, że w jego książkach obie te sfery są ze sobą zderzane i konfrontowane. Jego twórczość wyrasta wszakże z gorzkiego przekonania o niemożności pogodzenia ze sobą dziedzictwa kultury i współczesnej cywilizacji. Rozdział, jaki się dokonał, jest nieodwracalny, a przepaści zasypać nie sposób. Wygląda to tak, jak gdyby sam konflikt i ekskluzja kultury (jej „wydalenie”) – wszystko to rozegrało się w przedakcji, zanim jeszcze autor skreślił pierwsze słowo i zanim jego bohater zetknął się z kulturą. O ile bowiem przeciwstawienie kultury i cywilizacji stoi u źródeł nowoczesności i o ile ona sama zasada się w dużej mierze na krytycznej analizie tej sprzeczności, to Ulman zdaje się występować z dość szczególnej perspektywy. Wyprowadza mianowicie swoje pisarstwo z momentu, który oznacza ostateczne rozwiązanie konfliktu i zniesienie

„dialektyki oświecenia”³. Wszystko się już rozstrzygnęło, cywilizacja wyparła kulturę „na stronę”, uczyniła z niej własny odpad lub – w najlepszym razie – skazała na „rezerwatowe” istnienie, powojenne zaś społeczeństwa masowe (w obu wariantach – socjalistycznym i kapitalistycznym) ucieleśniły wszystkie koszmary, które pół wieku wcześniej dręczyły katastrofistów...

Tym się różni kompostownik czy nawet kloaka od zsympu, że te pierwsze wcale nie potrzebują ekologicznej wrażliwości, aby udowodnić, że również odpadki mogą służyć – i to kapitalnie – celom produkcyjnym. Książki, o których mowa w „Cigi de Montbazon”, butwiały, ale przecież w końcu ktoś się nad nimi pochylił. Do czegoś zatem się przydały, wbrew obawom ojca. „W ten sposób otrzymałem bibliotekę (...)” – oznajmia bohater-narrator. I dodaje:

(...) nie przeszkadzało, że wolumin był tylko połową całości, górną lub dolną, czasem boczną ocalałą przy grzbiecie, brakowało też najczęściej pierwszych i ostatnich stronic. Książki w tym stanie wymagały większej aktywności przy czytaniu, zaprzęgnięcia jednocześnie wyobraźni oraz rozumu, by dopowiedzieć myśli i obrazy. (...) W momentach lenistwa składałiśmy [bohater oraz Cigi – dop. K.U.] razem dwie lub trzy zbutwiałe lektury, traktując jako jedną, skończoną całość, co wyprzedzało epokę w sposobie tworzenia literatury niejasnej, pełnej zaskakujących znaczeń i nieprawdopodobnych losów.

² Każdy rozdział powieści został osnuty wokół spotkania w ogrodzie z którymsz z „żołnierzy kanclerza”, co nieuchronnie kończy się kolejnym pochówkiem pod grządką z tujami. Kłopot tylko w tym, że kolejne przypadki nakładają się na siebie, a narrator nie jest pewien, czy opowiada w danej chwili o „Bart-holomäusie lub Matthäusie”, „Matthäusie czy Jakobie Jungu”, „Jakobie Jungu bądź Jakobie Alte”. W ten sposób mnożąca kolejne swoje warianty opowieść zaciera i niweluje niezależną od niej sferę zdarzeń (powieściowych i historycznych).

³ Por. M. Horkheimer, T.W. Adorno: *Dialektyka oświecenia. Fragmenty filozoficzne*. Przeł. M. Łukasiewicz, przekład przejrzał M.J. Siemek. Warszawa 1994, s. 14: „bezsilność i sterowalność mas rośnie wraz z przydzieloną jej ilością dóbr. Materialnie znaczny, a społecznie żalosny wzrost standardu życia niższych warstw odzwierciedla się w złudnym upowszechnieniu wartości duchowych. Sprawą ducha jest bowiem negacja urzeczowienia. Zamieniony w dobro kultury i serwowany dla celów konsumpcyjnych musi zginąć. Zalew dokładnych informacji i galanteryjnej rozrywki zaostrza dowcip i zarazem otępia.”

Mimo wszystko książki czynią swoją powinność. Acz dostarczone dla celów niby to opałowych, to jednak najczęściej bywają określane jako „nawóz”. Takiemu określeniu dalszy bieg wypadków przydaje nieco zaskakującego znaczenia, który kojarzyć się może z wyświechtanym frazeologizmem o książce jako „pokarmie dla duszy”. „Nawóz oszukańczy” stał się „nawozem duchowym”!. „Cigi de Montbazon” to utwór, który nawiązuje do konwencji powieści edukacyjnej czy nawet powieści o dojrzewaniu artysty, tyle tylko, że czyni to w trybie parodii. Nie tylko dlatego, że bohater-narrator na zawsze pozostał trzynasto- czy też czternastolatkiem. Chodzi przecież o edukację spóźnioną, o wiedzę i umiejętności, które są nieprzydatnym balastem.

Owszem, tak jak chce tego prawo gatunku, bohater-narrator znajdzie własną mentorkę, tyle tylko, że okaże się nią stara i brzydka lalka, panna Cigi de Montbazon. Właśnie ona będzie mistrzynią Franciszka w obu rzemiosłach Szeherezady – tym związanym ze sztuką opowia-

dania i tym związanym z dziedziną płci (o edukację chłopca w zakresie wojny i zabijania zatroszczy się historia). Cigi jest po części karykaturą mentora, a po części – jego odwróceniem, kontr-mentorem, który prowadzi swego rodzaju działalność wywrotową, funkcjonalizując (odrzucaną) tradycję kulturową jako kontr-kulturę. Tytułowa persona (ale i sama powieść) posiada bardzo wyraźny rys rabelaisowsko-sowizdrzalski. Nobliwa tradycja kulturowa zostaje przejęta i wykorzystana dla wyartykułowania na wskroś plebejskiej postawy.

Określenie „plebejska” należałoby tutaj rozumieć najpierw w kontekście kulturowym, a dopiero w dalszej kolejności – społecznym. Prawda, że w przyszłości Franciszek, choć wieczny czternastolatek, przyuczy się do ojcowskiego fachu i zostanie szewcem. Dla nas ważniejsza jednak będzie inna edukacja, którą bohater zawdzięcza lekturom – od Homera aż po Borgesa. Tyle, że wszystkie te lektury, podejmowane wspólnie z Cigi, nie dość, że okazały się niesystematycz-



12 grudnia 2007 r. w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej odbyła się promocja najnowszej książki Anatola Ulmana, połączona z jubileuszem 50-lecia pracy twórczej pisarza.

fot. Ilona Łukjaniuk

ne i fragmentaryczne, to wiązały się z kompletną dekontekstualizacją czytanych dzieł. Bohater nie znał ani autorów, ani tytułów, nie mógł powiązać swoich lektur z żadnym kontekstem historycznym czy kulturowym. Miał zapoznawać się z kanonem i uświadamiać sobie jego fundamentalną rolę dla naszej tradycji, bohater kieruje się wyłącznie doraźną „przyjemnością tekstu”, zrównując ze sobą rozmaite historyczne konwencje, poetyki, perspektywy poznawcze, wizje aksjologiczne i antropologiczne. Czego się w takim razie uczy, czego dotyczy jego edukacja? Bohater zapoznaje się po prostu z repertuarem chwytów retorycznych i poetyckich, konwencji i trybów narracyjnych, strategiami dyskursywnymi. Wszystkie te praktyki językowe, bez względu na swoje źródło, zostają uznane za równoważne i wymienne. Po pierwsze dlatego, że lektura naiwna (które dziecko zwraca uwagę na autora i czas powstania czytanej przez siebie książki?) anihiluje historię, i to wcale nie na rzecz zbiorczej perspektywy synchronicznej czy też ugruntowanych metafizycznie uniwersalnych wartości, lecz po prostu – serii punktów, pomiędzy którymi nie ma żadnych związków, prócz zwykłego następstwa w czasie. Po drugie, na podobnej zasadzie nie będzie też żadnego bezpośredniego przejścia między sensami, jakie się wyłaniają z praktyk retorycznych czy narracyjnych, a naszym doświadczeniem egzystencjalnym. Bo choć przy pewnym interpretacyjnym wysiłku dokonalibyśmy takiego przejścia fazowego, to należy się liczyć, że każda następna dana i każde następne doświadczenie może zaprzeczyć naszej interpretacji. Z praktycznego punktu wi-

dzenia nie ma powodu, by pytać o uzasadnienie dla jakiegoś przesłania, opowieści, koncepcji czy teorii. Dlatego bohater-narrator, wysłuchawszy rozmaitych i sprzecznych ze sobą relacji o pochodzeniu Cigi, zauważa: „Można uznać za szczególne, że w sprawach rodowodu Cigi nie żywię żadnych wątpliwości, chociaż wszystko inne jest takie niepewne. Wierzyłem jej, a nie światu, który nas ruchliwie otaczał, więc zapadła w pamięć zupełnie oraz wyraziście”.

Wszystko to razem otwiera możliwość literackiej kombinatoryki, łączenia ze sobą – na zasadach tworzonych *ad hoc* lub w ogóle bez troski o zasady – rozmaitych form, konwencji i trybów opowiadania. Podczas takich gier i zabaw może nami powodować awangardowa zasada inwencji, logika samych *signifiants*⁴, albo też zwykłe lenistwo, bo – jak czytaliśmy – ono również może się okazać wystarczającym powodem do wygenerowania niezwykłych tekstowych hybryd. Prawda, że najpewniej okażą się one wyzbyte wszystkich zobowiązań i funkcji, jakimi zwykliśmy tłumaczyć doniosłość „prawdziwej” i „wartościowej” literatury. Przekornie kojarząc naiwne i „nieodpowiedzialne” zabawy czytelnicze swojego bohatera z artystycznymi poszukiwaniami nowoczesnej prozy innowacyjnej, Ulman zasugerował, że jest ona niedorostkiem i plebejuszem podszyta, że nosi piętno awansu kulturowego, wynika z zerwania ciągłości, dystansu do zastanego sposobu pojmowania wartości literackich, uznawanego za obcy i anachroniczny, szerzej – wyrasta z nieufności wobec wszelkich formuł tożsamościowych. „Awangarda Jej Ludowej Mości?”⁵ Być może...

⁴ W tym momencie koniecznie trzeba przywołać tytuł książki, zbierającej opowiadania i humoreski Ulmana z lat 70. – *Obsesyjne opowiadania bez motywacji* (1981).

⁵ Przytoczyłem cokolwiek zgryźliwe określenie Jana Błońskiego, które krytyk raczył odnieść do prozaików z kręgu „Twórczości”. Zob. J. Błoński: *Bezladne rozważania starego krytyka, który zastanawia się, jak napisać historię prozy polskiej w latach istnienia Polski Ludowej*, „Teksty Drugie” 1990, nr 1, s. 12-13. Na przełomie lat 70 i 80. Ulman mógł być kojarzony z ówczesnymi młodymi autorami, promowanymi przez Henryka Berezę, jakkolwiek był to raczej luźny związek. Nie bez znaczenia jest tutaj fakt, że Ulman to autor starszy od większości debiutantów tamtego czasu.

2.

Być może awangarda. Ale też taka, która znalazła się na progu postmodernizmu, co, mam nadzieję, łatwo zauważyć. Inna sprawa, że można też powątpiewać, czy pisarz kiedykolwiek zechciał przekroczyć ów próg. „Cigi de Montbazon” to w dorobku Ulmana książka wyjątkowa i, zaryzykuję wyraziście sąd, zdecydowanie najlepsza. Udała się tu bowiem autorowi sztuczka, która zdaniem wielu specjalistów od „prawdziwych wartości” (artystycznych i nie tylko) jest po prostu czymś niemożliwym. Oto bowiem formuła literacka wręcz ostentacyjnie odżegnująca się od odpowiedzialności za słowo, konstatająca nieprzystawalność „słów” oraz „rzeczy” i wyciągająca stąd radykalne wnioski, pozwoliła Ulmanowi zmierzyć się z najtrudniejszymi tematami: doświadczeniem II wojny światowej, degradacją i niwelacją wartości kulturowych, a nawet Holocaustem (wątek Arkadiusza i Zuzanny). I okazało się, że ostentacyjna blaga, żonglerka kulturowymi kliszami, narracyjnymi konwencjami i trybami sprawdza się właśnie tam, gdzie już nic powiedzieć nie można, albowiem słowo okazuje się bezradne wobec skandalu historii i egzystencjalnego absurdu. Wiemy doskonale, że skoro nie można o czymś nic powiedzieć, to należy o tym milczeć. Jak się jednak pokazuje, można o tym czymś... kłamać. Pod tym wszakże warunkiem, że nasze kłamstwo będzie najzupełniej jawne, a dzięki temu – skorelowane z niewiarygodnością tego, co przekracza horyzont naszego języka.

Na dokładkę tym zupełnie niewiarygodnym nośnikiem „czystej blagi”, jawnej fikcji okazał się język znaleziony w... kompostowniku. Odnosząc go do wydarzeń już to trywialnych i banalnych, już to dramatycznych i tragicznych, autor nie wydobywa kontrastu po to, by nobilitować lub skompromitować któryś z członów równania: język albo rzeczywistość. Język pseudonimuje rzeczywistość (Zuzanna i Arkadiusz to pseudonimy nadane przez kulturę ukrywającym się w ogrodzie żydowskim dzieciom), wsze-

lako stale eksponowane literackość i fikcjonalność przekierowują naszą uwagę na to wszystko, co pozostało poza pseudonimem. Fikcyjne imiona dla określenia, najpewniej, fikcyjnych postaci nakazują pomyśleć o tych wszystkich, którzy posiadali jakieś imię, a po których nie zostało, najdosłowniej, nic – nawet imię własne.

Atrakcyjność powieści wynika więc nie tyle nawet ze zręczności, z jaką autor żongluje różnymi kodami, co z odsłonięcia etycznego potencjału fikcji literackiej, która może stać się świadectwem istnienia wówczas, gdy nie stało już żadnego świadectwa. Nie dlatego bynajmniej, iżby owo istnienie fikcja przedstawiała, reprezentowała, symbolizowała czy bodaj kryptonimowała, lecz dzięki temu, że nie potrafi ani nie chce tego uczynić. Pozostając fikcją.

Jeśli jednak taki sposób myślenia o literaturze, nakazujący upatrywać jej szans w tym, co z tradycyjnego punktu widzenia było raczej kwestionowane i odrzucane (fikcyjność, konwencjonalność, nieautentyczność itd.), miał swój potencjał, to – jak się z czasem pokazało – Anatol Ulman zrezygnował z jego wykorzystania. Dlaczego? Wszystko wskazuje na to, że czuł się zbyt silnie związany z tym sposobem pojmowania kultury, na którym nasza współczesność wyrosła i który następnie zdegradowała, umieszczając go pośród własnych odpadów.

Jak już wiemy, kompostownik, ba, nawet kloaka stają się źródłem nawozu przydatnego do rekultywacji naszego poletka. Z kolei na wysypisku (kulturowych odpadów) czy złomowisku (uznanych za zużyte form i konwencji) można się zająć majsterkowaniem, składaniem nawet najdziwniejszych hybryd z materiałów, których w nadmiarze mamy pod ręką. Można też zupełnie inaczej: uznawszy wysypisko za świątynię, zadumać się nad skalą degradacji, rozmiarem spustoszenia. Wziąć na siebie rolę stróża czy zgoła strażnika wszystkiego, co nasza cywilizacja wydała. I czy wypada się dziwić, że po „Cigi de Montbazon” Anatol Ulman podjął taką właśnie decyzję?

3.

Na początku wydanego pod koniec roku 2007 tomu „Dzyndzylyndzy czyli postmortuizm” znajdziemy serię żartobliwych autocharakterystyk, a między nimi uwagę, którą skłonny byłbym potraktować najzupełniej poważnie: „straciłem życie na nieuporządkowanym, ciemnym proteście przeciwko bezsilności własnego rozumu”. Podejrzewam, że chodzi tutaj nie tyle o bezsilność rozumu jako instancji poznawczej, co arbitra, którego wyroki i orzeczenia powszechnie bywają lekceważone, a tym samym sprowadzane do zwykłego gadania po próżnicy. Przy takiej wykładni bezsilność oznaczałaby słabość egzekucyjną, brak autorytetu czy też społecznego posłuchu dla oświecenia, które z konieczności stale ulega regresowi, by za tę cenę, niechby z zastosowaniem metod politycznych, zdobyć pożądany autorytet. Skoro bowiem wciąż chętniej wybieramy „przesady” zamiast „światła rozumu”, to sam rozum, przekonawszy się o własnej nieatrakcyjności, chętnie upodabnia się do „przesądów”, by z nimi konkurować. Oczywiście, na wolnym rynku idei oraz stylów życia.

Tymczasem bohaterowie Ulmana zawsze odmawiali udziału w takich targach, rezerwując dla siebie dumną rolę strażnika na wysypisku, gdzie odsyłamy między innymi tak zwaną kulturę wysoką. Nie zaskoczy nas również to, że pisarz przedstawia się jako ostatni stronnik oświeconego rozumu. Wprawdzie bohater-narrator satyrycznej powiastki „Potworne poglądy cynicznych krasnoludków” (1985) przedstawia się czytelnikom jako „my, Jakub Zatracański, racjonalny Europejczyk, i Andrzej Zatracański, Europejczyk emocjonalny”, aliści taka „kontrolowana” schizofrenia jest przecie spadkiem po oświeceniu. Bohater „Krasnoludków...”, skądinąd maniakałny czytelnik (to stała cecha bohaterów Ulmana), wie jednak, że skarb monstrualnej erudycji współcześnie został mocno przeceniony, zdobyta zaś wiedza i świadomość złożoności świata są obciążeniem, czyniącym z niego osobnika komicznie nieprzystosowanego

do funkcjonowania w ramach naszej cywilizacji. Z drugiej wszakże strony absurdalność i bezmyślność tej ostatniej w książkach oraz innych odpadkach cywilizacyjnych nakazują szukać przystani. Postaci z kolejnej powieści, „Ojca naszego, Fausta Mefistofelewicza” (1991), swoją tożsamość zdefiniują – nie bez poczucia dumy – w takich oto słowach: „Wszystko (...) co posiadamy, a także to czym jesteśmy, zawdzięczamy użytym formom rzeczy oraz myśli odrzuconych przez innych ludzi”. Tymczasem dla tytułowego bohatera prawdziwym śmietnikiem będzie finalny „wynik europejskiej kultury”, przez co rozumie „absurdalność ludzkiej egzystencji, pożeranie umysłów przez potworną ciemność nauki, przekonanie o bezużyteczności i ponurej bezcelowości przypadkowego świadomego bytu”. Na takim tle wysypisko na Zielonych Wrzosowiskach, gdzie przemieszkują Faust z rodziną, jawi się niczym azyl, który przyciąga zarówno nierozumiejących niczego dziennikarzy, jak i zbłąkanych nieszczęśników, którym dokużyła „ruchliwość” świata.

W „Dzyndzylyndzy” mowa z kolei o zaświatowej wędrowce samego Ulmana oraz jego rodziców po nieskończonych, „wiecznych kartofliskach” z ich frustrującą monotonią, krajobrazową i egzystencjalną nędzą. Mówiąc krótko i dosadnie, kartofliska są dziedziną „nudy powszechnego bytowania”, podniesionej do potęgi wieczności. A jednocześnie okazują się uniwersum tekstowym – „ziemniaczanym polem semantycznym” z literatami i filozofami, sprowadzonymi do bulwiastej formy (np. „kartofel Schopenhauer”, „ziemniak Pascal”, „kartofel Parmenides”). Postać pożywnej byliny przyjmują również rozmaite, *excusez les mots*, prądy, nurty, tendencje i pojęcia humanistyki (katalog rozpoczyna „kartofel formalistyczny”, a kończy „transsubstancjalny”). Za trójką zaś upartych wędrowców ciągnie zrazu para, a następnie horda królików, zajmujących się dokładnie tym, co zwykły czynić hordy innych zwierząt – tych dwunożnych, o postawie wyprostowanej, nieopierzonych:

Może się wydawać, że przemoc w króliczym społeczeństwie spowodowana jest głównie przez czynnik przekrólczenia. Oczywiście nie dla wszystkich starca kartofli. (...) Masy królicze (...) giną z wycieńczenia pozbawione nawet suchych traw i zdrewniałych łętów. Te tłumy rozwijają więc w sobie ewolucyjną siłę mięsożerności. (...) Nie jest jednak tak, by po milionach lat wegetarianizmu bez dania racji rzucić się morderczo na swój gatunek. Niezbędne staje się uzasadnienie krwawego popędu. Stąd pomysły, by odróżniać od siebie tych, którzy mają być zabici dla dobra społeczności.

Tak oto podążające za bohaterami króliki wypracowują formułę własnej, ale jakże ludzkiej, kultury. Widać też doskonale, o co chodzi w „Dzinydzylindy”. Mamy do czynienia z kolejną w dorobku Ulmana *quasi*-oświeceniową satyrą, wymierzoną w uroszczenia i samozadowolenie kultury. Chodzi o taką jej formułę, która bardzo chętnie odwołuje się do autorytetu oświeconego rozumu, jednocześnie nadużywając go, czyniąc z niego alibi i – ostatecznie – zamieniając w zbiór wygodnych dla siebie formuł. Koniec końców, kultura taka sprowadza się i karmi siebie swoim własnym mitem. Działa więc (i zapewnia sobie skuteczność) dokładnie na tej samej zasadzie jak „przesady”, od których niegdyś obiecywała nas uwolnić.

Łatwo też zauważyć, że swoją krytykę oświecenia Ulman podejmuje, jak zawsze, w imię oświecenia. Nie żywi jednak przy tym żadnych złudzeń. Wie doskonale, że jego ostatnia krucjata jest wyłącznie śmieszną donkiszoterią. Choć to określenie nie należy do najściślejszych, bo przecież Ulman nie zмага się z żadnymi wiatrakami, lecz jak najbardziej realnym regresem oświecenia w mitologię – jak powiedzieliby panowie Horkheimer i Adorno.

Być może powinienem wspomnieć o tym już na wstępie: motyw śmietniska, które jest zarazem cmentarzyskiem naszej kultury, Ulman przejął od Tadeusza Różewicza. Myślę nie tylko o dramacie *Stara kobieta wysiaduje* (1968), ale także o pochodzących z tego samego okresu poematach, przynoszących bardzo cierp-

ki obraz powojennego świata, w którym sztuka straciła rację istnienia (np. *Spadanie*, *Non-stop-shows*). Przykład autora *Niepokoju*, do którego Ulmanowi przecież rocznikowo bliżej niż do większości debiutantów z lat siedemdziesiątych, mógł się okazać ważną inspiracją. Co dla nas jednak najważniejsze, już u Różewicza gospodarz poematów występuje w rozmaitych rolach (moralizujący kaznodzieja, ironista i szyderca, zdystansowany badacz itp.), starając się rozwiązać zasadniczą sprzeczność: czy można wystąpić z oskarżycielską mową, dotyczącą spustoszenia wszelkich wartości, skoro zjawisko, o którym mowa, naznacza swoim piętnem język, którym posługuje się nasz moralista?

Jak już czytaliśmy, swój „protest przeciwko bezsilności własnego rozumu” Ulman raczył nazwać „nieuporządkowanym” oraz „ciemnym”. To dość zagadkowe, a fakt, że ciemność może tu być rozumiana jako antyteza oświecenia, problem tylko gmatwa. O ciemności mowa również w tym oto fragmencie: „dzieje kultury ludzkiej są niezmiernie krótkie, bo najstarszymi są w cywilizacji nagość człowieka i jego ci e m n y l ę k. Z nagości zrobiono grzech, a z lęku powstały ci e m n e wierzenia w czary” (podkreśl. K.U.). Kultura oraz oświecony rozum są więc czymś incydentalnym, ledwie epizodem w zestawieniu z elementarnym doświadczeniem egzystencjalnym. Doświadczenie to próbowały oswoić najpierw mit i religia, a następnie – sztuka. Ulman odmawia sobie tej pociechy, jaką mogłaby przynieść „prostacka uluda”. W imię rozumu, rzecz jasna. Kłopot jednak w tym, że tak naprawdę nic nigdy nie wyprowadzi nas ze strefy „ciemnego lęku” i nawet jasność oświeconego rozumu tu nie poradzi. Tej jasności bowiem zawsze doświadczamy jako mocno ograniczonej przez okalającą ją ciemność, a nawet więcej – w pewien szczególny sposób ciemność pozostaje zawsze obecna także w obrębie jasności i oświecenia. „Ciemny lęk” okazuje się podstawą czy, lepiej, podłożem (Hegel powiedziałby „der Grund”) oświeconego rozumu.

Kto zatem odpowiada za bezsilność rozumu? Skoro znaleźliśmy się ledwie krok od stwierdze-

nia, że w istocie „ciemny lęk” stanowi najgłębiej uwewnętrzną część oświecenia, to być może łatwiej będzie zrozumieć, dlaczego Ulman od siebie taką świadomość odpycha. I reaguje w sposób dość typowy – rezydentem i przeniesieniem.

Tak tedy winni okazujemy się wszyscy, o ile też wszyscy godzimy się na instrumentalizację i ograniczenie rozumu do sfery praktycznej, oddając resztę na pastwę „ciemnych lęków”. Przed laty, w „Potwornych poglądach cynicznych krasnoludków”, narzędziem swojej zemsty Ulman uczynił przemądrzałych gnomów, zawsze skorych do wydobycia absurdów, do których już przywykliśmy i które stały się dla nas niedostrzegalne. Jak się okazuje, nie trzeba wiele, by uchylić pozorny, koszarowy ład zdegradowanego świata. Co jednak ważniejsze, krasnale z powiastki Ulmana nie ewokowały żadnego „wyższego” porządku, w zamian usiłując pogodzić Zatraceńskiego (i czytelników) z myślą o jednostkowości, przypadkowości i bezcelowości istnienia. A trzeba tu podkreślić, że dla Ulmana taka myśl nie ma irracjonalnego charakteru, wręcz przeciwnie – oznacza ten sto-

pień intelektualnej samowiedzy, na którym rozum rozpoznaje i godzi się także ze swoją własną bezcelowością.

W najnowszej książce, „Dzyndzylyndzy”, Ulman postuluje się na odmianie prostym przeciwstawieniem rozumu i religijnego obłądka, co się zdaje zbyt łatwym sposobem na wyparcie „ciemnych lęków” i złożenie ich w zaciszu kościelnej krypty. W rezultacie ni to alegoria, ni to powiastka o kryzysie oświeceniowego projektu poczyna się trzeszczeć w szwach. Przebijająca z dysput, jakie prowadzą wędrowcy, czułość splata się z sarkazmem i obelgami, intelektualna bufonada miesza się z wulgarną dosadnością, grająca o najwyższą stawkę satyra z publicystyką o dość jednoznacznej wymowie.

A tajemnicze słówko w tytule? Cóż, Dzyndzylyndzy to literacka zmora, pisarstwo bełkotliwe, bo w stanie pośmiertnego rozkładu, po które sięgamy wyłącznie za sprawą wyrzutów sumienia. Pisarstwo na wysypisku śmieci...

Ulman Anatol urodził się 12 kwietnia 1931 r. w Nancy (Francja). W 1955 roku ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Pracował jako nauczyciel w szkołach średnich i wyższych (1955-1979). Prozaik, poeta, autor utworów scenicznych, dziennikarz, krytyk literacki. Zadebiutował w 1957 roku utworem „Wszystkie młodości”. Później opublikował m.in.: „Cigi de Montbazon” (1979), „Godziny błaznów w składnicy złomu. Komedia współczesna” (1980), „Obsesyjne opowiadania bez motywacji” (1981), „Sześć i takie różne sprawy” (1982), „Potworne poglądy cynicznych krasnoludków” (1985), „Ojciec nasz Faust Mefistofelewicz” (1991), „Banda Kuby Baszka. Akonityna” (1992), „Zabawne zbrodnie” (1998), „Pan Tatol czyli nieostatni zajazd na dziczy. Historia burżuazyjna z końca” (2000), „Transakcja z amnezją. Komedia wirtualna” (2000), „Dzyndzylyndzy czyli postmortuizm” (2007).

Współpracował z wieloma czasopismami, m.in. redakcjami „Zbliżeń”, „Pobrzeża”, „Nowych Książek”, „Szpilek”, „Sycyny”.



Anatol Ulman, *Dzyndzylyndzy czyli postmortuizm*, Wydawnictwo „Alta Press”, Koszalin 2007

Edyta Stein – Przewodniczka Europejek i Europejczyków

Edyta Stein – Przewodniczka po Europie. Przewodnik to ten, kto na danym terenie jest u siebie, za kim można ruszyć w drogę. W tym sensie Jan Paweł II na progu wejścia w trzecie tysiąclecie daje Europie Edytę Stein jako przewodniczkę. Edyta Stein ma być dla współczesnych przewodnikiem. Dlaczego? Dlaczego właśnie ona ma przewodniczyć i patronować Europejczykom? Odpowiem krótko, bo Edyta Stein jest wzorem „dochodzenia człowieka do samego siebie” i uczy jak budować braterskie społeczeństwo. Cóż znaczy „dochodzenie człowieka do samego siebie”? Kiedy powstaje braterskie społeczeństwo? Odpowiedź musi być skonkretyzowana życiem Edyty Stein.

Edyta była szczególnie ukochanym, bo ostatnim z siedmiorga, dzieckiem małżeństwa Siegfrieda i Augusty Steinów. Urodziła się też w dniu szczególnym dla tradycji żydowskiej, w Jom Kippur, w święto pojednania. Owa szczególność, wyjątkowość wcale nie musi sprzyjać pozycji w rodzinie czy szkole. Jak wszyscy ambitni i inteligentni ludzie tak i Edyta mierzy się w dzieciństwie i młodości ze sobą samą. Młó-

dym ludziom chodzi przecież o poznanie własnych możliwości, znalezienie siebie w społeczności bliższej i dalszej, o odkrycie siebie przed sobą samym. Z tym, że Edyta nie zajmuje się ogólnym, teoretycznym pytaniem: kim właściwie jest człowiek? Ją interesuje własna osoba, życie stawia jej problemy i ona próbuje na te problemy dać własną intelektualną odpowiedź. Odpowiedź, zdobyta wiedza zostaje przez nią przełożona na własne życie. Już w gimnazjum, potem na studiach widać u Edyty wyraźne „sprzęgnięcie” jej życia – praktyki z jej myślą – teorią. Można powiedzieć, że Edyta rusza w drogę ku samej sobie. Oczywiście, że potrzebuje przewodnika. Psychologia służy poznaniu samego siebie, dlatego stara się ją zgłębić na Uniwersytecie Wrocławskim pod przewodnictwem profesora Williama Sterna. Stern – po niemiecku, to gwiazda. Prof. Stern wprawdzie osiągnął sławę swoimi badaniami, ale dla Edyty nie mógł być przewodnikiem. Już na czwartym semestrze zauważa, że w badaniach nie dysponuje on naukową metodą. Pojawiają się pierwsze chwile zawodu i depresji i chwila wybawienia. Ktoś z przyjaciół radzi jej przeczytać „Badania logiczne” Edmunda Husserla, dzieło – jak powiedział – filozofa naszych czasów. Po lekturze Edyta udaje się do Getyngi, aby studiować filozofię uprawianą w sposób naukowy, czyli fenomenologię.

Zadaniem fenomenologa jest dotrzeć do istoty tego, co jest i opisać to, co jest, tak – i tylko tak – jak ono jest. Jakie to proste! I jak trudne! Fenomenolog musi uważnie patrzeć, nie może nic dodać do i nic ująć od tego co jest, gdyż tym fałszuje, czyli narusza rzeczywistość w aspekcie jej istnienia lub istoty. Być fenomenologiem to znaczyć być wiernym rzeczywistości, w przypadku Edyty – być wiernym rzeczywistości własnej osoby. Jej fenomenologia, a potem cała filozofia, ma charakter osobisty i osobowy, dotyczy jej własnego życia, koncentruje się na bycie osoby.

U Husserla Edyta Stein znajduje swój temat pracy doktorskiej, a jest nim wczucie, doświad-

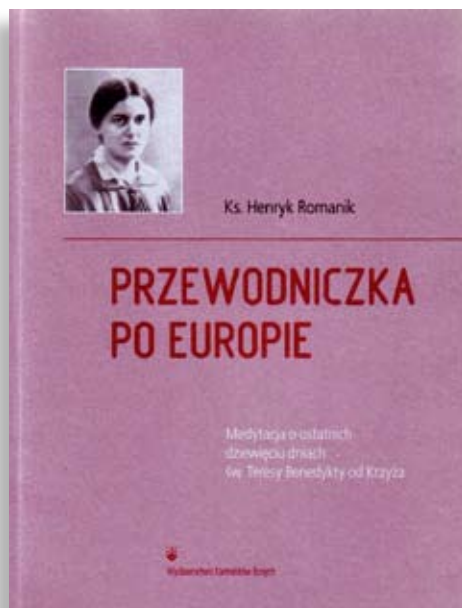
czenie istnienia drugiego Ja. Dla jej Mistrza – bo tak mówi Edyta o Husserlu – człowiek jest, w tym czasie twórczości, monadą: jego istnienie zostaje wyznaczone istnieniem czystej świadomości. Dla Edyty być człowiekiem znaczy mieć udział również w przyrodniczej rzeczywistości. Człowiek jako osoba jest „rozpięty” między ziemią i niebem, jest jednością materii i ducha. A wśród duchowych aktów człowieka wczucie wyróżnia się tym, że w nim, jak w żadnym innym, człowiek konstituuje się jako osoba i „dociera” do drugiego Ja. Czując samego siebie człowiek wchodzi w głębie własnego bytu osobowego, „przeżywa” samego siebie, wczuwając zaś – nawiązuje bezpośredni kontakt z drugim Ja. U podstaw aktu czucia i wczucia jest miłość. Spotkanie ze sobą samym i z drugim Ja dokonane na gruncie fenomenologii wiedzy Edyty Stein dalej, ku filozofii klasycznej. Fenomenologia Husserla jest filozofią podmiotu, filozofia klasyczna – do której nawiązuje św. Tomasz – bazuje na hylemorfizmie Arystotelesa, jest filozofią przedmiotu. Z tego przejścia od Husserla do Tomasza wyłania się dla Edyty Stein perspektywa realnego istnienia bytu wiecznego. Czasowy byt człowieka ma udział w wiecznym bycie Boga. Człowiek nie jest tylko intelektualnie otwarty na wieczność, on ma realnie w niej udział. Wieczność jest do odkrycia we wnętrzu człowieka, w jego przygodnym bycie. I tutaj rozpoczyna się nowa, najbardziej intensywna część życiowej i intelektualnej drogi Edyty Stein.

Już Pascal zauważył, że Bóg filozofów nie jest Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba. Przed Bogiem Arystotelesa, Kartezjusza czy Kanta nikt nie zgina kolan. Tylko do Boga objawienia człowiek kieruje słowa dziękczynienia i prośby. Na tym etapie drogi Edyty Stein wiąże ze sobą filozofię podmiotu z filozofią przedmiotu, Stary Testament z Nowym Testamentem, pierwsze Przymierze z drugim Przymierzem, jej życie i myśl jednoczą się w filozofii krzyża. Nauka krzyża jest doświadczeniem. Jej ostatnie dziewięć dni to coraz pełniejsze doświadczenie krzyża, aż po

komorę gazową i piec krematoryjny. „`Wiedza krzyża` zdobyta być może tylko wtedy, gdy się samemu do głębi doświadczy krzyża. Byłam o tym przekonana od pierwszej chwili i powiedziałam z całego serca: `Ave Crux, spes unica!` ”

Książeczka autorstwa ks. Henryka Romanika składa się z: Wprowadzenia, Inwokacji, Modlitwy Królowej Estery, Nowenny /od 1. do 9. sierpnia 1942 roku, od dnia aresztowania po dzień śmierci męczeńskiej/, Completorium, Prośb za wstawiennictwem św. Teresy Benedykty od Krzyża, Patronki Europy, Literatury, Homilii wygłoszonej przez Jana Pawła II podczas Mszy św. Kanonizacyjnej 11. października 1998 roku oraz fragmentów przemówienia Benedykta XVI podczas jego wizyty w hitlerowskim obozie zagłady Auschwitz-Birkenau 28. maja 2006 roku.

Książeczka ks. Romanika poświęcona jest ostatnim dziewięciu dniom życia Edyty Stein. Nowenna jest przygotowaniem do wielkiego święta, wydarzenia. Tym świętem – wydarzeniem dla Edyty Stein – św. Teresy Benedykty od Krzyża jest przyjęcie krzyża Jezusa w całej



pełni. Tylko ten zachowa życie, kto je odda. Ona oddaje siebie Panu, On jest jedyną jej nadzieją. Dlatego pojawiają się w każdym dniu nowenny minione lata – czas jej życia, i miasta, które przemierzała, i związane z nimi wspomnienia. Język nowenny jest skondensowany. Pełnia życia zostaje zamknięta w kilku słowach, często rwanym, powtarzanym: oto holenderski Karmel w Echt i aresztowanie; Roermond – obóz i rejestracja, Westerbork – początek drogi ku śmierci; Getynga, Kolonia, Münster i Hamburg; Schifferstadt, Spira, Bergzabern, Fryburg i Beuron; Monachium, Norymberga i Bayreuth – miasta tak bliskie Stein; wreszcie Hranice na Morawach i Teresienstadt, Wrocław, Lubliniec – gdzie przyszła na świat i gdzie zdobywała pierwsze doświadczenia życiowe; i na koniec Auschwitz-Birkenau.

Należy wyrazić głęboką wdzięczność Wydawnictwu Karmelitów Bosych za wydanie tej książki w godnej, skłaniającej do zamyślenia szacie graficznej: okładka jest szara, jak popiół, tytuł w kolorze zakrzepłej krwi i zdjęcie Stein z lat młodości, patrzące czytelnikom w oczy.

Należy wyrazić słowa uznania ks. H. Romanikowi, za sugestywne przybliżenie w dziewięciu dniach całego życia Edyty Stein – św. Teresy Benedykty od Krzyża. Nie miejsce tutaj na uwagi krytyczne, a nawet na myśli dotyczące udoskonalenia całej pracy. Należy natomiast powiedzieć, że ks. Romanik idzie drogą wyznaczoną przez Jana Pawła II, który św. Edytę Stein – św. Teresę Benedyktę od Krzyża podniósł do godności ołtarzy i ustanowił Współpatronką Europy. Jej wielkość, aktualność, tym samym wzór do naśladowania, jak i rola przewodnika Europejki i Europejczyków polega na tym, że ona „całym swoim życiem – jako myślicielka, mistyczka i męczenniczka – przerzuciła jak gdyby most między swoim żydowskim pochodzeniem

a wiarą w Chrystusa, prowadząc z niezawodną intuicją dialog ze współczesną myślą filozoficzną, a na koniec stając się przez męczeństwo – w obliczu straszliwej hańby Shoah – rzeczniczką racji Boga i człowieka. Stała się symbolem przemian dokonujących się w człowieku, kulturze i religii, w których kryje się zarodek tragedii i nadziei kontynentu europejskiego”¹.

Edyta Stein szukała siebie i siebie znalazła w drugim człowieku i w Bogu, aby Mu się ostatecznie powierzyć i na zawsze oddać. Jej przebyta droga życiowa i intelektualna budzi powszechny podziw i uznanie. Dlatego Jan Paweł pisze: „Ogłosić dzisiaj św. Edytę Stein Współpatronką Europy znaczy wzniesić nad starym kontynentem sztandar szacunku, tolerancji i otwartości, wzywając wszystkich ludzi, aby się wzajemnie rozumieli i akceptowali, niezależnie od różnic etnicznych, kulturowych i religijnych, oraz by starali się budować społeczeństwo prawdziwie braterskie”².

Edyta Stein – Przewodniczka po Europie, tak, ale i przede wszystkim Przewodniczka wszystkich Europejki i Europejczyków na drodze odnajdywania i dochodzenia do siebie i do swojej europejskiej tożsamości.

Ks. Henryk Romanik, Przewodniczka po Europie. Medytacja o ostatnich dziewięciu dniach św. Teresy Benedykty od Krzyża, Wydawnictwo Karmelitów Bosych – Kraków 2007.

¹ List apostolski motu proprio ogłaszający św. Brygidę Szwedzką, św. Katarzynę ze Sieny i św. Teresę Benedyktę od Krzyża Współpatronkami Europy, 1 X 1999.

² Tamże

Poznać znaczy: zrozumieć

Stosunki polsko-ukraińskie nigdy nie należały do najlepszych. Jak to między sąsiadami, zawsze były między nami właśnie o „miedzę” lub poważniejsze spory terytorialne. Fiński prezydent Urho Kekkonen mawiał, że przyjaciół należy szukać blisko a wrogów daleko, ale to się okazuje bardzo trudne, szczególnie dla nas Polaków. Nam zawsze bliżej było do Madziarów (wiadomo „Polak - Węgier dwa bratanki”) niż

do „Ruskich”, Ukraińców czy Czechów, o Niemcach nawet nie wspomnę. Okazuje się, że swary graniczne i niepochlebne opinie o sąsiadach to przypadłość nie tylko polska. Wiele sąsiadujących ze sobą nacji ma lub miało obelżywe wyobrażenie o innych. Pisze o tym choćby Jan Stanisław Bystroń w rozdziale *Megalomania narodowa* dzieła pt. „Tematy, które mi odradzano”.

Unia lubelska, stosunek do Kozaków, olbrzymie latyfundia polskich magnatów na terenach dzisiejszej Ukrainy (Jeremi Wiśniowiecki miał swoje prywatne wojsko!) nie przysporzyły nam sympatii. Te trudne kontakty miały swoje apogeum w czasie II wojny światowej i zaraz po niej, że wspomnę sprawę Wołynia, UPA, podziału terytorialnego, w wyniku którego Polska straciła część Ukrainy Zachodniej i ukochany Lwów.

Po wojnie, w czasie istnienia ZSRR nie wypadało mówić o jakichś animozjach między „bratnimi” krajami. Dopiero po pierestrojce, w 1991 r., gdy Ukraina odzyskała niepodległość, okazało się, że trudno o kompromis w sprawie napisu na cmentarzu Orłąt we Lwowie. Jednak wytrwała polityka zagraniczna Polski, a szczególnie prezydentów Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego doprowadziła do tak przyja-



fol. Ilona Łukjaniuk

cielskich stosunków, że skutecznie staraliśmy się wspólnie z Ukrainą o możliwość zorganizowania Piłkarskich Mistrzostw Europy w 2012 r. Zaś w czasie pomarańczowej rewolucji na Majdanie, jako jeden z pierwszych, pojawił się prezydent Aleksander Kwaśniewski, który był mediatorem w konflikcie.

Co mnie skłoniło do refleksji na temat Ukrainy, choć moi przodkowie nie pochodzą z tamtych stron? Książka Wiesława Romanowskiego pt. „Ukraina. Przystanek Wolność” wzbudziła refleksje na temat naszej wspólnej, trudnej historii. Choć opowieści zawarte w książce traktują o współczesnej Ukrainie, po 1991 r., to jednak historia zawsze jest gdzieś w drugim planie obecna, a czasem wysuwa się na plan pierwszy.

Właśnie wydarzenia z najnowszej historii Ukrainy są pretekstem i kanwą, na której autor snuje opowieści o zwykłych ludziach. Nadzieje Ukraińców związane z odzyskaniem niepodległości przypominają nam nastroje Sierpnia 1980 roku. Jednak im większe były marzenia, tym smutniejsze stają się rozczarowanie kolejnymi rządami, zawłaszczającymi coraz większe

obszary władzy, rozwijającą się plagą korupcji.

Wizyta papieża Jana Pawła II w 2001 r. w Kijowie ma też smak słodko-gorzki. Dominuje radość Ojca Świętego ze spotkania z braćmi w wierze i nadzieja niektórych mieszkańców, że stanie się cud jak w Polsce. Jednak gdzieś tam cieniem kładzie się zakaz odwiedzin w Ławrze Peczerskiej, a zwyczajni ludzie są rozczarowani, bo z za szyb papamobile nie widać nic.

Szczegółne wrażenie wywiera zapis wydarzeń związanych ze śmiercią Georgija Gongadze w 2000 r. Brutalne zabójstwo dziennikarza domagającego się - tylko czy aż? - prawdy, uczciwości, walki z systemem oligarchicznym, zlecone przez prezydenta Kucznię, przeraża. Wydaje się to niemożliwe u progu XXI wieku, w Europie. A jednak...

I znowu pojawia się nadzieja na zmiany. „Pomarańczowa rewolucja”, sprzeciw Ukraińców wobec sfalszowanych wyborów prezydenckich w grudniu 2004 r. miał rozpocząć nowy rozdział w historii państwa. Szalony entuzjazm, wielotysięczny tłum koczujący na Majdanie, w zimnie, przez dwa miesiące. Radość z wygranej, Wiktor



Wiesław Romanowski podczas spotkania promocyjnego w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej 12 kwietnia 2007 r.

fol. Ilona Łukjaniuk

Juszczenko prezydentem, a Julia Tymoszenko premierem „pomarańczowego rządu”.

To tylko kilka wątków z tej bardzo ciekawej książki. Wielkim jej walorem jest to, że historia opowiedziana jest przez pryzmat codzienności zwykłych mieszkańców Ukrainy. Codziennosc życia w niedostatku, świecie skorumpowanych przedstawicieli państwa, marzenie o normalnym życiu, o tej „nieznośnej lekkości bytu”, heroiczne próby zmiany sytuacji, wyzwolenia się z mentalności „homo sovieticus” zasługują na wielki szacunek.

Wiesław Romanowski nie ocenia postaw ludzi, z którymi się spotyka, ale relacjonuje wydarzenia. Choć czasami na milicyjnym biurku znajdzie się popiersie Feliksa Dzierżyńskiego a jeśli nie zapłacisz haraczu możesz się spodziewać przeбитych opon w samochodzie, jednak sympatia pisarza jest po stronie jego bohaterów. Stara się tłumaczyć mieszkańców dzisiejszej Ukrainy, przedstawić ich punkt widzenia. Dzięki tej książce możemy lepiej poznać i zrozumieć naszych sąsiadów. A poznanie często jest najlepszą drogą do wyzbycia się wzajemnej wrogości i stereotypowego myślenia o innych. Gorąco zachęcam więc do wyprawy na Ukrainę z książką Wiesława Romanowskiego.

Wiesław Romanowski, *Ukraina. Przystanek wolność*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006 r.

Wiesław Romanowski (ur. 18 sierpnia 1952 w Koszalinie) - polski dziennikarz. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Socjologii (1976). W 1980 roku rzecznik prasowy Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Koszalinie, następnie redaktor naczelny tygodnika „Sierpień 80”, internowany w stanie wojennym. W 1989 roku wiceprzewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w Koszalinie, w 1990 redaktor naczelny Rozgłośni Polskiego Radia w Koszalinie. Od 1992 roku dziennikarz niezależny, prywatny producent telewizyjny. Dla TVP1 i TVP2 wyprodukował według własnych scenariuszy ponad 40 reportaży i 10 filmów dokumentalnych. Najważniejsze: „Listy z Rosji” - w tym „Kto zarabia na wojnie w Czeczenii?”, wspólnie z Andrzejem Drawiczem: „Moskwa jak las”, film biograficzny o Andrzeju Drawiczu - „Znak pokoju”. Ponadto filmy: „Leonid Kuczma”, „Sprawa Gongadze” i „Przystanek wolność” o pierwszej rocznicy „pomarańczowej rewolucji”. W latach 1998-2003 był korespondentem TVP w Kijowie. W tym czasie współpracował z Polskim Radiem, BBC, „Wprost”, „Polityką”, „Rzeczpospolitą”, „Głosem Pomorza”, „Dziennikiem Polskim” w Londynie. Stypendysta Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za scenariusz filmu dokumentalnego „Historia Lwowa”.

Wcale nie żal...

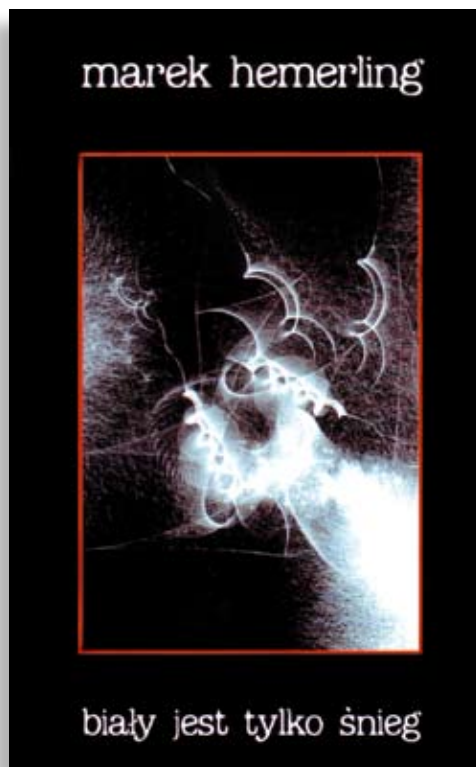
Kiedy w 1984 roku Marek Hemerling za opowiadanie „Deneb III” został zwycięzcą, a za „Drogę” wyróżnionym w pierwszym konkursie literackim miesięcznika „Fantastyka”, można było mieć nadzieję, że to dopiero ledwie krótki wstęp, pisarska uwertura koszalińskiego autora. I rzeczywiście, w 1989 ukazała się „Diabelska maskarada”, pierwsza powieść, zaś rok 1990 przyniósł opowiadanie „Wyrzutek” zamieszczone w pierwszym tomie antologii „Wizje alternatywne” pod redakcją Wojciecha Sedeńki. Właściwie jednak nie było to opowiadanie, lecz pewien fragment, pierwsze dwa rozdziały powieści. Powieści „Biały jest tylko śnieg”, która w całości została opublikowana dopiero siedemnaście lat później przez koszalińskie wydawnictwo „Ultrafiolet”.

Tekst Hemerlinga to proza rozemocjonowana, pełna wściekłości i nienawiści, jaką żywi główny bohater do świata, ludzi czy – szerzej – istot żywych. Jest to historia zbuntowanego Arpa Shatleya, młodego chłopaka, któremu nieobce, jak się zdaje, są niejedno przekleństwo i niejedna broń i który w wolnych – doprawdy rzadkich – chwilach, gdy akurat nie walczy o życie własne i nie sypie z rękawa kolejnymi nihilistycznymi bon motami, stara się pomścić śmierć najlepszego przyjaciela, Świra.

Hemerling umieścił swą powieść w zdegenerowanym, targanym wojną ludzi z mutantami

(„defektantami”) świecie, charakterystycznym dla literatury science fiction lat 80. Tu nikt nie wybacza, nikt nie zna litości, nikt nie jest sprawiedliwy. Jest tylko jedno prawo – prawo silniejszego. Tekst został poszatkowany, akcją poprzetykano gęsto retrospekcjami, w których nieuważny czytelnik łatwo się zgubi i przez które – prawdopodobnie – zniechęci; zaś czytelnika wnikliwego czeka zderzenie z nieprawdopodobnym splotem wydarzeń, pajęczyną układu, jaką autor stara się podtrzymywać i wytłumaczyć wybujałą fabularną konstrukcją.

W wizji Hemerlinga świat przyszłości (być może również świat nasz) nie jest przyjazny człowiekowi, nie jest też rozumny ani wypełniony sensem. Okazuje się w najlepszym razie zimny i obojętny, lecz najczęściej objawia swe chao-



tyczne i wynaturzone, po prostu złe oblicze. Nie ma tu miejsca dla Boga, nie ma żadnego ustalonego z góry porządku ani żadnej sankcji. Egzystencja okazuje się absurdem, nieprzeniknioną otchłanią.

Jednocześnie autor, podobnie jak Camus, apologizuje bunt jako istotę życia i naturalny odruch człowieka. Bunt i zemstę powodowane miłością. Wydaje się przy tym usprawiedliwiać szereg zbrodni dokonywanych przez bohatera, ukazując je jako jedyne skuteczne sposoby walki ze złem, której kres zapewne nigdy nie nadejdzie.

Polska literatura science fiction znajduje się w odwrocie tak głębokim, że dziś już prawie zaniknęła. Pisarze wykorzystujący fantastykę ja-

ko artystyczne narzędzie odchodzą od tej konwencji, wolą pisać fantasy lub książki hybrydowe, na które składają się elementy z bardzo różnych literackich poetyk. Być może taka jest przyszłość literatury szeroko nazywanej fantastyczną. Z pewnością książka Marka Hemerlinga nie odwróci wspomnianego trendu, ale dobrze, że się pojawiła. Stanowi świadectwo. Przypomina bowiem, jakie książki science fiction pisało się w latach 80. i wywołuje refleksję nad minionym czasem, przekorną Okudźawie, że może jednak wcale nie żal.

**Marek Hemerling, „Biały jest tylko śnieg”
wydawnictwo „Ultrafiolet”, Koszalin 2007.**

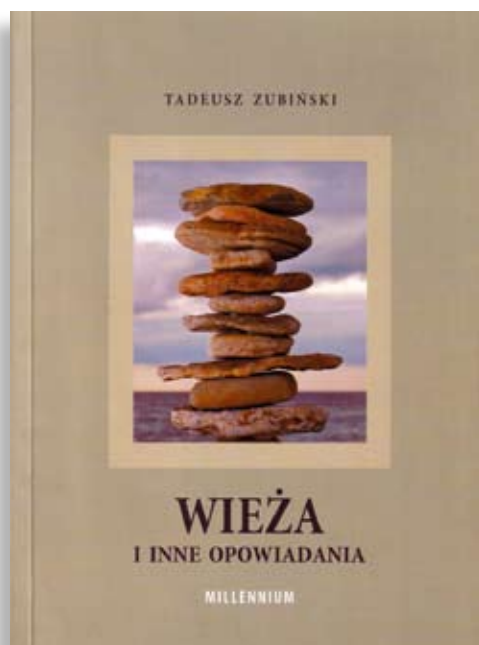
„Wieża”

Tadeusza Zubińskiego

Tadeusz Zubiński, ur. w 1953 roku w Suchedniowie, pisarz, krytyk, tłumacz, eseista. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jest człowiekiem wielu zawodów. Debiutował w 1990 roku opowiadaniem „Epizod na plebanii”. W 1995 roku otrzymał Nagrodę Fundacji im. Natalii Gall. Rok później ukazały się jego tomy opowiadań „Sprawiedliwy w Sodomie” i „Dotknięcie wieku”. Wydał także: „Odłot dzikich gęsi” - Warszawa 2001, „Nikodem Dyzma w Łyskowie” - Bydgoszcz 2003, „Góry na niebie” - Kielce 2005, „Ciche Kraje” - Rzeszów 2006 - wybór szkiców odnoszących się do kultury i historii 3 krajów bałtyckich oraz „Etniczne Dziedzictwo Bałtów” - Warszawa 2007, pod patronatem ambasad Litwy i Łotwy.

Jego najnowsze opowiadania układają się w piękną, pełną zadumy, tajemnicy i nostalgii opowieść o przemijaniu, pogoni za marzeniem, przeznaczeniu determinującym ludzkie losy, o niespełnionych tęsknotach, sekretnych namiętnościach, a jednocześnie o końcu pewnej epoki. Jej symbolem stają się małe, zanikające enklawy, których pełni i urody nie doceni nadchodzący żarłoczny świat... Przeżycie nieuchronnej katastrofy kontrastuje z niezwykle plastycznymi, barwnymi opisami. Autor - mistrz oryginalnej narracji, kreuje swoją własną pełną zagadkowego napięcia rzeczywistość, jednocześnie konkretną i pełną niedopowiedzeń. Charakterystyczne dla siebie wątki alienacji i dekadencji wplata w metaforyczną opowieść o odwiecznej pielgrzymce człowieka w poszukiwaniu samego siebie.

Tadeusz Zubiński „Wieża i inne opowiadania”, Agencja Millenium Bogdan Gutkowski, Koszalin 2007.



Nowy tomik Ryszarda Ulickiego

Ileż tonów kryją te utwory! To tekściarstwo czułe, mądre i poruszające; artykułowane z jakiejś bardzo szczerzej, autentycznej i chyba głęboko przeżywanej prawdy o życiu i świecie, jaka „odłożyła się” w Autorze. Te piosenki (teksty?, wiersze?), mające swój „punkt wyjścia” w realistycznej obserwacji i racjonalnej refleksji życiowej umieją równocześnie być liryczne, nostalgiczne, melan-

choliczne (bez taniego sentymentalizmu), obrazowe... Pejzaż małych zapomnianych miasteczek z malowniczymi uliczkami i targowiskami, klimaty polskiej prowincji kulturowej i społecznej, swoiście „sprzedawany” tu patriotyzm, spleen wieku męskiego, bagaże życia, jesiennosc przemijania - ach, ile wzruszeń, ile mądrości - prostych, ludzkich, zwykłych i trafiających w sam środek naszego doświadczenia i odczuwania.

Leszek Żuliński

Pierwsze teksty do piosenek napisałem w roku 1961 do programu szkolnego kabaretu „PIŃCIO” który istniał przy 11-letniej szkole Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Koszalinie noszącej już wtedy imię Władysława Broniewskiego - wielkiego poety i prawie zapomnianego autora tekstów piosenek. Byłem notorycznym uczniem tej wspaniałej szkoły, do której uczęszczałem 13 lat z powodu ogromnego zapotrzebowania dyrekcji i grona pedagogicznego na moje rozliczne talenty i rozślawiające szkołę inicjatywy... Jako twórca, dyrektor i autor kabaretu, jego kierownictwo muzyczne powierzyłem trochę młodszemu od siebie Ryszardowi Poznańskiemu, co do dziś uznaję za jedną z najlepszych decyzji w mojej karierze kierowniczej. Rezultatem tej współpracy było utworzenie legendarnego już dziś zespołu muzycznego „RAJPERS”, w którym scenicznie zadebiutowała niezapomniana - mieszkająca od wielu lat w Chicago - Katarzyna Sobczyk. Dla niej z Rysiem stworzyliśmy nasze pierwsze piosenki, które trafiły w 1962 roku na antenę Polskiego Radia.

Ryszard Ulicki

Ryszard Ulicki „Wierszopienia”, Wydawnictwo Adam Marszałek, grudzień 2007.



Jubileusz Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

Z duchem czasu

Jedna z najstarszych instytucji kultury Koszalina w 2007 roku ukończyła 60 lat. Została uroczystie otwarta 16 czerwca 1947 roku w zupełnie jeszcze zrujnowanym mieście. Początki były bardzo trudne, pomimo że powstanie biblioteki poprzedziła już w roku 1945 aktywna działalność Komisji na Rzecz Książki przy Kuratorium Szkolnym Szczecińskim. Dzięki tej komisji poniemieckie księgozbiory zastane w Koszalinie były zwożone furmankami i wózkami ręcznymi, gromadzone w budynku muzeum, przeglądane, spisywane, rozsyłane do innych bibliotek, w tym uniwersyteckich w kraju. Pierwszą osobą zatrudnioną przy organizowaniu księgozbioru była pani Pilecka, późniejsza wieloletnia pracownica biblioteki.

Warunki życia w powojennym Koszalinie były bardzo trudne. Świadczą o tym liczne dokumenty przechowywane w zakładowym archiwum. Najważniejsze z nich znalazły się na jubileuszowej wystawie, obrazując ogrom pracy, jakiej dokonać musieli pionierzy Koszalina,

by zorganizować od podstaw życie gospodarcze, społeczne i kulturalne miasta. Dokumenty te dowodzą, że mimo zniszczeń wojennych, zapóźnień kulturalnych i edukacyjnych, głód książki i wiedzy był ogromny.

Kolejne lata były równie trudne. Biblioteka nie miała stałej lokalizacji, kilkakrotnie przenosiła się do różnych tymczasowych siedzib, a pierwsza biblioteka wojewódzka zlokalizowana była przez cztery lata w Białogardzie, gdyż w Koszalinie nie było nawet budynku odpowiedniego dla takiej instytucji.

Po połączeniu wojewódzkiej i miejskiej biblioteki w jedną placówkę w roku 1955 i umiejscowieniu jej w Koszalinie rozpoczęły się starania o nową siedzibę. Trwały one niemal 20 lat, a obecny obiekt Koszalińskiej Biblioteki Publicznej zawdzięczamy wizjonerstwu ówczesnych dyrektorów: Aleksandra Majora i Marii Hudymowej. To temu wspaniałemu duetowi zawdzięczamy, że w Koszalinie powstała pierwsza zbudowana od podstaw w powojennej Polsce biblioteka, oddana uroczystie do użytku we wrześniu 1973 roku. Zmiany administracyjne odbijały się, niestety, niekorzystnie na stabilizacji instytucji; łączono i rozdzielano bibliotekę miejską i wojewódzką, aż wreszcie po ostatniej reformie administracji Koszalińska Biblioteka Publiczna w roku 1999 rozpoczęła najnowszy okres swojej historii jako biblioteka miejska i powiatowa (na mocy porozumienia ze starostwem powiatowym).

Przedstawiona powyżej historia stała się kanwą filmu „Biblioteka koszalińska w kilku odsłonach”, wyemitowanego po raz pierwszy na imprezie jubileuszowej. Wzruszenie obecnych i dawnych, emerytowanych pracowników było tym większe, że wśród zaproszonych gości znalazła się pani Maria Hudymowa, zastępca dyrektora biblioteki w latach 1955-1976, która wieloletnie zmagania z machiną urzędniczą i biurokratyczną w walce o powstanie nowej biblioteki zna „od podszewki”.

Film, który zastąpił typowe „referatowe” wystąpienie o historii biblioteki przywołał wiele

wspomnień, a młodszym uczestnikom obchodów przybliżył historię naszej placówki. Jednocześnie wiele miejsca poświęcono w nim współczesnemu obliczu biblioteki, jako centrum życia kulturalnego, literackiego i oświatowego naszego miasta. Obecnie jest to instytucja dysponująca ponad 400 tysiącami zbiorów, obsługująca rocznie 23 tysiące czytelników, organizująca – w budynku głównym i filiach miejskich blisko 1700 imprez kulturalno – oświatowych. Rocznie odnotowujemy ponad 240.000 odwiedzin. Możemy poszczycić się skomputeryzowaniem wszystkich procesów bibliotecznych oraz istnieniem wirtualnej sieci obejmującej filie i budynki główne. Biblioteka jest w pełni przystosowana do obsługi osób niepełnosprawnych, dysponuje piękną, doskonale wyposażoną, nowoczesną salą konferencyjno – kinową, kawiarenką internetową, fonoteką i zbiorami „książki mówionej”. Posiadamy bogate zbiory regionalne, dokumentujące życie kulturalne, społeczne, gospodarcze i polityczne naszego miasta.

Biblioteka jest miejscem spotkań mieszkańców w różnym wieku - to właśnie tu spotykają się niewidomi i niedowidzący, osoby niepełnosprawne – dzieci i dorośli na zajęciach z muzykoterapii i arteterapii, dzieci spędzają także ferie zimowe i wakacje w filiach miejskich, tu odbywają się promocje książek i spotkania z pisarzami, konferencje naukowe, działa Galeria Region, od niedawna również działa Dyskusyjny Klub Książki dla dorosłych oraz dla młodzieży. W konkursowe szranki stają w bibliotece mali recytatorzy, ilustratorzy, a także poeci i prozaicy. Od kilkunastu lat biblioteka prowadzi wydawnictwo, publikując m.in. „Rocznik Koszaliński” dokumentujący dokonania miejscowego środowiska naukowego, almanach „Kultura Koszalińska”, Bezpłatny Informator Kulturalny „Miesiąc w Koszalinie”, literaturę piękną, materiały konferencyjne...

Historia i dzień dzisiejszy biblioteki zostały przedstawione na okolicznościowej wystawie, w której archiwalne zdjęcia i dokumen-



W uznaniu zasług Koszalińska Biblioteka Publiczna została uhonorowana Złotą Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego, które odebrali dyrektor Andrzej Ziemiński i Lucyna Ślubowska

fot. Dżdzisław Pacholski

ty dzielnie sekundowały współczesnym, wielobarwnym fotogramom. Zaprezentowaliśmy bogaty dorobek wydawniczy biblioteki, oraz – z dumą – otrzymane dotychczas przez bibliotekę odznaczenia.

O tym, że rozwój biblioteki idzie we właściwym kierunku, przekonali nas nie tylko głosy naszych władz, gości i czytelników. Utwierdził nas w tym poczucie wykład dra Artura Jazdona – dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Adama Mickiewicza, który poświęcony był powinnościom i oczekiwaniom związanym z biblioteką XXI wieku.

O tym, jak ważna dla lokalnego środowiska jest nasza biblioteka, w wielu ciepłych i serdecznych słowach mówili licznie przybyli na jubileuszowe obchody goście - władze samorządowe miasta, przedstawiciele władz wojewódzkich, zaprzyjaźnione instytucje kultury, czytelnicy. Wspominali oni swe pierwsze kroki w bibliotekach, porównywali, jak zmieniały się one i piękniały z roku na rok, podziwiali nowoczesność placówki. Zasluga to niewątpliwa kolejnych dyrektorów: Aleksandra Majorka, Marii

Hudymowej, Zenona Jończy, Andrzeja Ziemińskiego... To również zasługa ponad 600 pracowników, którzy w ciągu 60 lat przyczynili się do rozwoju biblioteki i kształtowali jej pozytywny wizerunek w mieście i regionie.

W uznaniu zasług na rzecz upowszechniania czytelnictwa biblioteka została odznaczona przez Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego Złotą Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego, natomiast Złoty Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis otrzymała od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pani Maria Hudymowa. Ponad 30 pracowników zostało uhonorowanych odznaczeniami państwowymi i samorządowymi, dyplomami, listami gratulacyjnymi, nagrodami rzeczowymi i finansowymi, a zasłużeni dla biblioteki wieloletni pracownicy – obecnie na emeryturze – otrzymali pamiątkowe statuetki.

Koszalińska Biblioteka Publiczna wiele zawdzięcza przychyłności władz lokalnych. To dzięki ich zrozumieniu i życzliwości możemy się rozwijać, poszerzać zbiory, unowocześniać obiekty, po prostu – iść z duchem czasu.



fot. Zdzisław Pacholski

Grażyna Preder

„Mniej deklaratywności, więcej działań...”

Rozmowa z prof. Mykołą Zymomryą po I Polsko-Ukraińskiej Konferencji Literackiej w Koszalinie

Grażyna Preder - Jak Pan ocenia dotychczasową współpracę polsko-ukraińską w dziedzinie literatury? Czy wystarczająco dużo robimy, by propagować dokonania literackie obu krajów?

Mykoła Zymomrya - Mamy sporo do odrobienia. I bardzo się cieszę, że doszło do tej pierwszej polsko-ukraińskiej konferencji poświęconej literaturze, bo może ona rozpocząć ważny etap naszej współpracy.

Szkoda, że nie mógł przyjechać na konferencję przewodniczący Związku Pisarzy Ukrainy Wołodymyr Jaworski. Na szczęście było wiele innych znakomych uczestników, dzięki którym poziom konferencji należy uznać za bardzo wysoki. Szczególnie ważne było wystąpienia Bohdana Zadury, niezwykle osobiste, bardzo ciepło odnoszące się do walorów języka ukraińskiego i do twórców najpiękniej tę urodę języka oddających. Ciekawy wykład wygłosił też Leszek Żu-

liński, kreśląc prawdziwą panoramę dziejów literatury ukraińskiej, skupiając się na tym, co w niej najważniejsze. Myślę, że wiele cennych informacji przekazali również goście z Ukrainy.

Literatura polska na Ukrainie jest dobrze znana. Teraz, na przykład, ukazał się u nas tom wierszy Bohdana Zadury. Zadura jest w ogóle autorem niezwykle cenionym. Nie tylko dlatego, że ma wielkie osiągnięcia w przybliżaniu polskiemu czytelnikowi dzieł autorów ukraińskich. To on przetłumaczył między innymi utwory Dmytra Pawłyuczki, Łesi Ukrainki czy Iwana Dracza. Jestem dumny, że wspólnie z Zadurą opracowaliśmy osiem lat temu wybór poezji Dmytra Pawłyuczki „Naparstek” w wersji polsko-ukraińskiej. Ta książka została bardzo dobrze przyjęta i oceniona w obu naszych krajach. Pawłyuczko, który przez kilka lat był ambasadorem Ukrainy w Polsce, ma u nas bardzo wysoką pozycję. Jest to niekwestionowany autorytet naszego środowiska literackiego.

Chciałbym też przywołać nazwisko Zbigniewa Domino, który – jako jeden z niewielu Polaków - został uhonorowany nagrodą imienia Jarosława Mądrego za powieść „Syberia polska”. Oczywiście, doskonale znana jest u nas twórczość Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza.

G.P.: - Kto na Ukrainie ma największe zasługi w propagowaniu literatury polskiej?

M.Z.: - Jednym z najbardziej zasłużonych jest wspomniany tu już Dmytro Pawłyuczko, który między innymi opracował antologię poezji polskiej, zamieszczając w niej najznakomitsze utwory, najbardziej godne uwagi.

G.P.: - Pan także przybliży polską literaturę swoim rodakom. Ostatnio szczególnie interesował się Pan autorami z naszego regionu, reprezentującymi mniejszość ukraińską.

M.Z.: - Tak się stało, że tu właśnie, na tych ziemiach, żył i tworzył naprawdę dobry poeta Jakub Hudemczuk-Muszyński. Był członkiem Związku Literatów Polskich. Jestem dumny, że udało mi się wydać niezwykle obszerny, liczący prawie 500 stron wybór jego poezji pt.: „Wie-

lobarwność". Książka ukazała się w 2003 roku, dwa tygodnie przed śmiercią poety. Jakub Hudemczuk-Muszyński widział tylko jej próbny egzemplarz i nie mógł cieszyć się sukcesem, jaki książka odniosła na Ukrainie. Nazwisko Muszyńskiego od tego czasu włączone zostało do encyklopedii ukraińskiej, w szóstym jej tomie jest hasło opracowane przez profesora Zabrowarnego i przeze mnie, omawiające twórczość Jakuba Hudemczuka-Muszyńskiego. Powiem więcej – autor ten wszedł do naszego kanonu lektur szkolnych.

Cieszę się też, że mogłem przybliżyć moim rodakom twórczość Olgi Petyk, poetki zmarłej w 2004 roku, a mieszkającej i tworzącej w Przemysłu. Jej zbiór „Łemkowskie progi” jest świadectwem przywiązania do korzeni łemkowskich, do tradycji i piękna tej kultury.

I jeszcze jedno nazwisko, które starałem się przybliżyć czytelnikom w Polsce i na Ukrainie: Mikołaj Słabak ze Słupska, którego twórczość porównałbym do malarstwa Nikifora. Jest to poezja płynąca wprost z serca, wyrażająca najprostsze uczucia.

Choćby tylko te nazwiska dowodzą, że słowo ukraińskie w Polsce jest żywe, że tutejsze środowiska ukraińskie mogą poszczycić się utalentowanymi pisarzami, że warto tych autorów propagować i przybliżyć czytelnikom obu krajów.

G.P.: - Co uznałby Pan za szczególną wartość polsko-ukraińskiej konferencji literackiej w Koszalinie?

M.Z.: - Było to niewątpliwie przecieranie szlaków i tworzenie warunków do intensywniejszej współpracy. Jak zapowiedział przewodniczący ZLP Marek Wawrzekiewicz następną taką konferencja odbędzie się w Kijowie. Wcześniej ukażą się drukiem materiały z konferencji. Opracowaniem publikacji zajmie się BWSH, czyli uczelnia będąca głównym organizatorem konferencji. Przy okazji chciałbym zauważyć, że BWSH wydała już sześć tomów publikacji zatytułowanej „Ukraina. Polska”. Szczególnie mocno akcentowane są tutaj kwestia kultury i oświaty w obu krajach. Celem tej publikacji jest budowanie mostów, sprzyjanie wzajemnemu zrozumieniu, uczenie się od siebie, ale – co chciałbym podkreślić – na dobrych przykładach. Teraz, jak są



fol. Ilona Łukjaniuk

dzę, będzie jeszcze lepszy klimat do budowania tych mostów, kiedy Ukraina wraz z Polską będą organizować Euro 2012.

G.P.: - Konferencja w Kijowie ma się odbyć w tym roku? Z jaką częstotliwością powinno się organizować takie spotkania?

M.Z.: - Mówiło się, że raz na dwa lata, ale, być może, konferencja kijowska odbędzie się jeszcze w 2008 roku, żeby jak najszybciej mogło dojść do podpisania umowy o współpracy między ZLP a Związkiem Pisarzy Ukrainy. Taka umowa nada odpowiednią rangę dalszym działaniom po obu stronach.

G.P.: - A jaki miałby być dalszy ciąg tej współpracy - w Pana ocenie?

M.Z.: - Uważam, że dobrym zwyczajem takiej konferencji mogłaby być każdorazowa promocja jakiejś książki, jakiegoś ważnego dzieła. Na pewno promocji nie wymaga już twórczość Jurija Andruchowycza, bo ten znakomity autor przebojem wszedł na polski rynek księgarski i teraz już wydawcy sami zabiegają o możliwość druku w Polsce kolejnych jego dzieł. Ale przecież oprócz niego jest wielu innych świetnych autorów.

G.P.: - Bardzo dobrą promocję mają u nas książki Oksany Zabuzko...

M.Z.: - Tak to prawda. Ona też ma otwartą drogę do polskiego czytelnika. Ale ja bym wolał skupić się na najmłodszym pokoleniu pisarzy Ukrainy i jemu dać szansę zaistnienia w Polsce. Dlaczego nie mielibyśmy promować wybitnych debiutów?

G.P.: - Odwołując się do wskazanych przed chwilą nazwisk, czy nie sądzi pan profesor, że po naszej stronie jest większa ciekawość, większe zainteresowanie współczesną literaturą ukraińską niż polską w Ukrainie?

M.Z.: - Nie sądzę. Myślę, że to zainteresowanie po naszej stronie jest równie intensywne. Jak pojawia się w Polsce coś wyjątkowego, to już Pawłyczko nie odmówi sobie przyjemności pokazania książki Ukraińcom.

A skoro mówimy o zaległościach, to pragnę zwrócić uwagę, że od czasu ukazania się w

Polsce nieocenionej antologii poezji ukraińskiej autorstwa Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza minęło ponad trzydzieści lat. Życzyłbym sobie na tym nowym etapie naszych relacji mniej deklaratorywności, a więcej działań. Chodzi właśnie o wydobycie z cienia tych wszystkich utalentowanych pisarzy, których sobie jeszcze nie przedstawiliśmy. I w tym sensie chciałbym raz jeszcze podkreślić zasługi Bohdana Zadury, który wyławia nasze talenty literackie i przybliża je polskiemu czytelnikowi. To on odkrył talent Siergieja Żadana i przetłumaczył jego wiersze na polski. Ale jest na przykład wybitnie zdolny poeta Dmytro Kremin, o którym nad Wisłą mało kto słyszał. Szkoda... I dlatego pragnąłbym, aby w obu naszych krajach było więcej takich propagatorów literatury, jak Zadura i Pawłyczko.

Być może ważnym momentem dla naszego zbliżenia w dziedzinie literatury i kultury będzie planowane w Kijowie odsłonięcie pomnika Juliusza Słowackiego. Wierzę, że takich dobrych przejawów współpracy doświadczymy więcej i że koszalińska konferencja też jest początkiem bardzo istotnych zmian na lepsze.

Mykoła Zymomrya - prof. zw. dr hab., germanista, profesor Bałtyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej w Koszalinie w Instytucie Neofilologii, kierownik Katedry Translatoryki na Akademii Polonijnej w Częstochowie, wykładowca w Wyższej Szkole Lingwistycznej w Częstochowie oraz na Uniwersytecie w Landau. Członek honorowy European Association for Security (Ukraina). Prace badawcze z zakresu komunikacji społecznej. Tłumacz literatury ukraińskiej na język polski i niemiecki.

I Polsko – Ukraińskie Seminarium Literackie, poświęcone literaturze przełomu wieków i wielkich przemian społeczno-politycznych na Ukrainie i w Polsce, odbyło się w dniach od 5 do 9 grudnia, pod patronatem honorowym Ambasadora Ukrainy w RP Olexandra Motsyka, przy współudziale Zarządu Koszalińskiego Oddziału Związku Ukraińców w Polsce.

Organizatorzy: Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, BWSH i GWSH, redakcja „Miesięcznika”.

Uczestnicy polscy:

1. Zbigniew Domino - pisarz
2. Michał Jagiełło – prozaik, poeta, krytyk
3. Prof. dr hab. Jan Kurowicki - zajmuje się teorią poznania, estetyką i filozofią kultury, kieruje Zakładem Filozofii Kultury w Instytucie Filozofii WSP, autor ponad 30 książek
4. Andrzej K. Waśkiewicz – poeta i krytyk literacki
5. Bogdan Zadura - redaktor naczelny „Twórczości” – poeta, krytyk literacki, tłumacz poezji ukraińskiej
6. Leszek Żuliński - pisarz, krytyk literacki

7. Marek Wawrzekiewicz - poeta, prozaik, dziennikarz, krytyk literacki, prezes ZLP

8. Ryszard Ulicki - poeta, prozaik, dziennikarz, autor tekstów piosenek

9. Maria Ulicka – wydawca i redaktor naczelny pisma „Miesięcznik”

Uczestnicy ukraińscy:

1. Serhij Borszczewśkyj – poeta i tłumacz
2. Ołena Katajewa - tłumaczka dramaturgii polskiej
3. Anatolij Krym – dramaturg, sekretarz generalny Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy
4. Walerij Guźwa – poeta, eseista, tłumacz
5. Anatol Mojsijenko - poeta, tłumacz, profesor Uniwersytetu im. T. Szewczenki w Kijowie
6. Prof. Mykoła Zymomrya

SZTUKA I ARCHITEKTURA



Co po „Osiekach”?

Multimedialne Lubieszewo

Od 12 sierpnia 2007 przez kilka dni w Koszalinie, a potem w Lubieszewie (koło Złocieńca – dop. red.) można było spotkać artystów postawangardy z całej Polski. O spotkaniu i wystawie, które odbyły się tym razem pod patronatem Galerii Scena i Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie było głośno w całej Polsce. Co przyciąga uwagę mediów? Nazwiska artystów czy niecodzienna idea imprezy? Jedno i drugie.

Opiekunami wydarzenia i przewodnikami po sztuce postawangardy byli znani artyści związani od lat z Koszalinem: Andrzej Ciesielski i Stanisław Wolski. Obydwaj do niedawna wykładowcy Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, są przedstawicielami awangardy, których ukształtowały wydarzenia i sztuka lat 70. i 80. Ciesielski to ważna postać sztuki polskiej również dlatego, że jest autorem niepowtarzalnej koncepcji galerii „Moje Archiwum”, która funkcjonowała w naszym mieście w latach 90.

Andrzej Ciesielski był również kuratorem – obok Elżbiety Kalinowskiej-Motkowicz – ostatnich Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach, które odbyły się w roku 1981. Był to nie tylko ostatni plener (później był już tylko stan wojenny, ale także jeden z najważniejszych. Zwiastował koniec epoki politycznej

i koniec długiej epoki modernizmu w sztuce polskiej. Znakiem rozpoznawczym XIX Spotkań w 1981 r. są słynne po dziś dzień awantury artystyczne grupy Łódź Kaliska, w tym zniszczenie rzeźby „Pegaza” w parku osieckim, koncert fortepianowy Andrzeja Partuma i nagi manifest Jerzego Beresia („Taczki wolności”). Za wszystkie te artystyczne „ekscesy” odpowiada Andrzej Ciesielski. Bo wówczas, w przeddzień stanu wojennego, był w Koszalinie bohaterem nowej sztuki, wszystkich zmian i przesunięć, i, jak zapewne chcąc przeciwnicy awangardy, źródłem całego zła. Z naszej dzisiejszej perspektywy wiemy, że wczesne lata 80. zapoczątkowały epokowy proces zmian w sztuce i życiu społecznym. Że był to proces ożywczy, niezwykle i niepowtarzalny, proces, który już w połowie dekady zaowocował wybuchem sztuki ekspresyjnej (nowi dzicy, nowa ekspresja), która ostatecznie znokautowała akademizm i eklektyzm uprawiany na polskich uczelniach artystycznych, a na płaszczyźnie politycznej „rozłożyła” modernizm w wydaniu sowieckim. Tym samym również awangarda i postawangarda przeszły do historii.

Nie przez przypadek historycy sztuki wraz z kuratorami plenerów w Osiekach zgodnie przyjmują, że skończyły się one w roku 1981. Była to rzeczywista granica pomiędzy awangardową przeszłością i nieznaną przyszłością. Między innymi dlatego próby reaktywacji plenerów w Osiekach, podejmowane już od roku 1984, są nieudanymi powrotami do przeszłości. Nieudanymi z punktu widzenia sztuki i kultury, bo kto na oślep wraca do tego, co było? Są też potwierdzeniem faktu zawłaszczania sztuki i cennych inicjatyw kulturowych przez polityków i działaczy związkowych. Nie zmieniło się to do dziś: organizowane współcześnie plenery w Osiekach są nadal manifestacją oficjalnej poprawności artystycznej i jednocześnie marnym pastiszem sztuki i plenerów z lat 1963-1981. Nie trzeba dodawać, jak jest to nieuczciwe wobec pomysłodawców i inicjatorów plenerów w roku 1963 - Mariana Bogusza i Jerzego Fedorowicza.

Ale postawanguardia cała nie zginęła. W pierwszej dekadzie XXI wieku przyszedł czas na ponowne jej odkrywanie. Przypomina się artystów i grupy działające w latach 70. i 80. organizuje się wystawy z tego czasu w najlepszych instytucjach. Pozostający w cieniu, często zapomniani artyści stają dziś w blasku reflektorów. Z drugiej ligi przechodzą do pierwszej. Nie ma dziś historii sztuki, która milczy o Józefie Robakowskim, Zygmuncie Rytce, Zofii Kulik, Przemysławie Kwieku, Natalii LL (Lach-Lachowicz – dop. red.) i Łodzi Kaliskiej. A więc o tych artystach, którzy najmocniej odcisnęli piętno na charakterze plenerów osiekich w latach 70. Do tej grupy artystów należą również Andrzej Ciesielski oraz Stanisław Wolski. Choć mniej znani (niesłusznie), ciężko pracowali na renesans awangardy, organizując uparcie od 2002 roku spotkania multimedialne w Lubieszewie.

Jest to jedyna impreza artystyczna w Polsce, która nawiązuje jednocześnie do tradycji awangardy (plenerów w Osiekach) i postawangardy (negacji sztuki, podważenia jej instytucjonalizacji w postaci instytucji i galerii), organizowana przez samych artystów. Trochę przypominająca działanie międzywojennych spółdzielni artystycznych. Jedyna impreza, która nie opiera się na mediach, a, co gorsze, jest świadomie w opozycji do rynku sztuki. Impreza, która uparcie kultuwyje zasadę budowania i umacniania indywidualnych więzi pomiędzy artystami i (ewentualnie) ich odbiorcami. Relikt przeszłości?

Nie wydaje mi się! To jest ciągle żywy, pełen utajonej potencji bunt artystyczny! Najlepsza odpowiedź na pytanie „co po Osiekach?”. Spotkania w Lubieszewie – gdyby istniała polityka promocji kultury lub polityka kulturalna – powinny być jej pierwszym beneficjentem w Za-



Ewa Zarzycka - performance w Galerii „Scena”

fot. Kamil Jurkowski

chodniopomorskiem. Nie tylko dlatego, że kulturuje odrębność, ale również dlatego, że buduje naszą lokalną kulturową tożsamość. A Koszalin i Szczecin grają tu w jednej orkiestrze. W małym Lubieszewie artyści i krytycy spotykają się, by zaspokoić potrzebę bezpośredniego, prywatnego kontaktu. Sztuka jest na drugim planie. Tutaj podczas pięciodniowego pobytu jest czas na spotkanie i rozmowę, wymianę myśli, doświadczeń, informacji. Oczywiście mówi się także o sztuce, jest to także okazja do prezentacji własnej twórczości.

Renesans postaw awangardowych cieszy zwłaszcza w Koszalinie, bo tu, co warto jeszcze raz podkreślić, awangarda ma własną, niebanalną historię oraz własnych bohaterów i niepowtarzalne miejsca. Co prawda dziś funkcję galerii „Moje Archiwum” pełni „Galeria Scena”, i to właśnie w niej w październiku 2007 odbył się pokaz koszalińskich nestorów awangardy –

Ciesielskiego i Wolskiego zatytułowany ironicznie „Benefis” - który okazał się najmocniejszym manifestem sztuki ostatnich paru lat.

Chwała awangardzie!

VII Spotkania Multimedialne Lubieszewo 13 -18 sierpnia 2007 Koszalin-Lubieszewo

Program

13 sierpnia 2007

1. Muzeum w Koszalinie:

- Spotkanie z Józefem Robakowskim – Galeria Sztuki Współczesnej
- Pokaz filmu Jana Fabicha o Partumie – Galeria Sztuki Współczesnej
- Performance Cezarego Bodzianowskiego (Muzeum i okolice)

2. Galeria SCENA:



Stanisław Wolski i Andrzej Ciesielski - „Benefis” - Galeria „Scena

fot. Kamil Jurkowski

- Otwarcie wystawy „RYBKA 707”
- Performance Ewy Zarzyckiej

Spotkanie w Lubieszewie - przyjechali:

Małgorzata Borek, Danuta Dąbrowska, Andrzej Ciesielski, Jan Fabich, Jerzy Grzegorski, Robert Knuth, Piotr C. Kowalski, Izabela Lejk, Tomasz Matuszak, Zdzisław Pacholski, Józef Robakowski, Andrzej Słowik, Maria Taszycka, Zbigniew Taszycki, Ryszard Tokarczyk, Waldemar Wojciechowski, Edyta Wolska, Stanisław Wolski, Bartosz Wójcik, Ewa Zarzycka, Ryszard Ziarkiewicz.

Andrzej Ciesielski (1946) artysta, zamieszkały w Koszalinie od 1971. W latach 1980-1981 prowadził i współorganizował Spotkania Artystów i Teoretyków Sztuki w Osiekach. Od 1982 r. brał czyn-

ny udział w niezależnym ruchu artystycznym. W latach 1986-1990 prowadził autorską galerię „Na Plebanii” w Koszalinie. W latach 1990-2002 prowadził własną, prywatną galerię „Moje Archiwum” w Koszalinie. W latach 1996-2001 organizował Europejskie Spotkania Artystów w Bornem Sulinowie. Od 2002 roku współorganizuje doroczne Multimedialne Spotkanie Artystyczne w Lubieszewie k. Złocieńca.

Stanisław Wolski (1952, Warszawa) - artysta, do roku 2007 wykładowca „brył i płaszczyzn” w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej do 2007 r., organizator i inicjator wielu plenerów i spotkań artystycznych, m.in. „Młody performance polski” (1983), „Kolęda artystyczna”(1984). Od siedmiu lat gospodarz Multimedialnych Spotkań Artystycznych w Lubieszewie k. Złocieńca.



Stanisław Wolski i Andrzej Ciesielski - performance „Benefis”- Galeria „Scena

fot. Kamil Jurkowski

Agnieszka Okrzeja

Pamięć o plenerowym *genius loci*

Trwająca od lipca do grudnia 2007 roku wystawa „No 1 Szkie do kolekcji sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie. Kolekcja Osiecka. Sztuka polska lat 70-80” był to pokaz, który zapoczątkował proces rewitalizacji wystawienniczej Kolekcji Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Wystawie towarzyszyły też inne wydarzenia, między innymi odsłona cyklicznego projektu billboardowego „Kocham Koszalin” (kurator **Ryszard Ziarkiewicz**), oraz wystawa „*Seklibrys i małe formy plastyczne*” (kurator **Marta Adamczak**). Wydarzenia te, były związane z powołaniem nowej osoby odpowiedzialnej za prowadzenie Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Stanowisko zajmowane w latach 1976–2006 przez **Walentyne Orłowską**, kustoszki Kolekcji i kuratorkę wielu odsłon zbioru, przejął Ryszard Ziarkiewicz.

Przestrzeń, która posłużyła jako miejsce prezentacji „No 1 Szkie do kolekcji sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie” miała charakter niewielkiego poddasza, co utrudniało inscenizacyjną ekspozycję dzieł. Kilka realizacji zostało umieszczonych w nietypowych miejscach i zestawieniach. Obraz **Edwarda Krasińskiego**, „Intervention” (1979), był elementem akcji o tym

samym tytule, przeprowadzonej podczas XVII Spotkania Artystów Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach w 1979 r. Krasiński wyszedł od powierzchni obrazu i interweniując w przestrzeń za pomocą swej słynnej niebieskiej taśmy anektował tym samym poszczególne krajobrazy. Pomimo istniejącej dokumentacji fotograficznej, na wystawie obraz został pozbawiony kontekstu akcji i umieszczony na ścianie w niewielkiej odległości od styku z podłogą. Edward Krasiński dla działań z niebieską taśmą o szerokości 19 mm obierał zawsze ten sam kierunek: horyzontalny, i tą samą wysokości – 130 cm. Tu zasada jednak została przełamana. Na wystawie obraz Krasińskiego zaprezentowano w przestrzennej, a zarazem też estetycznej relacji do ustawionego naprzeciwko, geometrycznego obiektu **Kajetana Sosnowskiego** „Struktura niesymetryczna, dwuosiowa” (1973).



Na pierwszym planie praca Kajetana Sosnowskiego, dalej: Edwarda Krasińskiego

fot. Agnieszka Okrzeja

Wśród prac wybranych przez kuratora, znalazła się również tabliczka informacyjna z napisem „Strefa wyobraźni”, która była częścią akcji **Jarosława Kozłowskiego**, „Strefa wyobraźni” (1970). W jej sąsiedztwie Ziarkiewicz umieścił dwa obrazy – poematy autorstwa **Andrzeja Partuma**: „Poema line-idées” (1983) i „Sztuka PRO/LA” (1981), w innym zaś miejscu pojawił się obraz „Poem-Point” (1979). Relacją otwartą na interpretację jest również umieszczenie rzeźby **Jerzego Beresia** – elementu towarzyszącemu mu podczas performance „Taczki wolności” (ostatnie, XIX-te Spotkania Artystów Naukowców i Teoretyków Sztuki, Osieki 1981), z pracą **Romualda Kutery**, „Traktat o historii sztuki” (1983). Ta ostatnia w cyniczny sposób odnosiła się do mijającej epoki modernizmu, żegnając jej ostatnie „podrygi”. Na wystawie zostały zaprezentowane fragmenty dokumentacji wydarzeń efemerycznych, między innymi prezentacja „Environment w czerwieni” **Andrzeja Matuszewskiego** (1970-1973). W sąsiedztwie dwóch czerwonych krzeseł Matuszewskiego kurator umieścił przestrzenny obiekt malarski **Andrzeja Ciesielskiego**, „Sukienka” (1978). W centralnym miejscu ekspozycji znalazły się dwie prace: „forma przestrzenna” **Henryka Berlewiego** (1966), artysty który w latach dwudziestych XIX w. należał do przedstawicieli nurtu radykalnej awangardy polskiej, oraz rzeźba „xxx” **Henryka Morela** (1967). Kurator wybrał z Kolekcji i zaprezentował tu również przesycony ludowym blichtrem obiekt „Niciowiec” (1966) Włodzimierza Borowskiego. Obok umieścił instalację świetlną „Kompozycja przestrzenna” (1973) **Jana Ziemskiego**, artysty, który wraz z **Tytusem Dzieduszyckim**, **Ryszardem Kiwerskim**, **Włodzimierzem Borowskim** oraz krytykami **Hanną Ptaszkowską** i **Jerzym Ludwińskim** współtworzyli lubelską Grupę Zamek. „Ukrzyżowany ból” (1985) **Zdzisława Pacholskiego** to jedyna fotografia poka-

zana na wystawie, ale też praca, która nie łączy się bezpośrednio z Osiekami. Fotografia widoczna jest również na plakacie wystawy: czarno-biały kadr przedstawia dłoń, do której przypięta jest agrafka. W szklanej gablocie o muzealnym charakterze można było zobaczyć cykl rysunków **Marka Wawryna** (Osieki – sierpień 80) zmontowanych z gotowej ilustracji przedstawiającej zabieg dopochwowej aplikacji leku, każdy z 16 rysunku, opatrzone był refleksyjną notatką – hasłem autora.

Charakter wystawy przypominał o alternatywnej i pionierskiej koncepcji, z jakiej powstała koszalińska Kolekcja. Pokaz sugerował niejednorodną, jakby kolażową strukturę zbiorów. Cykliczna organizacja osieckich plenerów powołała do życia nowe środowisko, generujące ośrodek artystyczny równoległy do centralnego. Plenery skupiały przy sobie aktywnie działających twórców i teoretyków sztuki. Krokiem do zachowania pamięci tej sytuacji była inicjatywa stworzenia muzealnej kolekcji dzieł powstających na plenerach. Międzynarodowe Spotkania Twórców i Teoretyków Sztuki w Osiekach od samego początku w swojej idei zakładały „jawność procesu tworzenia”, „nieograniczoność dyskusji”, „otwarte pracownie”¹, i choć przez te wszystkie lata zmieniał się skład osób biorących udział, przeobrażały się tytuły wydarzeń i do- różne idee poszczególnych plenerów, prymarne założenia obowiązywały zawsze. Decyzja o zależności zbiorów od Plenerów Osieckich, pozwalała „obrasnąć” Kolekcji w dzieła artystów z całej Polski i z Europy. Ważkim argumentem, który potwierdza tezę o wyjątkowości Kolekcji Osieckiej, są również jej właściwości formalne. Zbiory liczą sobie ponad 1700 eksponatów, które można podzielić na dwie części: dzieła artystów polskich po 1945 roku ze środowiska koszalińskiego oraz realizacje i dokumentacje powstałe podczas Międzynarodowych Plenerów

¹ Wymieniam za Ewą Kowalską „Fakty, Wydarzenia, Opinie”, W: Katalog Wystawa Dokumenta Osieki 1963-81, Koszalin 1993, str. 11.



fol. Agnieszka Okrzeja

Osieckich w latach 1963 – 1981. Koszalińskie zbiory sztuki współczesnej to nie tylko obrazy, rzeźby, obiekty, ale ogromne ilości dokumentacji fotograficznej, graficznej (ulotki, foldery, plakaty), multimedialnej (filmowe i dźwiękowe zapisy dyskusji plenerowych). W zbiorach znajduje się cenna dokumentacja działań efemerycznych, które były dotąd niedostępne dla innych instytucji; tu przede wszystkim chodzi o pionierskie działania artystyczne tworzone w duchu sztuki konceptualnej.

Osieckie spotkania plenerowe uruchamiały spontaniczną dyskusję na temat sztuki, prowadzoną między artystami i teoretykami, wraz z światopoglądami, spotykały się różne pokolenia. Swoje poglądy wymieniali zarówno młodzi artyści, jak i goście honorowi „starzy” awangardziści **Henryk Stażewski** czy **Julian Przyboś**. Siła dialogu sprzyjała procesowi realizacji efemerycznych dzieł, które powstawały w niezwykłej atmosferze ścierania się różnych manifestów artystycznych. Nowatorskie dla polskiej

sztuki wnioski objawiały się w rozmowach, realizacjach artystycznych i w powstających na ich kanwie tekstach. „*W tej sytuacji artystycznej psychodramy – pisał **Andrzej Kostołowski** - rozgrywającej się nie bez kontaktu z samym miejscem (jeziorem, morzem, plażą, drzewami, trawą, niebem) dochodziło wielokrotnie do przekraczania barier umowności artystycznej kreacji, a w ten sposób także do odkryć nowych sposobów artykulacji w sztuce.*”² Z dzisiejszej perspektywy ponownie można mówić o *genius loci*³ Osiek, a refleksja nad specyfiką plenerów i powstającą na nich sztuką, która tworzy Kolekcję odczytywana jest z wielu nowych perspektyw. Przed Muzeum w Koszalinie stoi obecnie bardzo poważne zadanie polegające na instytucjonalnej rewizji zbiorów. „No 1 Szkic do kolekcji sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie” sugeruje, że w niedalekiej przyszłości możemy spodziewać się nowych, zaskakujących odsłon Kolekcji.

² Andrzej Kostołowski „Sztuka i jej meta –”, Kraków 2004, str. 264.

³ Po raz pierwszy tego porównania dokonała Walentyna Orłowska, W: Katalog Wystawa Dokumenta Osiecki 1963-81, Koszalin 1993, str. 5.

Ewa Miśkiewicz- Żebrowska

Nowa dekada plenerów osieckich

W 2007 roku odbył się X Międzynarodowy Plener Malarski, od roku 1998 - odkąd Dworek w Osiekach i otaczający go park na nowo stały się miejscem pracy wielu artystów z kraju

i zagranicy – odbywający się pod hasłem „Czas i miejsce dla sztuki”. Organizowany przez koszalińsko-słupski oddział Związku Polskich Artystów Plastyków plener stał się faktem dokonanym, podkreślając rolę artysty jako kreatora nowych i tych wciąż ciągle aktualnych znaczeń w życiu i sztuce. Pobyt artystów na ziemi koszalińskiej wspiera prezydent Koszalina wraz ze starostą koszalińskim, burmistrzem Sianowa oraz marszałkiem województwa zachodniopomorskiego.

W ciągu minionych lat zarysował się wyraźny profil plenerów – preferowana jest sztuka refleksyjna, inspirowana naturą, bliska tradycyjnym sposobom budowania obrazu. Wbrew albowiem temu, co obecnie sądzi się o dominujących dążeniach do przekraczania wszelkich granic w sztuce w poszukiwaniu nowych form artystycznej wypowiedzi, wciąż nie mała jest grupa młodych twórców, którzy świadomie przeciwstawiają się tym tendencjom.

Każdy twórca ma prawo do wolności wybo-



Osieki 2002 r. - uczestnicy pleneru malarskiego

fot. Ilona Łukjaniuk

ru i podejmowania decyzji, prawo do eksperymentu, odrzucania ograniczeń i teorii. Potrzebuje skupienia i świadomości własnej indywidualności, które nie zwalniają go od obowiązku pamiętania o tym, co wspólne, świadomości wcześniejszych dokonań.

Owiane legendą Międzynarodowe Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach z lat 60. i 70., odbywały się w czasach cenzury, ograniczonych możliwości kontaktów i wyjazdów za granicę, pełniąc rolę „nieoficjalnych zjazdów awangardy”. Obecne plenery, którym przyświeca hasło „Czas i miejsce i dla sztuki”, zaistniały w czasach, kiedy nie ma cenzury, nie ma rzeczy zakazanych, a współczesne media pokazują pracownie artystów w Paryżu, Nowym Jorku, Koszalinie...

Dzisiaj jest to jedna z nielicznych imprez artystycznych, która przypomina Polsce o ko-

szańskim środowisku twórców, będąc od początku międzynarodowym spotkaniem, wpisanym do krajowego kalendarza stałych pozycji plastycznych.

Na plenery przybywają twórcy, którzy pracowali w Osiekach przed laty, ożywiając historię tego miejsca podczas spotkań autorskich, łącząc przeszłość z teraźniejszością, nobilitując swoją obecnością dzisiejsze plenery. Osieki odwiedzają również uczniowie dawnych mistrzów, będący dziś profesorami, dziekanami i rektorami uczelni artystycznych w Polsce.

Zapoczątkowana w 1963 roku tradycja Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach owocuje dziś na różne sposoby. M.in. w Muzeum w Koszalinie „Kolekcja Osiecka” stanowi cenny zbiór sztuki współczesnej i jest jednocześnie nicią łączącą dawną i nową rzeczywistość, odbitą w różnych postawach twórczych. Przeszłość z teraźniejszością łączy również miejsce spotkań, to samo, co przed laty – Dworek w Osiekach, którego nowi gospodarze niezmiennie i życzliwie przyjmują pod swój dach ludzi sztuki.

Po latach 80., kiedy artyści zamykali się w swoich pracowniach, a ich drogi rozmięły się, powrót do spotkań takich, jak to w Osiekach, ma dziś wielkie znaczenie - zarówno dla sztuki jak i kontaktów artystów ukształtowanych przez różne szkoły i tradycje narodowe. Dziś mamy do czynienia ze sztuką wymykającą się wszelkim definicjom, a twórcy podążają w różnych kierunkach, kształtują własne nurty i postawy.

Powracamy zatem do źródła, do magicznego klimatu, jaki panuje w Osiekach, by stworzyć w atmosferze ciepła, swobody i akceptacji, uczestnicząc w spotkaniach autorskich, wykładach i dyskusjach o sztuce początku nowego wieku.



Ewa Miśkiewicz-Żebrowska

fot. Iza Oleś

Dwie wystawy *

Końcówka roku 2007 przyniosła dwie ważne wystawy, będące owocem rzadkiej do tej pory współpracy Szczecina i Koszalina, a które obudziły apetyt na ciąg dalszy tak dobrze zainicjowanego współdziałania.

17 grudnia 2007 r. otwarto w Muzeum Narodowym w Szczecinie wystawę zatytułowaną „Muzeum Gry”. Jest ona owocem współpracy Muzeum Narodowego w Szczecinie z Muze-

um w Koszalinie oraz stowarzyszeniem Zachęta Sztuki Współczesnej. Wystawa szeroko prezentuje główne nurty polskiej sztuki, określane jako awangarda artystyczna. Takie ujęcie możliwe było dzięki połączeniu zbiorów szczecińskich i koszalińskich, które doskonale się uzupełniły; Muzeum szczecińskie prezentuje głównie prace malarskie, zakupione po kolejnych edycjach Ogólnopolskich Festiwali Malarstwa Polskiego, odbywających się (od 1962 roku – dop. red.) w Szczecinie. Muzeum koszalińskie przedstawiło prace będące pokłosiem plenerów osieckich i stanowiące rdzeń zbiorów tzw. „kolekcji osieckiej”, a prezentujące głównie szeroko pojętą sztukę konceptualną i postkonceptualną. Uzupełnieniem są zbiory stowarzyszenia „Zachęta”, prezentujące najnowsze tendencje i kierunki w sztuce współczesnej.

Kurator wystawy – Wojciech Ciesielski zebrał ze sobą dzieła na prawach gry, bez przypisywania im do kierunku czy daty powstania i bez wprowadzania ich w przestrzeń wielowątkowego dialogu. Nawiązał w ten sposób do koncepcji „pola gry” Jerzego Ludwińskiego. Widz mo-



Jerzy Beres: „Zwid-Żuraw” 1965 na wystawie w Muzeum Narodowym w Szczecinie

fot. Michał Ciesielski



Prace: Henryk Berlewi, Jerzy Jarnusz-
kiewicz, na ścianie: Ludmiła Popiel
w Muzeum Narodowym w Szczecinie

fol. Michał Ciesielski

że poruszać się po wystawie zarówno według narzuconego planu, jak i również może znaleźć swój własny klucz do kontemplacji ekspozycji. Dzieła podzielone zostały na osiem tematów: alfabet, materia, światło i kolor, artefakty, słowo, linia, energia napięć i humor. Podział ten nie wyczerpuje bogactwa tematów obecnych w sztuce polskiej, jednakże stanowi ciekawy przyczynek do dyskusji o źródłach polskiej sztuki współczesnej.

Wystawę otwiera praca **Jarosława Kozłowskiego** „Strefa wyobraźni”. Tabliczki z tym napisem, umieszczane przez artystę w wybranej przez siebie przestrzeni, definiowały nowe możliwości percepcji sztuki i relacji artysta – dzieło –

odbiorca. Jednocześnie tytuł ten „patronuje” całej wystawie, na której zaprezentowano prace najwybitniejszych artystów polskich, między innymi: **Mariana Bogusza**, **Henryka Berlewego**, **Zbigniewa Dłubaka**, **Natalii LL** (Natalii Lach-Lachowicz – dop. red.), **Tadeusza Kantora**, **Józefa Robakowskiego**, **Władysława Hasióra**, **Henryka Stażewskiego**, **Władysława Strzemińskiego** i innych. Pomędzy tymi nazwiskami znalazł się również koszaliński artysta **Andrzej Ciesielski**.

Kilka dni wcześniej w Muzeum w Koszalinie otwarta została wystawa „Kontakt”, ze zbiorów stowarzyszenia „Zachęta Sztuki Współczesnej”. Jest to fragment kolekcji gromadzonej w Szczecinie od 2004 r., czyli od chwili powstania stowarzyszenia, którego nazwa i stawiane cele nawiązują do tradycji XIX-wiecznej „Zachęty”. Koszalińska wystawa jest efektem nawiązującej się współpracy koszalińskiej placówki z Muzeum Narodowym w Szczecinie, które jest depozytariuszem zbiorów „Zachęty”.

Pokaz ten jest pierwszą poza Szczecinem prezentacją zbiorów, które mają -według statutu - promować najnowszą sztukę polską, pokazywać główne trendy i kierunki sztuki aktualnej. Także i tej wystawy kuratorem był Wojciech Ciesielski. Wybrał on prace następujących artystów: **Marcina Berdyszaka**, **Bożeny Biskupskiej**, **Marty Deskur**, **Ryszarda Góreckiego**, **Katarzyny Górnej**, **Anety Grzeszykowskiej**, **Elżbiety Jabłońskiej**, **Zofii Kulik**, **Macieja Kuraka**, **Natalii LL**, **Zbigniewa Libery**, **Pawła Łubowskiego**, **Agaty Michowskiej**, **Ewy Partum**, **Józefa Robakowskiego**, **Zygmunta Rytki** i **Artura Zagajewskiego**.

Wystawa robi imponujące wrażenie – zarówno pięknie zaaranżowaną ekspozycją fotografii jako głównym motywem, jak i wspaniałymi nazwiskami, należącymi niewątpliwie do czołówki sztuki polskiej. A jednak... można odnieść wrażenie, że „wszystko już było”. Jest to bowiem bolączka większości kolekcji „Zachęty”, że posiadają w swoich zbiorach prace często tych samych artystów. Większość z nich można oglądać w muzeach, brak natomiast całkowicie nowych

prac artystów młodych, którzy tworzą oblicze nowej sztuki. Jest to, moim zdaniem, poważny mankament, ponieważ jednym z zadań „Zachęty” jest promocja młodych twórców. A to, że młodzi artyści są ważni i odkrywcy, już można zauważyć na koszalińskiej wystawie, w pracach **Macieja Kuraka**, **Elżbiety Jabłońskiej** czy **Agaty Michowskiej**. Można śmiało zaryzykować tezę o wyraźnej różnicy ideowej prac wyżej wymienionych artystów.

Jest to sztuka odcinająca się od korzeni dwudziestowiecznych, pełna przekory i dowcipu, nieobecnego przecież w sztuce XX w. Myślę, że „Zachęta” powinna znacznie szerzej otwierać się na takich właśnie artystów, a nie skupiać się na konkurowaniu ze sobą: „KTO MA WIĘCEJ

PRAC ARTYSTY X LUB Y”. Tym bardziej, że nowoczesna technika pozwala multiplikować dzieła, skutkiem czego te same prace można oglądać w kilku różnych kolekcjach czy muzeach.

Na koniec należy wyrazić pragnienie, aby w Koszalinie powstało Stowarzyszenie „Zachęta” (jest bowiem potencjał na temu, jest też tradycja), które na bazie „Kolekcji Osieckiej” mogłoby stworzyć zbiór bardzo ważny dla sztuki polskiej.

***Wystawa „Kontakt”**

Galeria Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie, od 19 grudnia 2007 do 2 marca 2008

***Wystawa „Muzeum Gry”**

Muzeum Sztuki Współczesnej, Oddział Muzeum Narodowego w Szczecinie, czynna od 14 grudnia 2007 do 27 stycznia 2008



Konferencja prasowa w Muzeum w Koszalinie, od lewej: Jerzy Kalicki - dyrektor Muzeum w Koszalinie, Agata Zbylut - prezes Regionalnego Stowarzyszenia Zachęty Sztuki Współczesnej w Szczecinie, Wojciech Ciesielski - kurator wystawy

fol. Michał Ciesielski

Anna Mosiewicz

Sukces „Nocy Muzeów”

Od dziesięciu już lat europejskie muzea na jedną noc w roku zapraszają wszystkich chętnych, oferując im – poza bezpłatnym wstępem – dodatkowe atrakcje. Jest to jeden z wielu, ale chyba najbardziej skuteczny sposób przyciąg-



fot. Ilona Łukjaniuk

nięcia do sal muzealnych szerokiej publiczności i pokazanie jej, że muzeum to nie tylko gabloty i statycznie pokazane przedmioty sztuki, których zbieranie jest głównym zadaniem tych specyficznych instytucji kultury z pogranicza sztuki i nauki. Oprócz stałych i czasowych, na tę okazję przygotowanych wystaw, na zwiedzających czekają liczne niespodzianki, konkursy i wiele innych, towarzyszących temu wydarzeniu imprez. Wówczas ta forma odwiedzania instytucji gromadzących dobra kultury została po raz pierwszy zainicjowana przez miasto Berlin i nazwana została „Długą Nocą Muzeów”. Bardzo liczny udział mieszkańców miasta nad Szprewą przerósł najśmielsze oczekiwania organizatorów, kontynuowano więc tę ideę w latach kolejnych.

Po Berlinie był oczywiście Paryż, który nadał tej imprezie romantyczną nazwę „Biała Noc” i inne duże miasta europejskie. W Polsce pierwszy był Kraków w roku 2004. Do grona tych miast dołączył także Koszalin, w którym do tej muzealnej nocy przyłączyły się także ze swą ofertą wystawienniczą Muzeum Włodzimierza Wysockiego, Muzeum Wody oraz Muzeum Obrony Przeciwlotniczej. Dzielnice poszczególne placówki odległości zostały zniwelowane poprzez zapewnienie zwiedzającym bezpłatnej komunikacji autobusowej, dzięki życzliwej inicjatywie MZK.

Muzeum w Koszalinie bardzo starannie przygotowało swą ofertę dla zwiedzających, propagując tę noc wcześniej wydanym i wszędzie obecnym plakatem, autorstwa zaprzyjaźnionej z muzealnikami artystki z Sankt Petersburga, **Leny Suboto**. Plakat czarowny, bajkowy, na którym nad Pałacem Młynarzy, w którym mieści się muzeum, na tle rozgwieżdżonego nieba, unoszą się nie tylko balony, ale także niektóre przedmioty sztuki z koszalińskich zbiorów – stary zegar, archeologiczna zapinka, dmący w trąbkę pajac, siedzący na koniku na biegunach i panna młoda z Jamna w stroju weselnym z charakterystyczną koroną.

W ten dziwny, majowy wieczór, już od godziny 18, kiedy to rozpoczęła się „Noc Muzeów”, tłumy koszalinian zwiedzały wszystkie obiekty z wystawami – młyn, skansen i stodołę, a także brały udział w licznych imprezach, organizowanych nie tylko na dziedzińcu, ale także i we wnętrzach muzealnych. Muzeum przygotowało dla swych gości bardzo bogaty program, udostępniając – poza czterema stałymi – dwie dodatkowe wystawy czasowe, między innymi kompletny warsztat szewski. Na dziedzińcu odbył się multimedialny pokaz prac studentów wzornictwa, happening „Bezsenność” oraz zajęcia dla dzieci i młodzieży. Był też konkurs z nagrodami i możliwość zrobienia sobie zdjęcia w historycznym stroju. Na dziedzińcu czekały też inne atrakcje, wśród nich Targ Młyński z wypiekami i regionalnymi wyrobami kulinarnymi, występy orkiestr, zespołów ludowych i młodzieżowych, szcudlarze, artysta cyrkowy i żonglerka ogniem oraz piosenki ze spektaklu „Café Sax” w wykonaniu aktorów Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

Wielu zwiedzających przyznało się, że n i g d y nie byli w muzeum i nie wiedzieli, że jest w nim tyle interesujących rzeczy. I chociaż od wielu lat w każdym polskim muzeum w jednym dniu w tygodniu wstęp jest bezpłatny, to dobra reklama, ładna pogoda i dodatkowe atrakcje sprawiły, że około sześciu tysięcy koszalinian odwiedziło jeśli nie wszystkie muzea, to na pewno to przy ulicy Młyńskiej.

Dyrektor Muzeum w Koszalinie Jerzy Kalicki powiedział po tym wydarzeniu: „cieszę się, że nasze muzeum, to magiczne miejsce, odwiedziło dzisiaj tak wielu mieszkańców naszego miasta. Myślę, że to dzięki tej wiosennej, magicznej nocy...”

Ubiegłoroczna „Noc Muzeów”, która odbyła się w sobotę, 19 maja z okazji Dnia Muzealnika, będzie już zapewne stałą pozycją w kulturalnej ofercie miasta, poprzedzającą coroczne Dni Koszalina.



fol. Ilona Łukjaniuk

Cztery żywioły

Porcelana, znana na całym świecie tak, jak jedwab i proch, zawsze będzie kojarzyć się Chinami - miejscem, w którym przed wieloma wiekami osiągnięto mistrzostwo jej wytwarzania. Zawdzięczamy ją nie tylko zręczności rąk, wielowiekowej tradycji chińskiej, specyficznemu zmysłowi estetyki i opanowaniu skomplikowanej technologii, lecz także – a może przede wszystkim – materiałowi, owej słynnej glince kaolinowej. Tylko ona może być wypalana w bardzo wysokiej temperaturze 1300 ° C, w przeciwieństwie do innych gatunków gliny, którym wystarcza tylko 700° C.

Glinka kaolinowa wymaga – jeszcze przed jej wypalaniem – wielu wstępnych zabiegów. Musi dołować, czyli przez wiele lat poddawać się przemianom cyklu nawilżania i przemarzania, dzięki którym zwiększa swą elastyczność. Równie ważne jest jej staranne wyrabianie, ręczne i nożne ugniatanie, a także odpowiednie mieszanie – po to, aby uzyskać jednolitą, miękką masę, zdolną do formowania różnorodnych kształtów. Stara chińska legenda mówi o powstaniu porcelany, którą stworzyły cztery żywioły. Pierwszym jest ziemia, która wydała kaolin ze swego łona. Drugim jest woda, bez której nie mógłby powstać materiał na tak cienkie i delikatne naczynia. Kolejnym żywiołem jest ogień, ogarniający swym płomieniem i utwardzający wyroby w piecu, czwartym zaś powietrze, które swym tchnieniem ogień pod-

trzymuje. Do tej legendy można dodać piąty żywioł – myśl ludzką, która w genialny sposób wszystko powiązała...

O chińskiej porcelanie, a właściwie o jej jednej z pierwszych odmian, znanych już w X wieku, mówi kolejna, równie piękna legenda. Dwaj bracia, którzy zajmowali się produkcją porcelany dla jednego z mandarynów, rywalizowali ze sobą, wprowadzając w swych warsztatach garncarskich coraz to nowe formy i techniki zdobienia. Jeden z nich dosypał ukradkiem popiół do szkliwa, którym miały być pokryte wypalone już wcześniej naczynia. Zanieczyszczone szklivo popękało przy wtórnym wypale, tworząc na naczyniach ciemną siatkę. Zrozpaczony nieudanym wypałem rzemieślnik nie mógł uwierzyć, że mandaryn, zachwycony nową dekoracją kupił wszystkie naczynia i zamówił kolejne. Tak – według legendy – zrodziła się jedna z dekoracyjnych technik, zwana „krakle”, czyli spękania, a jej późniejsze odmiany nazwano – zgodnie z chińską tradycją upiększania mowy – „białkiem jaja”. Te najdawniejsze techniki, które powstały już w X wieku, są nadal z pietyzmem kultywowane i jeszcze dzisiaj budzą podziw współgrając z kształtami naczyń, kolorem szkliwa i owymi dekoracyjnymi „spękaniem”.

Krakle powstały przez przypadek dlatego, że wysoka temperatura niszczyła zwyczajne szklivo i trzeba było wielu lat prób i eksperymentów, aby zastosować odpowiednie związki chemiczne. Już w X wieku, w okresie panowania Pięciu Dynastii, powstały słynne „celadony”, czyli naczynia pokryte bładozielonym szklivem, pozyskanym dzięki starannemu doborowi odpowiednich tlenków – chromu, kadmu i tytanu. Już wówczas powstały niepowtarzalne, typowe dla Chin formy ceramiki – kadzielnice, czajniczki i dzbany z wylewem w kształcie głowy mitologicznego ptaka feniksa, podstawy i wylewy w formie kwiatu lotosu. Dekorowano ceramikę bardzo rozmaicie – reliefami głębokimi i płytkimi, drukiem pieczętkowym, a także kolorowym, ciekącym szklivem, dającym dodatkowe efekty.

Czasy kolejnej dynastii – Yuan to kolejne dwa wieki nowych odkryć technologicznych – podszkliwnym malarstwem kobaltem i czerwienią. Wówczas głównym motywem zdobień były kwiaty, lwy i smoki, wprowadzono motyw „trzech przyjaciół zimy” – sosny, bambusa i śliwy, których fantastyczne liście, kwiaty i gałęzie wyjątkowo nadawały się na dekoracje ceramiki. Następne trzy stulecia to czas dynastii Ming, sięgający połowy XVII wieku. Wówczas powstały emalie naszkliwne, a ich kolorystyczny zestaw nazwano „techniką walczących kolorów”. Na misach, wazach, czarkach i talerzach widać kilka faz ich zdobienia, w których na podszkliwe malarstwo kobaltowe nanosi się szkliwo, a potem naszkliwne, kolorowe emalie. Ponieważ każda taka warstwa wymagała osobnego wypału, można sobie wyobrazić, w jaki skomplikowany sposób – zarówno technicznie, jak i organizacyjnie – powstały delikatne cacka, pokazane na wystawie.

Czasy ostatniej dynastii, Qing, która panowała do 1911 roku, to kolejne trzysta prawie lat nowych wynalazków, prób i eksperymentów, związanych z porcelaną. Wprowadzono podszkliwe malarstwo czerwienią, pojawiły się nowe czerwone szkliwa – nazwane, jak zawsze malowniczo – „bycza krew” i „czerwień szlachetnego kamienia”. Pojawia się szkliwo niebieskie wewnątrz naczyń, podczas gdy na zewnątrz stosowano emalie i farby naszkliwne z rodziny różu. Pojawiły się kwiaty chryzantem, tworzone naszkliwnymi emaliami na czarnym tle. Co raz to nowe szkliwa, w różnych i niezwykle nazwanych kolorach – groszkowej zieleni, błękitu nieba, pyłu herbacianego i czerwonej fasoli nadają starym i nowym formom naczyń nowy wyraz. Pojawiają się porcelanowe stołki w kształcie beczulek, stosowane w Chinach w pomieszczeniach kąpielowych, oraz nowy motyw bawiących się dzieci.



fol. Ilona Łukjaniuk

Chińska porcelana, biała i bardzo cienka, przypominająca swą grubością przysłowiową skorupkę jajka, została stworzona dzięki kaolinowej glince, wyjątkowej przez swą jasną barwę. Jaj nazwa pochodzi od góry Kao – ling. Duże pokłady glinki występują także w pobliżu miasta Jingdezhen, które stało się w Chinach ważnym ośrodkiem wytwarzającym najpierw w manufakturach, a potem w fabrykach, porcelanę. Jest zresztą nazwane jej światową stolicą. Właśnie stamtąd, również ze zbiorów prywatnych zebrano większość eksponatów, które mieszkańcy Koszalina mogli podziwiać na wystawie w Muzeum w Koszalinie. Wystawa przygotowana została przez polsko-chińską fundację „Dong Feng” i eksponowana była w specjalnie w tym celu wykonanych w Chinach drewnianych gablotach, nawiązujących stylistyką do starych mebli. Na wystawę zostały złożone autentyczne okazy, często bezcenne i unikatowe, wypożyczone przez muzea i prywatne kolekcje.

Autentyczne, XIX wieczne meble, parawany oraz rzeźbione i złocone, zamykane i kryte baldachimem łoże były dodatkową atrakcją wystawy, obrazującej formy, zdobienia i koloryt porcelany z Chin na przestrzeni dziesięciu wieków.

W czasie wernisażu, uświetnionego obecnością chińskiego konsula, zgromadzeni goście wysłuchali wykładu o dziejach chińskiej porcelany, mogli napić się specjalnie parzonej herbaty i zobaczyć pokaz chińskiej kaligrafii. Wystawie towarzyszył piękny katalog, wyjątkowy w swej edytorskiej szacie, wzorowany na dawnych, chińskich książkach, tworzonych przez składane karty papieru i łączone bambusowym włóknem.

Muzeum w Koszalinie, Historia porcelany chińskiej od X wieku do czasów współczesnych, od 12 marca do 10 kwietnia 2007.



fol. Ilona Łukjaniuk

„Przystanek Koszalin. Identyfikator budujący tożsamość”

4 grudnia 2007 roku w Urzędzie Miasta Koszalin odbyła się prezentacja pracy doktorskiej **Katarzyny Radeckiej**, w pełni poświęconej zagadnieniu tożsamości Koszalina. Wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. prezydent miasta **Mirosław Mikietyński** i zastępca prezydenta **Andrzej Jakubowski** oraz inni pracownicy Urzędu Miejskiego. Nie zabrakło także gości bezpośrednio związanych z koszalińskim Instytutem Wzornictwa Przemysłowego: kierującej Instytutem dr **Moniki Zawierowskiej – Łozińskiej**, prof. zw. **Tomasza Matuszewskiego**, dr. **Bogusława Niewiadomskiego** oraz recenzenta pracy, prorektora ASP w Poznaniu prof. zw. **Andrzeja Wielgosza**. Na spotkanie przybyły także osoby związane ze Stowarzyszeniem „Nasz Prezydent” (**Bogusława Smulska-Szymczewska** i **Jakub Pyżanowski**), dyrektor Archiwum Państwowego **Joanna Chojecka**, architekt **Ewa Zemła**, urbanista **Jerzy Toke**, oraz liczne grono studentów Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej.

Autorka prezentacji w trakcie poszukiwań tożsamości miasta nacisk położyła na aspekt hi-

storyczny. Z dużym zaangażowaniem prześledziła burzliwe losy Koszalina. Szczególną uwagę zwróciła na brak określonego centrum miasta, które pozwoliłoby mieszkańcom na rzeczową i otwartą identyfikację z konkretnym miejscem. W swojej prezentacji podjęła próbę uświadomienia słuchaczom, jak tragiczna w skutkach dla Koszalina była utrata tożsamości, jaka dokonała się na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Próba określenia najważniejszego w obecnej chwili miejsca w Koszalinie wyłoniła na pierwszy plan Rynek Staromiejski. Artystka nie bała się dokonać konstruktywnej oceny placu i obnażenia jego zachwianej funkcji. Kontrowersyjne i odważne porównanie rynku miejskiego do więziennego „spacerniaka” wywołało poruszenie wśród słuchaczy, jednak dalej przedstawione wyniki przeprowadzonych przez autorkę badań potwierdziły jej tezę. Niestety, jak się okazało prawie 50 % przebadanych mieszkańców miasta nie lubi tego miejsca. Wynik tego badania jest wręcz szokujący. Zmusza do refleksji nad wizerunkiem tak ważnego dla miasta punktu. Autorka nie oszczędziła gorzkich słów także przestrzeni ulicy Dworcowej, która powinna wraz z dworcem PKP pełnić funkcję wizytówki, ponieważ właśnie to miejsce jest najliczniej odwiedzane nie tylko przez mieszkańców, ale także studentów czy turystów, napływających do miasta. Także i ta teza autorki została podparta niezbitym dowodem: 94 % mieszkańców uznało, że dworzec nie spełnia oczekiwań podróżnych.

Katarzyna Radecka ukazała nam po raz kolejny, jak ważna jest tożsamość miejsca, cecha, która pozwoli wyróżnić i uatrakcyjnić Koszalin wśród innych europejskich miast. Bogata i burzliwa historia Koszalina została potraktowana przez artystkę jako główny identyfikator, na którym oparła swój projekt. Tożsamość istnieje także wtedy, gdy nie określono żadnego identyfikatora, jednak taki „dowód tożsamości” pomaga nam w głębokim poznaniu miejsca, przybliża nam jego strukturę, jego charakter, osobowość ...

Odniesienia do historii w trakcie próby zbudowania tożsamości Koszalina są szalenie trafne. Tragiczne dzieje miasta ogołociły je z miejsc tworzących klimat, zabrały mu główny punkt, który mógłby hipnotyzować, przyciągać mieszkańców i sprzyjać ich identyfikacji z miastem.

Przedstawiony projekt rewitalizacji dworca PKP i ulicy Dworcowej, mający na celu przywrócenie do życia zdegradowanego obszaru miasta, który utracił swoją pierwotną funkcję i przeznaczenie, ujawnia szacunek dla wieloletnich przyzwyczajzeń mieszkańców. Zakłada zbudowanie nowego wizerunku nie w oparciu o atrakcyjność turystyczną czy położenie geograficzne, ale przez nadanie odrębności poprzez odniesienie do historii, a w szczególności: przez przywołanie tych, którzy budowali Koszalin. Takie potraktowanie tematu pozwala zmierzyć się z niemiecką historią tego terytorium.



Na zdjęciu Katarzyna Radecka

fol. Anna Guskowska

Autorka zwraca szczególną uwagę na konieczność rekonstrukcji korzeni miasta, oraz odbudowy samoświadomości jego mieszkańców.

Na koniec spotkania autorka przedstawiła profesjonalną prezentację multimedialną swojej koncepcji rewitalizacji przestrzeni dworca PKP i ulicy Dworcowej, stworzoną w kontekście poszukiwań tożsamości miasta. Film oprowadził nas po omawianym obszarze okiem odwiedzającego miasto. Pojawiającym się w tle szmerem głosów pasażerów, stukiem obcasów przemierzającej się osoby zostaliśmy wprowadzeni w odpowiedni nastrój. Sami staliśmy się nie tylko widzami, lecz aktywnymi uczestnikami akcji – zostaliśmy zabrani, wręcz wciągnięci w tę przestrzeń. Magiczny klimat i duży nacisk na historyczny aspekt pozwoliły nam poczuć oddech przeszłości, ujrzeć tożsamość miasta w całkiem innym świetle, zmuszającym do kontemplacji, ale także wzbudzającym zaniepokojenie swą innowacyjnością oraz niekonwencjonalnością.

Zaprezentowane przez autorkę plany zakładają połączenie dworca PKP dwukondygnacyjnym przejściem, w jakie miałyby się zmienić ulica Dworcowa. W założeniu artystki górna warstwa jest współczesną przestrzenią handlową, dolna zaś, dzięki stałym ekspozycjom poświęconym losom Koszalina, przenosi podróżnych i mieszkańców w świat kontemplacji i zadumy nad przeszłością i jej związkami z teraźniejszością. Projekt zakłada także powstanie w obrębie zabudowy trzykondygnacyjnego forum z zespołem sal konferencyjno – wykładowych i biur wystawienniczych.

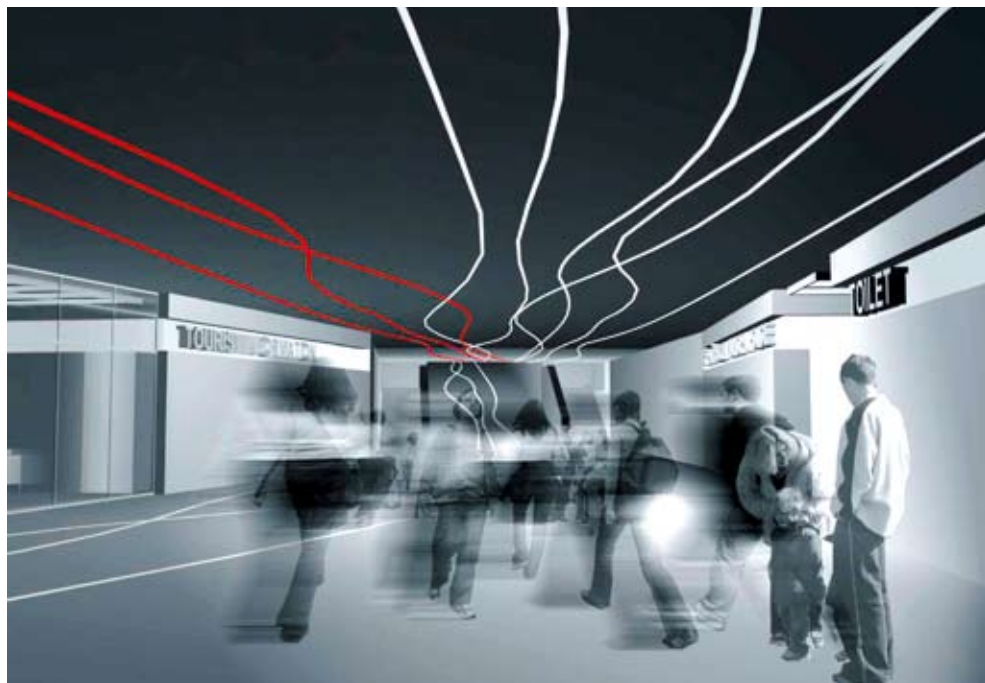
Prezentowany materiał zawierał nie tylko zdjęcia i ryciny Koszalina, ukazujące jego losy, ale także profesjonalne wizualizacje trójwymiarowe proponowanego rozwiązania rewitalizacji tego rejonu miasta. Całość wywodu została podparta licznymi badaniami, jakie autorka przeprowadziła w ostatnim czasie.

Zaproponowany przez Katarzynę Radecką projekt świetnie wpisuje się w aktualne plany rewitalizacji miasta, które zakładają przebudowę

wę dworca PKP, dworca PKS, oddziału Poczty Polskiej oraz obszaru ulicy Dworcowej, łączącego te obiekty z pozostałą częścią Koszalina. Katarzyna Radecka została zaproszona przez prezydenta miasta do udziału w konkursie na projekt przebudowy tej okolicy, jaki Urząd Miejski ma zamiar rozpisać w niedalekiej przyszłości.

„Przystanek Koszalin. Identyfikator budujący tożsamość”. Praca doktorska Katarzyny Radeckiej. Prezentacja multimedialna. Animacja Jacek Ryś, opracowanie muzyczne Karol Schwarz. Pokaz 4 grudnia 2007, Urząd Miejski w Koszalinie.

Katarzyna Radecka ukończyła studia na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, oraz na Wydziale Architektury i Wzornictwa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Obecnie jest asystentką w Pracowni Projektowania Wnętrz i Wystaw w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej. Przez wiele lat współpracowała z prof. zw. Zdzisławem Łosińskim, dziekanem Wydziału Architektury i Wzornictwa na ASP w Poznaniu, oraz pierwszym profesorem, prowadzącym od 2000 roku Pracownię Projektowania Wnętrz i Wystaw w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej. Był on promotorem prezentowanej pracy doktorskiej Katarzyny Radeckiej, która jest znana nie tylko jako świetny dydaktyk, ale także jako autorka licznych publikacji i realizacji architektonicznych.



Zdjęcie wizualizacji dzięki uprzejmości Autorki

Debata

„Sztuka w przestrzeni publicznej”

Pretekstem do zorganizowania debaty poświęconej sztuce w przestrzeni publicznej stało się wywieszenie na koszalińskim „Przylesiu” billboardu **Petera Fussa** (pseudonim artystyczny) pt.: „Żydzi won z katolickiego kraju”. Zdarzyło się to w lutym 2007 r. Plakat wywołał bardzo dużo kontrowersji. Wiele osób było nim oburzonych, a galerią „Scena”, na którą powoływał się Peter Fuss, zainteresowała się prokuratura. Ostatecznie postępowanie zostało umorzono, ale dyskusje trwały nadal. Drugim asumptem do debaty „Sztuka w przestrzeni publicznej” stała się, podjęta także w 2007 roku, akcja „Kocham Koszalin”, prowadzona przez Muzeum w Koszalinie, która również wywołała swego czasu silne emocje i kontrowersje.

Inicjatorem debaty było kolegium redakcyjne publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007”, a do jej organizacji włączyły się galeria „Scena” i Dział Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Osobiście w przedsięwzięcie zaangażował się reprezentujący obie instytucje **Ryszard Ziarkiewicz**. Do dyskusji zaproszono twórców mających bogate doświadczenia związane z artystycznymi przedsięwzięciami w przestrzeni miejskiej.

Podczas zorganizowanej 25 lutego 2008 r. debaty zaproszeni goście wraz z licznie przybyłą do galerii „Scena” publicznością podjęli próbę odpowiedzi na pytania postawione w zaproszeniu:

- **dlaczego przestrzeń galerii dla wielu twórców stała się zbyt ciasna (zbyt oczywista?) jako miejsce prezentacji sztuki?**
- **jakie są granice wolności wypowiedzi artysty, który swoim dziełem wkracza w przestrzeń publiczną, czyli należącą do wszystkich - także tych, którzy nie są przygotowani do spotkania ze sztuką?**
- **jaka jest odpowiedzialność artysty? Jak daleko może się posunąć zaczepiając? (atakując? prowokując?) przypadkowego widza?**
- **czy artysta jest chroniony rodzajem immunitetu, który stawia go ponad prawem wyznaczającym granice swobody wypowiedzi?**
- **czy artysta może wkraczać w przestrzeń publiczną anonimowo? Czy obrona anonimowości twórcy nie sprawia, że jego dzieło staje się w pewien sposób podejrzane, a intencje nieczyste?**

Dyskusję z udziałem publiczności poprzedziły wystąpienia zaproszonych artystów. Troje z nich swoje refleksje ujęło także w formie pisemnych wypowiedzi, które prezentujemy poniżej. Wypowiedź Roberta Rumasa przytaczamy w formie relacji dziennikarskiej.

W debacie udział wzięli:



Julita Wójcik

w latach 1991-1997 studiowała na Wydziale Rzeźby ASP w Gdańsku. Performerka, autorka akcji artystycznych. Mieszka i pracuje w Gdańsku.

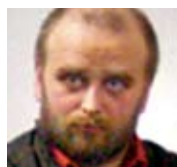
Jeździłam na lodowisku w nowojorskim parku w białym kostiumie ze styropianu i czułam się intruzem.



Joanna Górską

Galeria Rusz w Toruniu, która działa od 1999 roku. Z Rafałem Góralskim tworzą często wspólne projekty, zwłaszcza akcje w przestrzeni miejskiej i murale.

Pokazując prace na ulicy mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie są znawcami sztuki, nie bywają w galeriach.



Rafał Góralski

artysta, Galeria Rusz w Toruniu

Nasz billboard to wyrwa w codziennej rzeczywistości, to odchylona zasłona pozwalająca na inne spojrzenia na to, co zwyczajne. Wydaliśmy manifest do ludzi z prośbą o pisanie do rządu, aby oddał statek. W niedługim czasie rząd Millera upadł, widać więc, jaką siłę ma sztuka.



Rafał Jakubowicz

ukończył Wydział Edukacji Artystycznej oraz Wydział Malarstwa, Grafiki i Rzeźby ASP w Poznaniu.

Malarz, twórca filmów wideo i instalacji, krytyk sztuki. Doktorant w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza oraz wykładowca na macierzystej uczelni. Mieszka i pracuje w Poznaniu.

Moja wystawa została zamknięta, zanim została otwarta, na zasadzie mechanizmu cenzury prewencyjnej.



Robert Rumas

w latach 1987-1991 studiował na Wydziale Malarstwa PWSSP w Gdańsku. Rzeźbiarz, twórca obiektów, instalacji, interwencji, fotografii. Mieszka i pracuje w Gdańsku.

Artysta powinien być przede wszystkim obywatelem, a obywatel, jeżeli tylko będzie chciał, może być artystą.

Chorobliwie nie lubię sztuczności

Wyjście poza galerię to kwestia indywidualnych potrzeb i decyzji artysty. Osobiście dla mnie przeszczerzeń galerii rzeczywistość była zbyt ciasna, przede wszystkim znaczeniowo. Galeria bierze w nawias sztuki nieomal wszystko, co się w niej znajduje. Zaczynając swoje działania artystyczne od początku decydowałam się na miejsca nie związane ze sztuką. Robiłam to przede wszystkim dlatego, że chciałam spotkać innych odbiorców, niż ludzie świata sztuki. Potrzebna mi była natychmiastowa reakcja na moje propozycje. Organizując swoją pierwszą wystawę w sopockim mieszkaniu w 2000 roku zimą liczyłam na efekt zaskoczenia. Liczyłam na niego również wychodząc w lipcu tego samego roku na trawnik pomiędzy jezdniami w Gdyni, żeby założyć tam Mój ogród. W prezentacji galeryjnej najbardziej przerażał mnie rytuał wernisażu, trochę martwy, oczywisty i monotony. Artysta napracował się w swojej pracowni, a teraz wystawiony wraz ze swoimi pracami znajduje się po środku obcego miejsca - sceny – galerii. Ja nie chciałam się w tym odnaleźć. Chorobliwie nie lubię sztuczności. W galerii sztuka często pozbawiona jest prawie całkowicie kontekstu, a przez to nieczytelna i niejasna. Niechęć wobec galerii bierze się z szukania prawdziwego, a nie sztucznego punktu odniesienia, stąd to częste dążenie do pozbycia się nawiasu. Moje marzenia artystyczne stały się jasnymi wytycznymi: uprościć język sztuki, ograniczając go jedynie do prostych codziennych gestów, tak, aby nieomal każdy czuł się władny podjąć temat do rozmowy o... niekoniecznie sztuce (tak na początek).

Kiedy znalazłam się na trawniku w Moim ogrodzie, z góry wiedziałam, że odbiorcami staną się przechodnie, kierowcy i pasażerowie miejskich autobusów. Gest wyjścia do nich z ogródkiem nie okazał się utopijny. Przechodnie wkraczali na miejski trawnik, z góry rozpoznając moje działania jako inne od tych zwyczajowych, prowadzonych przez służby zieleni miejskiej. Kierowcy sto-

jący w korku odkręcali szyby samochodów, żeby zagadnąć, a pasażerowie autobusów nieomal wlepiali się w szyby okien. To dowodziło, że błędne jest zakładanie, że jedynie widz w galerii ma odpowiednie warunki do odbierania i rozumienia sztuki. Widz na ulicy jest o wiele bardziej bacznym obserwatorem, bezwzględnie szereguje wiele czynników rzeczywistości, rozpoznając działania artysty jako coś ciekawego, bo innego. Pyta. I nie jest to pytanie o to, co artysta miał na myśli? Często też zainspirowany ideą oddaje w jej szeregi swoje opowiadanie, dzieląc się fragmentem swoich przemyśleń bądź wspomnień. W mojej pamięci utkwiała jedna pani, która z narażeniem życia przebiegła ulicę, nie zważając na brak przejścia dla pieszych. Wypatrzyła mnie z pobliskiego wzgórza. Mówiła, że wypatrywała mnie tak od kilku dni. Przyszła z propozycją, żebym na rabacie przykościelnej ułożyła z kwiatów wizerunek świętego. Wybrała właśnie mnie, bo już zasłyszała, że jestem artystką. Ta kobieta pominęła fakt, że jestem ogrodniczką; przyszła do artystki.

Od czasu Mojego ogrodu zorganizowałam wiele akcji w różnych wybranych przez siebie miejscach: poprzez taflę jeziora koło Olsztyna (Akwarele 2001), czy zaniedbany park na gdańskiej Oruni (Rewitalizacja Parku Schopenhauera 2002), restaurację w Warszawie (Kelnerki. Instalacja 2002), kanał wodny na półwyspie Andrejsala w Rydze (Burlak on the Horizon 2005), park przy placu im. Generała Maczka w belgijskim Tiel (Model praktycznej rzeźby parkowej 2005), pastwisko koło Orońska (Pejzaż unistyczny 2007), czy stację autobusową we włoskim Trydencie (Audiostazione 2007). Nigdy się nie zawiodłam odbiorem moich akcji. Widzowie, choć nie zapraszani, zawsze dopisywali i rozmawiali ze mną.

W akcji Weather Forecast / Időjárás Jelentés odbywającej się zimą 2006 roku w Budapeszcie, w samym środku kampanii wyborczej do węgierskiego parlamentu, przeprowadziłam na ulicach miasta głosowanie na pogodę. Chodziłam z białą budką meteorologiczną na plecach, rozdając karty do głosowania i pokrzykując jedyny wyuczony zwrot po węgiersku: Szavazz az időjárásra! Za-

głosuj na pogodę! Wyniki głosowania ogłaszałam następnego dnia z Góry Gellerta. Akcja była przeprowadzona w kraju, którego język nie jest podobny do żadnego innego, co tylko pozornie utrudnia komunikację. Dzięki obrazkowemu przedstawieniu słów: słońce, chmura i śnieg, znalezienie chętnych do wzięcia udziału w akcji głosowania było ułatwione. Dzięki prostej tabelce i zabawnej idei stworzenia „demokracji atmosferycznej” chętnie włączali się w proces akcji. Niebezpieczeństwo niepowodzenia było duże, a jednak udało się przeprowadzić aż cztery tury głosowań na pogodę. Najbardziej zapamiętałam zdarzenie z pierwszego momentu, gdy pełna wątpliwości w powodzenie akcji jechałam metrem, jeszcze nie agitowałam. Jeden z pasażerów podszedł do mnie sam i zagłosował pierwszy. Dodał mi odwagi i upewnił mnie, że jestem dobrze przygotowana do działania.

Jesienią 2006 roku przebywałam w Nowym Jorku na rezydencji w Art in General. Przewidziałam tam przeprowadzenie akcji Czysta forma na odkrytych lodowiskach New York City. Ubrana w biały, gąbkowy strój przeobrażający mnie w symbol dziewczyny – logotyp często przeze mnie używany, zwykły piktogram przedstawiający płeć żeńską, jednocześnie symbol zrównujący mnie do k a z d e j dziewczyny. W tym stroju stawiałam się figurą – rzeźbą jeżdżącą na figurówkach, wykręcającą figury na lodzie. Biała, mobilna figura na białym lodzie. Akcja prosta, można by rzec: o rzeźbie figuratywnej, z serii o czystej formie, jak Akwarele z 2001 gdzie malowałam farbą wodną tafle jeziora jako płetwonurek, praca o pokazywaniu nowego spojrzenia na tradycyjne formy sztuki. Jednakże „wielkie miasto” posiada swój czynnik, związany z jego świeżą historią z 11 września 2001. W tym mieście niestandardowe zachowanie i na dodatek bycie ubranym w obszerny strój z zakrytą twarzą dają powód, by być postrzeganym jako... źródło zagrożenia. Artysta, który jak ja pracuje w miejscach publicznych, wybiera działanie z zaskoczenia, a na dodatek jest filmowany (do celów dokumentacji). Nie spełnia wymogów kampanii antyterrorystycznej NYC oraz przepi-

sów, jakie w przestrzeni publicznej narzucają prywatni właściciele. Krótko mówiąc, po pierwszym kółku na Wollman Rink w Central Parku została najpierw wyproszona z taflí przez jeżdżącą ochronę, a następnie przez menadżera tego prywatnego lodowiska. Postawiono mi ultimatum: albo zdejmuję kostium i jeżdżę dalej, albo zwracają mi za bilet i się wynoszę. Poczulałam się jak na amerykańskim westernie, gdzie to lokalny kacyk - najbogatszy farmer stanowi prawo. Niespodziewanie dla mnie akcja Czysta forma przeobraziła się w specyficzny test dla miasta Nowego Jorku. I sprowokowała mnie do prześledzenia reguł tego obcego mi mentalnie miejsca. Nie mogłam uwierzyć w prawo silniejszego i szukałam pisemnych dowodów na istnienie zakazu jeżdżenia na lodowisku w kostiumie z gąbki.

Czasem artysta nawet nie wie, o co może zostać podejrzany. Dlatego też po tej przygodzie, zaczęłam studiować zakazy, a tak naprawdę zainteresowałam się jakiz to system wprowadza panikę. Wszystkie „rules” znalazłam na plakatach w metrze, komunikatach z interkomu w wagonach metra i w Internecie. Co zabawne, były one tam obecne cały czas, ale hałas metra zagłuszał je i sprawiał, że były niewidoczne. Odnalazłam wszystko na stronach Metropolitan Transportation Authority w Nowym Jorku. Wszystko o kampanii Safety and Security Ad Campaign prowadzonej od kilku lat. Drukowane na plakatach i emitowane przez głośniki komunikaty zalecają czujność i podejrzliwość. „BE SUSPICIOUS OF ANYTHING UNATTENDED. Tell a cop, an MTA employee or call 1-888-NYC-SAFE.” (Bądź podejrzliwy wobec rzeczy pozostawionych bez opieki. Powiedz o nich policjantowi albo pracownikowi metra lub zadzwoń) Każda rzecz i odmienne zachowanie stanowią potencjalne zagrożenie. „If you see a suspicious package or activity on the platform or train, don't keep it to yourself.” (Jeśli zobaczysz podejrzany pakunek lub zachowanie na peronie lub w pociągu. Nie zachowuj tego dla siebie.) Nawet najnormalniej w świecie zgubiona czarna aktówka niczym czarna wołga może być źródłem strachu i zagrożenia. „DID ANYONE FIND A BLACK BRIEF-

CASE? (Please don't forget to take your stuff with you.) Tell a cop, an MTA employee, or call 1-888-NYC-SAFE. No matter where you are in the region. The call is free." (Czy ktokolwiek znalazł czarną ak-tówkę? Prosimy nie zapominać zabierać swoich rzeczy ze sobą. Powiedz policjantowi albo pracownikowi metra lub zadzwoń. Nie ważne skąd zadzwonisz i gdzie się znajdujesz. Połączenie jest bezpłatne). Wszystko wokoło zdaje się podpowiadać, że uratować nas może tylko nasza i innych wyteżona czujność. A w walce z zagrożeniami przydatne mogą być wszystkie zmysły. „YOU USE YOUR EYES. HE'LL USE THEIRS NOSES. We're counting on everyone. Tell a cop, an MTA employee or call 1-888-NYC-SAFE. (Wy używacie swoich oczu. Zwierzęta używają swoich nosów. Liczymy na wszystkich). Podążając za jednym z wezwań głoszących potrzebę roznoszenia idei z MTA nie ograniczyłam się biernie do wykonywania otrzymanych poleceń. Przejęta wyznaczoną w komunikatach rolę wzięłam odpowiedzialność w swoje ręce. Aktywnie starałam się przekazywać je dalej. Samotnie z megafonem nad głową przemierzałam bliższe i dalsze okolice. Wzywałam do słuchania przekazów: „Listen for announcements“ (Słuchajcie przekazów), starałam się powtórzyć usłyszane zalecenia: „PLEASE TAKE YOUR THINGS. OR WE WILL“, „BE SUSPICIOUS OF ANYTHING UNATTENDED“ (Prosimy pilnujcie swoich rzeczy, albo my to zrobimy, Bądź podejrzliwy na wszystko co pozostawione bez opieki). Ale robiłam to wszystko w Norwegii, w samym środku dziewiczej natury, pośród postrzępionych fiordów, turkusowych wód, ośnieżonych skał i szumiących wodospadów. Gdzie dobrowolnie chciałoby się poddać pięknu natury. „If you see a suspicious things or activity on a fjord or in the mountains, don't keep it to yourself.“ (Jeśli zobaczysz podejrzaną rzecz na fiordzie lub w górach, nie zachowuj tego dla siebie.) Wobec kogo być czujnym, skoro wokół nie ma żywej duszy? Na co skierować swoją uwagę? Co zrobić na szczycie przez nikogo nie pilnowanej góry? Co jest dziwne w samym środku bajkowego, nierzeczywistego, wręcz, chciałoby się powiedzieć, podejrzenie niezwykłego

krajobrazu? Co powiedzieć, jeśli jest tak pięknie, że aż dech zapiera?

Kampania pod tytułem *If You See Something. Say Something!* została odseparowana od wielkiego miasta i w prawie niezmiętej formie, jako komunikaty z megafonu, rozbrzmiewała pośród czystej natury. W Norwegii, której mieszkańcy boją się topniejącego lodu Arktyki i zanieczyszczenia środowiska, a nie terrorystów. W efekcie otrzymaliśmy „anty-paniczną” kampanię. A te same komunikaty wypowiedane spokojnym głosem często zmieniały swoje znaczenie. Prośba o nie pozostawianie rzeczy bez opieki, pośród zimowych gór stawała się jedynie prośbą o ich nie zaśmiecanie. Pozostawienie czarnej teczki pośród fiordów, stawało się absurdalne, a noszenie obszernych okryć wierzchnich zimą w Norwegii wręcz niezbędne do przeżycia, a nie stwarzające przestrzeń do ukrycia niebezpiecznych przedmiotów.

Immunitet to nietykalność. W Nowym Jorku przekonałam się, że nie przewiduje się immunitetu dla działań artysty, zwłaszcza w przestrzeni publicznej. Podparcie się słowami: „jestem artystą” powoduje wręcz zwiększenie zaniepokojenia. Wzbudza falę dodatkowych pytań i naka-zów np.: zapłaty za wykorzystywanie przestrzeni, czy nawet widoku. Na końcu dowiadujesz się, że cały proceder trzeba ubezpieczyć za tysiące dolarów. Wniosek: w Ameryce jedyne, co może zagwarantować nietykalność artyście, to galeria. W sumie to ciekawe, bo wydaje mi się, że w Polsce, w przeciwieństwie do Stanów, artysta jest o wiele bardziej bezpieczny na ulicy, niż w galerii. Jedyna moja akcja przerwana w Polsce to Obieranie ziemniaków w Zachęcie. Zakończył ją poirytowany portier, który przyszedł i powiedział, żebym kończyła, bo już późno i zamyka...

Artysta najczęściej zmuszany jest do brania na siebie odpowiedzialności za lata zaniedbań w dziedzinie badań z zakresu historii sztuki współczesnej. Odpowiedzialności za notoryczne kończenie nauki na Kossakach i Malczewskich, czyli brak właściwej edukacji widza. Za hermetyczny język krytyków sztuki tak dalece niezrozumia-

ły dla przeciętnego odbiorcy, że nie dość, że nie objaśnia sztuki, to sam potrzebuje objaśnienia. Na koniec artysta zmuszony jest do brania pełnej odpowiedzialności za wywołanie fali publicznego zaniepokojenia, czym właściwie jest sztuka współczesna? Jednak to dzięki wątpliwościom artysty, jego ryzykownym zachowaniom, wahaniom i pytaniom sztuka staje się współczesna. A pomimo tego artysta jest traktowany jak pasażer na gapę, bez ważnego biletu.

Joanna Górską
Rafał Góralski

Nasza sztuka poRUSZa!

Galeria Rusz istnieje od 1999 roku i jest to dla nas data bardzo ważna. Kiedy startowaliśmy z naszym billboardem, było to działanie spontaniczne, ale z biegiem czasu dostrzegliśmy wagę naszych działań. Dzięki naszym systematycznym wysiłkom udało nam się stworzyć miejsce unikatowe w skali światowej, dynamiczną przestrzeń sztuki ukierunkowaną na człowieka i międzyludzką komunikację. Nasz projekt jest najdłużej działającą galerią billboardową, która pokazuje sztukę nieprzerwanie od tylu lat (przynajmniej nie nam nie wiadomo, by tak długo istniała inna tego typu galeria na świecie!). Nasze działania z założenia, raczej skromne (tylko jeden billboard, bez zaplecza logistycznego, prowadzony przez dwójkę artystów), stały się bardzo ważnym eksperymentem społecznym na pograniczu sztuki, sfery publicznej i komunikacji wizualnej.

Uważamy, że sztuka jest czymś istotnym dla człowieka, bo gdyby tak nie było, to czy towarzyszyłaby człowiekowi od tysięcy lat? Dlatego staramy się ją transferować w codzienność, przescheczać na grunt, po którym może stąpać zwyczajny człowiek, który nie jest zainteresowany sztuką galeryjną (elitarną, całkowicie dla niego niezrozumiałą i mu obojętną).

Jest to działanie odwrotne do tego jakie uprawia pewna grupa artystów współczesnych, któ-

rzy kładą nacisk głównie na elitarność i hermetyczność języka. Dla nas sztuka to żywe medium komunikacyjno-iluminacyjne tzn. sztuka jest dla nas pewnego rodzaju naddatkiem - wyrasta z życia i do niego powraca. Przydaje mu równocześnie wartości, ujawniając „niewidzialne” procesy, zdarzenia, mechanizmy, zjawiska, jak również przydaje pewnej mądrości rozumianej raczej jako wrażliwość, a nie przyrost informacji. Nasze działania traktujemy jako jeden wielki rezonator, który wprowadza umysł odbiorcy w drgania, wytrąca go z rutyny i ukazuje nowe tropy rzeczywistości.

Nasz eksperyment z billboardem oprócz tego, że pokazuje, że sztuka działa, jest istotny również z innego powodu. Jest on krytyczny wobec dominującego obiegu sztuki, ukazuje nieskuteczność i miałość działań wielkich, biurokratycznych, państwowych instytucji (takich choćby jak CSW Zamek Ujazdowski), które zatrudniają setki pracowników i mają na celu tylko zachowanie status quo. Ponieważ są to wielkie, biurokratyczne maszyny dążą one tylko do monopolizacji dyskursu i obrony swoich rozbuchanych, instytucjonalnych rozmiarów, czyli ogólnie mówiąc do stagnacji. Dla takich instytucji nie jest ważny odbiór społeczny, wręcz przeciwnie, elitarność i zamknięcie sztuki jest paradoksalnie zjawiskiem pożądanym.

Wielkie, Kafkowskie biurokracje uwielbiają produkować paragrafy, skomplikowane formułki i z reguły tylko po to, by usprawiedliwić swoje istnienie. Analogicznie jest na polu sztuki, choć z uwzględnieniem jej specyfiki. A przecież najważniejszym problemem, wobec którego stoi dziś sztuka, jest jej odbiór. Bo sztuka albo będzie docierała do widza i będzie dla niego ważna albo będzie tylko erzatkiem, czymś nieistotnym, zabawką w rękach bogatych kolekcjonerów, igraszką systemu (kuratorów, krytyków, funduszy inwestycyjnych, itd.). Poza wymiarem komercyjno-biurokratycznym nie będzie miała żadnego znaczenia, będzie martwym ciałem nie komunikującym się ze społeczeństwem.

Na tym tle nasz skromny projekt sztuki billboardowej odniósł wielki sukces. Udało nam się

zrealizować społeczny eksperyment, przekształcić kawałek ulicy i chodnika w przestrzeń sztuki, przestrzeń ukierunkowaną na człowieka. Co w tym wypadku jest ważne, to ciągłość pokazywania prac - od 9 lat w tym samym miejscu. To nie są przypadkowe „wrzuty” w przestrzeń, lecz systematyczne jej oswajanie, dzień w dzień, noc w noc. Nasz billboard to wyrwa w codziennej rzeczywistości, to odchyłona zasłona pozwalająca na inne spojrzenia na to, co wycyzajne.

Kiedy startowaliśmy z naszym projektem, sami do końca nie wiedzieliśmy, jak to wszystko będzie działać, ale postanowiliśmy sprawdzić to w praktyce. Zaskoczyło nas, kiedy nagle odkryliśmy, że mamy „stałą”, liczną publiczność. Okazało się, że sztuka działa. Może nawiązywać kontakt z widzem i jest dla widza istotna.

W dość krótkim czasie od rozpoczęcia działalności ludzie zaczęli nas zaczepiać przed billboardem, dyskutować na temat prac, wymieniać uwagi, dopytywać się o następne projekty. Pisali e-maile, a czasami dzwoniли. Dość często zdarza się, że z różnych, czasami niespodziewanych stron (np. od ludzi starszych – którzy ze sztuką nie są raczej kojarzeni) dostajemy informację zwrotną, że ktoś ogląda nasze plakaty, pamięta określone prace nawet sprzed kilku lat, poświęcił czas i uwagę, by je dostrzec i zakodować w swoim umyśle. Jest dla nas bardzo satysfakcjonujące, że nie działamy w próżni, że mamy odbiorców i że nasza sztuka przekracza granice artystycznego getta!

Koniec z banałem w sztuce - nasza sztuka poRUSZA.

Rafał Jakubowicz

Niektóre prace chcą oddychać świeżym powietrzem

Przyjechałem do Koszalina w poniedziałek, 25 lutego 2008, pociągami z Poznania. To moja trzecia wizyta w tym mieście. Wcześniej byłem tylko przejazdem, zazwyczaj w czasie wakacji, w drodze nad morze, do Kołobrzegu lub Ustki, przesiadałem się z pociągu do pociągu albo z pociągu do autobusu. Tym razem po raz pierwszy

przyjechałem tu w związku z działalnością zawodową, by wziąć udział w panelu zorganizowanym przez **Ryszarda Ziarkiewicza** w Galerii „Scena”, na temat sztuki w przestrzeni publicznej. Uczestniczyłem w ciekawej, żywołowej, momentami bardzo emocjonalnej dyskusji.

Panel był gorący (choć w pomieszczeniu było strasznie zimo, z powodu braku ogrzewania). Takich dyskusji nie ma już ani w Poznaniu ani w Warszawie, gdzie wszyscy – i prelegenci i publiczność – funkcjonują wewnątrz swego rodzaju klosza, zgadzając się ze sobą co do elementarnych przynajmniej spraw. Tutaj, w Koszalinie, sprawy te nie są – okazuje się – jeszcze tak oczywiste. Za to jest autentyczny front, zderzenie, które może być fascynujące, oczywiście o ile prowadzi do zrozumienia, a nie okopania się na własnych pozycjach i – w konsekwencji – prewencyjnego cenzurowania tego co budzi obawy, co zostaje rozpoznane jako niewygodne, wywrotowe czy wrogie.

Niektórymi wypowiedziami byłem po prostu zdumiony. Wszystko za sprawą projektu Petera Fussa, „Żydzi won z katolickiego kraju”, który posługując się przecież cytatem, w ciekawy, przewrotny sposób wprowadził w przestrzeń miejską niekomercyjny przekaz, powodujący kompletną dezorientację (np. nieuzasadnione, kompletnie absurdalne zarzuty o rzekomą „antysemickość”), otwierając tym samym interesującą debatę o ponad lokalnym wymiarze. Już sama debata stanowi pozytywną wartość. A obecność na niej przedstawicieli władz miasta, w tym prezydenta, to dobry sygnał. Galeria Scena działa przy Koszalińskiej Bibliotece Publicznej – wielkim, mrocznym, modernistycznym budynku na terenie parku (przedwojennego cmentarza – dop. red.).

Pierwsze wrażenie: fajne, undergroundowe (również w dosłownym tego słowa znaczeniu) miejsce, ciekawa choć trudna, „aktywna” przestrzeń. Przestrzeń, chciałoby się powiedzieć, „z charakterem” – zaprzeczenie sterylnego „white cube”. Odniosłem wrażenie, że prowadzona przez **Robertą Knutha** i **Ryszarda Ziarkiewicza** Galeria „Scena” mogłaby szybko stać się – choć Koszalin

nie znajduje się raczej w „centrum” – bardzo ważnym ośrodkiem. Miejsca tworzą ludzie – to oczywiście truizm. Dziś centrum znajdować się może także poza „centrum” – kolejny truizm. Zaangażowanie Ryszarda Ziarkiewicza jest dla Koszalina wielką szansą, by z prowincjonalnego miasta stał się istotnym ośrodkiem sztuki współczesnej na mapie Polski. Potrzebne jest tylko stworzenie sprzyjających okoliczności, przychylność i poparcie ze strony lokalnych władz i urzędników. Autorytet jest kapitałem, który zdobywa się latami ciężkiej pracy. A Ryszard Ziarkiewicz cieszy się – w świecie współczesnej sztuki – niekwestionowanym autorytetem, dzięki któremu mógłby zaprosić do Galerii „Scena” właściwie każdego ważnego artystę/artystkę.

Istnienie prężnie działającej, ambitnej galerii o wyrazistym, konsekwentnym programie, to szansa również dla studentów z Koszalina, którzy nie musieliby jechać siedem godzin pociągiem do Warszawy, by zobaczyć, co aktualnie dzieje się w sztuce. Ich horyzontów nie kreowałyby tylko akademickie zajęcia z rysunku czy malarstwa; mieliby oto możliwość obserwowania profesjonalnego obiegu sztuki, na własnym podwórku oraz uczestniczenia w żywych dyskusjach. Istnieje przecież tradycja, do której można się odwołać – chociażby Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. Galeria zapewne szybko wykreowałaby swoje środowisko, znajdując młodą, chłonną publiczność. Spójrzmy, ileż dotąd świetnych projektów zrealizowała Galeria „Scena” i to działając praktycznie bez finansowego zaplecza.

Czy Koszalin będzie potrafił tę szansę wykorzystać, czy raczej odwrotnie – będzie konsekwentnie torpedował inicjatywę? Myślę, że w praktyce bardziej realna okaże się, niestety, ta druga opcja. Obym się mylił. „Koszalin jest jak hotel, choćbyś mieszkał w nim całe życie, nigdy nie będzie domem” – to projekt **Andrzeja Golca**, zaproponowany w ramach akcji billboardowej „Kocham Koszalin”. Autor, nie znajdując perspektyw, z Koszalina po prostu wyjechał, jak wielu rówieśników, do Londynu. Jego projekt, choć trafia

w sedno, mówi o czymś ważnym, oddając zapewne stan ducha młodych ludzi, również nie znalazł, niestety, uznania ani zrozumienia. Wręcz przeciwnie. Ujawnił bowiem problem, o którym nie chce się publicznie mówić. Nie zostanie więc pokazany. „A przecież tak właśnie muszą czuć młodzi ludzie” – pomyślałem idąc z **Robertem Rumasem** i **Julią Wójcik** główną ulicą prowadzącą do dworca, na poranny pociąg do Warszawy, rozglądając się za miejscem, gdzie można wypić kawę i zjeść sandwicha.

Może więc Golc ma rację? Może należałoby spróbować zastanowić się, dlaczego tak jest? Czyż nie warto przekonać, że można inaczej, że Koszalin jest europejskim miastem, w którym chce się mieszkać i działać? Żeby zatrzymać tu młodych, nie wystarczy powywieszać plakaty z żółtymi gwiazdkami na niebieskim tle. Chodzi raczej o sposób myślenia, który cechuje się otwartością. O stworzenie ram, wykreowanie rzeczywistości a nie deklarowanej tylko pustymi hasłami-sloganami przestrzeni do działania. Warto o tym pomyśleć, zamiast się bulwersować, obrażać i walczyć z projektami Fussa albo Golca. Bo chyba warto podjąć działania, by Koszalin stał się miastem, które ma coś do zaoferowania w sferze żywej kultury... Ale najpierw muszą tego chcieć sami mieszkańcy i – co trudniejsze – uwierzyć, że to możliwe.

A teraz spróbuję krótko odpowiedzieć na przesłane pytania:

Dlaczego przestrzeń galerii dla wielu twórców stała się zbyt ciasna (zbyt oczywista?) jako miejsce prezentacji sztuki? Być może dlatego, że w instytucjach artystycznych poruszamy się w ramach pewnej konwencji, obracając się tak naprawdę we własnym kręgu, żeby nie powiedzieć „własnym sosie” – artystów, krytyków i kuratorów. Funkcjonujemy w swoistym getcie. Jesteśmy odgradzeni murem od społeczeństwa, w związku z czym najbardziej nawet radykalne realizacje artystyczne trafiają w próżnię. Istnieją prace, które doskonale sprawdzają się w instytucjonalnym, galerijno-muzealnym obiegu i są również takie, które stawiając na dialog, stają się nośne czy też wybrzmiewają tylko w kon-

frontacji z przestrzenią publiczną. Inaczej mówiąc: niektóre prace chcą oddychać świeżym powietrzem.

Granice wolności wypowiedzi artysty są dołądnie takie same jak granice wolności wypowiedzi każdego obywatela „nie-artysty”. Artysta nie funkcjonuje na specjalnych prawach. Dotyczy to także artystów ingerujących w przestrzeń publiczną. Przestrzeń publiczna jest nieustannie zawłaszczana, zarówno przez korporacje, reklamy, jak i władze. Nie należy więc „do wszystkich”. Artysta niekiedy musi więc działać jak „partyzant”, odzyskując przestrzeń publiczną. Okazuje się, że owa „partyzantka” może dziś być jedyną skuteczną metodą. Oficjalne próby wprowadzenia artystycznego komunikatu w przestrzeń publiczną, jak chociażby – skądinąd niezwykle interesująca – działalność Galerii Zewnętrznej AMS, zawiodą w przypadku, gdy dzieło postrzegane jest jako nazbyt radykalne i w związku z tym pojawiają się protesty ze strony lokalnych władz, jak to miało miejsce w 1999 roku, w przypadku realizacji Katarzyny Kozyry „Więzy krwi”. Biznes natychmiast wycofuje się ze sponsorowania projektów, których publiczne popieranie może w konsekwencji narazić firmę na straty. Zatem czasami nie ma innej możliwości, innej drogi niż miejska „partyzantka”, która ma zresztą stosunkowo długą tradycję. Przypomnijmy chociażby realizację Krzysztofa Wodiczki z 1985 roku – dwugodzinną, nielegalną projekcją motywu swastyki na tympanon budynku ambasady RPA w Londynie, w protestie przeciw polityce apartheidu.

Artysta zawsze ponosi odpowiedzialność za swe projekty – to oczywiste. Nie mam jednak pojęcia kiedy i czym „przypadkowy widz” może poczuć się zaatakowany, sprowokowany. To, co dla jednej osoby jest „provokacyjnym” gestem – dla innej może być zupełnie neutralnym, obojętnym komunikatem. Jeśli więc ktoś czuje się urażony przez wypowiedź artystyczną ma, rzecz jasna, prawo napisać oficjalny protest bądź wystosować pzew. Chodzi o przejrzystość demokratycznych procedur. Nie można natomiast przyzwalać na sytuację, w której prewencyjnie cenzuruje się projek-

ty artystyczne, w obawie, że mogą obrażać czyjeś uczucia albo szkodzić interesowi jakiegoś podmiotu. Bowiem takie działania charakteryzują systemy totalitarne. Chciałbym się odnieść do przykładu mojej pracy z 2002 roku – Arbeitsdisziplin, która wskutek nacisków nie została wystawiona w Galerii Miejskiej Arsenał w Poznaniu. Zaskoczyło mnie stanowisko prezydenta Koszalina, który podczas panelu mówił, że w ogóle nie dziwi go ówczesna reakcja na tę pracę dyrektora Volkswagena i prezydenta Poznania. A przecież była to korupcyjna w sensie moralnym próba załatwienia sprawy „na telefon” (telefon z dyrektora koncernu VW do prezydenta miasta Poznania, a następnie od prezydenta do rektora ASP – przypomnijmy). Czy władze miasta mogą reprezentować interesy prywatnej korporacji, podejmując – co więcej – zakulisowe działania, opierające się jedynie na towarzyskich powiązaniach? Jak można nie dostrzec tu elementarnej sprzeczności? Volkswagen miał prawo oczywiście protestować, aczkolwiek formułując oficjalne zarzuty i kierując sprawę do sądu, i – co najważniejsze – dopiero po otwarciu wystawy, jak to się odbywa w każdym normalnym, cywilizowanym, demokratycznym państwie.

Czy artysta jest chroniony rodzajem immunitetu, który stawia go ponad prawem wyznaczającym granice swobody wypowiedzi? Zdecydowanie nie. Obowiązuje go to samo prawo jak każdego obywatela.

Czy obrona anonimowości twórcy nie sprawia, że jego dzieło staje się w pewien sposób podejrzane, a intencje nieczyste? W sztuce współczesnej istnieją różne strategie. Anonimowość artysty jest jedną z nich. Nie istnieje, moim zdaniem, związek pomiędzy „anonimowością” a „nieczystością intencji”. Zresztą takie pojęcia jak „czystość intencji”, „szlachetność”, „dobro” czy „prawda” – które być może sprawdzają się podczas kazania wygłaszanego z ambony – nie mogą być miarą wartości dzieła sztuki. Są to pojęcia, które prowadzą donikąd, do dyskusji o niczym.

Robert Rumas przedstawił trwającą tydzień akcję, którą zrealizował w Wiedniu, a która nosiła tytuł „Plain air”. Tym projektem wygrał ogłoszony przez wiedeńską Kunsthalle i Instytut A. Mickiewicza konkurs na działania artystyczne w ściśle określonej przestrzeni Wiednia. Akcja Rumasa działa się na placu, na którym w 1912 r. ubiegający się indeks Akademii Sztuk Pięknych Adolf Hitler robił rysunki i szkice. R. Rumas zaprosił do udziału w akcji studentów Akademii, którzy, bez względu na płeć ucharakteryzowani a’la Hitler (wąsik), wyszli w plener by malować i rysować to, co malował Hitler. Do udziału w projekcie zgłosiły się osoby z różnych stron świata: z Wenezueli, Portugalii, Niemiec, Polski, Rosji i in. W końcowej fazie przygotowali do projektu Instytut A. Mickiewicza wycofał się twierdząc, że nie chce uczestniczyć w takim właśnie projekcie. Całość organizacyjno-finansową wzięła na siebie wiedeńska Kunsthalle.

Kolejny projekt prezentowany w Koszalinie przez Roberta Rumasa nosił tytuł „Manewry miejskie” i polega m.in. na zamianie tradycyjnych znaków drogowych na znaki wymyślone przez artystę. Na jednym z nich, umieszczonym w pobliżu klubu piłkarskiego Cracovia, widnieją kij bejsbolowy i szalik, co oznacza: „Uwaga: kibice”. Na znaku znajdującym się w Gdańsku widnieją napis: „Tutaj wolno żebrać”, na kolejnym, prezentującym człowieka ciągnącego domek na kółkach, jest podpis „Uwaga: bezdomni”.

W jednym z wywiadów Robert Rumas powiedział o swojej postawie artystycznej: „Myślę, że artysta powinien żyć na offie, że powinien podejmować wyzwania, ale bardziej jako człowiek, jako obywatel, niż jako artysta właśnie. Bliżej jest mi do wizji republiki obywateli, niż do republiki artystów. Artysta powinien być przede wszystkim obywatelem, a obywatel, jeżeli tylko będzie chciał, może być artystą.”

Małgorzata Kołowska: - *Przyznam się, że kiedy pewnego lutowego dnia ujrzałam za oknem billboard z napisem „Żydzi won z katolickiego kraju”, nie mogłam uwierzyć, że w moim mieście, na mojej ulicy, przed moimi oknami pojawiło się coś, co budzi we mnie gwałtowny sprzeciw. Nie do wiary, żeby w Polsce można było propagować tego rodzaju hasła! Forma prezentacji billboardu, bez jakiegokolwiek sygnału, że chodzi o akcję artystyczną, a nie propagandową, budziła obawę, że jest to próba propagowania pewnej ideologii, z którą zgodzić się nie można. Tego samego dnia Peter Fuss prezentował swoje prace w galerii „Scena” i przypuszczam, że w galerii publiczność nie doznawała tego typu emocji, które stały się moim, i nie tylko moim, udziałem. Dodatkowym problemem jest dla mnie anonimowość autora...*

Robert Knuth, galeria „Scena”: - *Ta sprawa miała jakby dwa dna. Z jednej strony my, jako galeria miejska, zostaliśmy postawieni przed faktem i zarazem poddani pewnej manipulacji, której dopuścił się sam Peter Fuss. Jego akcja została pomysłana w ten sposób, żeby doprowadzić do jak największego sukcesu, nawet kosztem galerii. Jak państwo wiedzą groziło nam zamknięcie, mieliśmy na głowie prokuratora, liczyliśmy na życzliwość miasta, a tymczasem nasz kolega po fachu robi nam autentycznego psikusa, który polegał na tym, że nie zostaliśmy do końca poinformowani o jego akcji, a liczyliśmy na to. Krótko przed godz. 8 rano zapytano mnie, czy galeria ma coś wspólnego z antysemickimi plakatami, które pojawiły się w mieście. Moja odpowiedź była, oczywiście, przecząca. Trzeba przyznać, że ten plakat nie był do końca czytelny, ale stanęliśmy absolutnie po stronie artysty. Próbowaliśmy sprawę przede wszystkim wyjaśnić, przekazać intencje Petera Fussa. To jest druga strona medalu pokazująca, że artyści czasami bardzo głęboko spekulują, nie zawsze stawiając na pierwszym miejscu sprawy etyki, moralności, czystości działania i gry. Sztuka, w moim przekonaniu, jest formą inteligentnej*

zabawy. I tutaj, w tej inteligentnej zabawie okazało się, że mamy do czynienia z różnymi przemysleniami i ideami. Przy okazji akcji, która medialnie wywindowała w Polsce Petera Fussa, my prawie polegliśmy.

Ks. Henryk Romanik: - *Dla mnie billboard Petera Fussa jest przykładem nieodpowiedzialności albo cwaniactwa, którym się wygrywa swoje małe interesy kosztem całego środowiska. Otóż ten billboard z hasłem „Żydzi won z katolickiego kraju” zamknął dwu-, trzyletnie działania bardzo wielu ludzi w Koszalinie, którzy próbowali poprzez różne aktywności: konserwatorskie, społeczne, administracyjne, informacyjne, duszpasterskie, przywołać pamięć o żydowskich obywatelach Koszalina, a ten głos był dla nas, mówiąc brutalnie, opluciem pleców. I drugie moje spostrzeżenie: miesiąc temu byłem w Jeruzolimie i spróbowałem sobie wyobrazić sytuację nieco odwrotną, a mianowicie przy Bramie Jaffskiej, niedaleko katedry patriarchy łacińskiego, zostaje umieszczony plakat z hasłem: „Katolicy won z żydowskiego kraju”. Rozmawiając z różnymi ludźmi i opowiadając także o koszalińskim doświadczeniu spotkałem się z odrobiną zrozumienia w tym sensie, że pewnych rzeczy nie wolno robić. One po prostu obrażają konkretnych ludzi. Jest cenzura polityczna, obyczajowa, religijna, ale jest też coś takiego jak potrzeba przyhamowania nieco impetu w tym publicznym coming-out, w którym człowiek chce zaistnieć, bo wtedy musi się pojawić pytanie: jakim kosztem? czym kosztem?*

Ryszard Ziarkiewicz: - *Powinniśmy zadać sobie pytanie, jakie jest nasze zadanie - artystów, twórców kultury – na temat potrzeb społecznych i gdzie jest nasza wewnętrzna granica uczciwości. Gdzie przebiega linia demarkacyjna pomiędzy urażeniem czyjejś godności, a zachowaniem własnej postawy, uczciwości wobec samego siebie, niekłaniania się władzy i publiczności. Czy i kiedy mamy się zatrzymać? Co nas powinno ograniczać? Nie chodzi o to, żeby walczyć i przesunąć tę granicę, ale żeby w ogóle ujawnić ten*

problem. Ale nie może być też tak, że nie robimy czegoś, ponieważ zakładamy, czy wręcz wiemy, że to się nie będzie podobało katolikom, tamto Żydom, a jeszcze co innego władzy, jakiegokolwiek władzy. Chodzi o to, żebyśmy wystrzegali się jak ognia polityki poprawności, ponieważ ona zabija kulturę.

Anna Mosiewicz: - *Z wielkim zainteresowaniem obejrzałam prezentację. Bardzo mi się podobał cykl znaków drogowych, akcji z Hitlerem nie rozumiałam. Podobał mi się również pomysł pani Julity, która w sposób teatralny przeprowadziła badania socjologiczne. A szczególną sympatią zapalałam do państwa z Torunia, którzy w bardzo kulturalny, wyrafinowany i dowcipny sposób pokazują nam nasze wady i chciałam nawiązać do billboardów koszalińskich. Uważam, że są one prowokacjami, a ich autorzy potraktowali koszalinian jak mieszkańców prowincjonalnej miejsciny, którzy nie rozumieją wielkiej sztuki. I tu mam pretensje. Nie robią tego państwo z Torunia, nie robi tego pan od znaków drogowych, nie robi tego pani Julita. Czy chcieliście dzięki tej prowokacji zaistnieć jako Galeria „Scena”? Czy traktujecie mieszkańców Koszalina z góry?*

Mirosław Mikietyński: - *prezydent Koszalina: - Nie ma czegoś takiego jak wolność absolutna i nie ma takiej sytuacji, w której artysta byłby absolutnie wolny. Zawsze jest ograniczony: krzywdą drugiego człowieka, własną wyobraźnią, środkami finansowymi, wymogami np. mecenasa. Sztuka zawsze miała mecenasa i zawsze mecenas i w jakiś sposób wpływali na artystów. Dzisiaj ograniczenia w wypowiedziach artystycznych są naprawdę minimalne. Moim zdaniem, jeżeli ktoś dziś mówi o ograniczeniach cenzurą, to bardziej próbuje usprawiedliwić własną niemoc niż brak możliwości wypowiedzi twórczej.*

Zdzisław Pacholski, artysta fotografik: - *Mam wrażenie, że ulica, a właściwie przestrzeń publiczna w coraz większym stopniu staje się arbitrem społecznym. Dotychczas obowiązujące struktury*

większych czy mniejszych, bardziej lub mniej zależnych galerii być może już nie wystarczają i ta arbitralność przestrzeni społecznej, jej niezależność i otwartość, jest taką pokusą, która pociąga artystów. Ale ta przestrzeń jest pokusą nie tylko dla artystów. Parę dni temu na Rynku Staromiejskim w Koszalinie zrobiłem fotografię ogłoszenia, które ktoś tam umieścił na jednym ze słupów, ponieważ prawdopodobnie stracił wiarę w to, że ktoś jest mu w stanie pomóc. Ogłoszenie ma treść: „Bank (tu nazwa) poleca Towarzystwo Ubezpieczeniowe (tu nazwa), a oszustwo w prezencie“. Ktoś, kto nie jest artystą, doszedł do wniosku, że przestrzeń społeczna jest jedynym arbitrem, do którego może się odwołać. Pomysł cenzurowania projektów artystycznych w przestrzeni publicznej bierze się z beztroskiego zawłaszczania tej przestrzeni przez urzędników różnego szczebla. W słabo rozwiniętej demokracji to wprowadzenie cenzury jest o tyle łatwiejsze, bo to niby cenzura działa dla dobra opinii publicznej. Nie ma już cenzury rewolucyjnej, ale istnieje cenzura inna; jest nawet cenzura biorąca się z tego, że coś się komuś wydaje, cenzura uzależniona od czyjegoś widzimisię. Cenzura często bierze się stąd, że sztuka jest świadkiem wydarzeń politycznych i religijnych. Metodami administracyjnymi niewiele chyba można zrobić. Mam bardzo krytyczny stosunek do billboardu Petera Fussa; być może autor chciał dobrze, ale wyszło źle, dlatego, że tam nie było żadnego odniesienia do tego, że jest to fragment większej całości i że w Galerii „Scena“ jest dalszy ciąg wystawy; tam było tylko hasło nawołujące do nienawiści rasowej. Wolność w sztuce nie oznacza braku odpowiedzialności. Uważam, że to, co przedstawili nasi goście, niesie duży ładunek odpowiedzialności.

Robert Rumas: - Moim zdaniem artysta odpowiedzialny nie jest artystą. Artysta może wziąć odpowiedzialność za to, co zrobił, natomiast artysta, który chce sprowokować, chce zaatakować, nie może być artystą odpowiedzialnym dlatego, że wtedy musiałby działać wg wszystkich norm prawa obowiązujących w danej rzeczywistości.

A nie oszukujmy się, pewne rządzące nami prawa nie są prawami *constans* i cały czas granice wolności są negocjowane. I to powinniśmy sobie wszyscy uzmysłowić. Artysta musi być w jakiś sposób wariatem, dlatego, że ci wariaci mogą zwrócić uwagę na to, co tak naprawdę w tej społeczności się dzieje. Można powiedzieć, że dyskusja wokół książki Jana Grossa „Strach“ naprawdę została zapoczątkowana pojawieniem się plakatu Petera Fussa.

R. Ziarkiewicz: - Jeżeli sztuka będzie grzeczna, jeżeli będzie działała wg pewnych przepisów, powszechnie przyjętych prawd, będzie nudna i będzie sztuką publicystyczną. I druga moja refleksja: zapominamy, że plakat Petera Fussa pojawił się w określonym kontekście, który go całkowicie uczynił, tylko trzeba to było spostrzec. On się pojawił na tle kościoła katolickiego i w tym kontekście był całkowicie zrozumiały. Być może nie uświadamiamy sobie tego, ale rozmawiamy o tym, że cenzura jest naszym wrogiem. Powinniśmy uświadomić sobie, że lepiej jest dopuścić do druku książkę, opublikować plakat wywołujący skrajne emocje i dopiero wówczas brać za to odpowiedzialność. Jak można dyskutować, jeśli nie ma obiektu sporu? Jeśli nie mamy pewnej propozycji? Wówczas będziemy mówić o funkcjonowaniu kultury, funkcjonowaniu cenzury, administracji, o demokracji, ale gazetowej, płaskiej; na pewno nie o sztuce.

M. Mikietyński: - Jeżeli sztuka rzeczywiście odkrywa prawdę o ludziach, o świecie, to taka sztuka zawsze się obroni. Sztuka, która zafalszowuje prawdę...

R. Ziarkiewicz: - Absolutnie nie traktujemy Koszalina jako prowincji; wręcz przeciwnie: jesteśmy tutaj, działamy, pracujemy i próbujemy zrobić to, co się robi gdzie indziej. Natomiast pewne reakcje, tak jak wszędzie: w Nowym Jorku, Londynie, Warszawie czy Poznaniu, są prowincjonalne. Nie twierdzą, że wszystko, co robimy jest dobre, ale te nasze próby ujawniają jakąś dozę prowincjonalności.

zmu, także naszego. To nas może obrażać, poruszać, ale naprawdę nie jest naszą intencją, mówię tu o Galerii i o Muzeum, wykazywanie małości tego miasta, jego prowincjonalności. Myślę, że wiele z tego, co robimy, przeczy tej tezie. Jest to niewielkie miasto, a dużo rzeczy się nam udaje. Nasze spotkanie miało pokazać czy ujawnić pewne elementy procesu destruktywnego, złego procesu, któremu wszyscy ulegamy, artyści i kuratorzy również, a mianowicie procesu autocenzurowania. Cenzura to nie jest sam fakt zamknięcia wystawy. Najważniejsza rzecz dzieje się tuż przed, kiedy właśnie ktoś dzwoni do kogoś, ktoś ważny podejmuje decyzje i to złe decyzje. Te decyzje są złe, bo my z założenia działamy w wolnym świecie i mamy prawo do korzystania z kultury nieocenzurowanej. Nie chodzi o to, że mamy absolutną wolność. Nikt tego nie powiedział. Żaden z artystów nie pokazał nawet cienia takiego przykładu. Tutaj padały przykłady walczenia o wolność słowa, a to jest zupełnie co innego. To jest nauka pewnego procesu.

*

Dopełnieniem debaty jest nadesłany do Kolegium Redakcyjnego list Marka Wawryna, artysty plastyka mieszkającego w Elblągu, niegdyś w Koszalinie, nadal związanego emocjonalnie z Koszalinem.

Elbląg 09.02.2008 r.

Szanowni Państwo!

Otrzymałem zaproszenie do udziału w panelu na temat sztuki w przestrzeni miejskiej. Zaproszenie to upoważnia mnie do zabrania głosu nie tylko z szacunku dla organizatorów, lecz również z faktu, iż przed laty jako komisarz artystyczny Warsztatów Tworzyw Sztucznych w Ustce zajmowałem się zagadnieniem funkcjonowania elementów sztuki wizualnej w pejzażu miejskim. Elementów realizowanych z bardzo trwałego tworzywa sztucznego, jakim był laminat poliestrowo szklany, używany w owym czasie w Stoczni

w Ustce do produkcji, między innymi, łodzi ratunkowych. Właśnie, co ciekawe, trwałość tego materiału wzbudzała wśród uczestników dużą ostrożność i rozagę w propozycjach wzbogacania /jak się wtedy mówiło/ pejzażu miejskiego.

Mimo presji tak zwanych czynników politycznych, traktujących nasze pomysły jako element, jak się wtedy mówiło, propagandy wizualnej, nasze prace po wernisażach w Słupsku i Koszalinie pozostały własnością autorów i nie zostały szerzej upublicznione z wyjątkiem „branżowego” periodyku o nazwie „Sztuka”.

Jak wspominałem, naszą ostrożność wyrażało sformułowane bodajże przez Prof. Stefana Krygiera określenie „niewolnictwo wizualne” w odniesieniu do elementów umieszczanych na ścianach domów. Wyrażał się w tym pogląd, że ekspresja artystyczna umieszczona tak trwale, przed oczami mieszkańców domów sąsiadujących, wymaga nie tylko głębokiego przemyślenia formy i treści komunikatu, lecz również jakiejś uzgodnionej wstępnie akceptacji z ich strony. Pojęcie: niewolnictwo wizualne wiąże się z narzuceniem, arbitralnym i na pewno – aroganckim - swojego komunikatu. Dobre chęci nie mogą być tu usprawiedliwieniem. Chęć zaistnienia za wszelką cenę nie jest dobrym motorem realizacji. Sądzę, że należałoby przedyskutować ograniczenia wynikające z lokalizacji sztuki w przestrzeni miejskiej. Przypomnijmy sobie, konieczność profesjonalności poczyniarni w odniesieniu do przestrzeni urbanistycznej, jaką stanowi wnętrze miasta.

Koncert symfoniczny najlepiej realizuje się i przeżywa w sali koncertowej, muzykę klezmerów najlepiej w restauracji, film w kinie, czyli w pomieszczeniach do tego przeznaczonych, profesjonalnych. Różne inne próby lokalizowania muzyki Bacha czy Mozarta w halach fabrycznych w czasie przerwy obiadowej banalizowały i trywializowały szlachetność i wysoką kulturę dzieła. Zmierzam do tego, że komunikat sztuki w przestrzeni miejskiej powinien podlegać określonym warunkom i uzgodnieniom i powinien być szczególnie, swoisty i specyficzny. W przestrzeni miejskiej istnieją obszary nobilitujące nas, dodające nam skrzydeł

i są to te miejsca, gdzie znajdują się muzea, teatry, domy kultury, biblioteki.. Są również obszary deprymujące, obszary przykre, na przykład okolice więzienia, szpitala, cmentarza. Nie mamy na ogół wielkiego pola manewru w tej materii: mieszkaamy tam, gdzie zdobyliśmy mieszkanie. W tym poczuciu przypisania jesteśmy bezradni.

W tej przestrzeni przypisanej widzę możliwości zaistnienia sztuki. Artysta czy dyspozytor powinien, dokonując wyboru takiego miejsca, posiadać wielką kulturę i wrażliwość w formułowaniu swojego credo. Przyzwyczajeni jesteśmy do różnych kontestacji w galeriach sztuki, tam ostrość, radykalna ekspresja ma swoje usankcjonowanie i swoją wolność. Działa to w obie strony: nie wolno bić psa w jego budzie. Pies musi mieć poczucie bezpiecznego miejsca. Można więc zapytać: gdzie można szydzić? Gdzie można prowokować? Gdzie płakać lub śmiać się? Z grubsza, myślę, że jednak nie wszędzie. Sądzę, że drogą pertraktacji trzeba wybrać azyl dla sztuki w przestrzeni miejskiej. I to musi być komunikatywne i jednoznaczne. Jest to konieczne choćby z tego względu, że dla wielu ludzi pójście na wernisaż do galerii jest krępujące z powodu poczucia niższości lub nawet znudzenia czy braku sensu.

Inną sprawą, wiążącą się z treścią komunikatu, jest weryfikacja jego formy.

Nie jestem za cenzurą, nie jestem za autocenzurą, jednak jako nauczyciel plastyki, każdorazowo przygotowując się do lekcji szukam słów zrozumiałych dla młodzieży. Chcę, mówiąc o sztuce, unikać żargonu lub skrótów myślowych zrozumiałych dla ludzi obytych z tą dziedziną kultury. Nie dziwię się skrajnym reakcjom na artystyczne prowokacje ludzi nie przygotowanych, nie uprzedzonych, że to właśnie jest sztuka. Do sztuki współczesnej jestem przyzwyczajony od kilkadziesiąt lat. Mimo to bardzo często patrząc na dzieła na wystawach w dużym procencie nie pojmuję, o co poszło autorowi. I tutaj trzeba zapytać o immunitet artysty. Nie byłoby dobrze, gdyby sztukę współczesną ilustrowali tylko skandaliści.

Od lat wierzę w wypowiedź Starszego Pana, niezjącego Ryszarda Siennickiego: artystą się

nie jest, artystą się bywa. Wspominam Jego słowa, by uzasadnić użycie bezpieczniejszego określenia: autor, albo twórca. O ile wskutek różnych stereotypów funkcjonujących w obszarze kultury człowiek uznany za artystę jest traktowany jak święta krowa, o tyle od autora czy twórcy zaczyna się czegoś wymagać. I gdybyśmy przyjęli takie założenie, łatwiej byłoby zapytać autora o jego myślenie, o jego odczuwanie, o jego język autorski. Immunitetem byłaby jego argumentacja, siła perswazji, wrażliwość i cierpliwość. Nie mógłby tak łatwo się obrazić na naszą ignorancję. Nie mógłby się w ogóle obrazić.

Nie wierzę, że artysta nie potrafi mówić. Jeżeli brak mu słów, to brak mu myśli. Jeżeli brak mu myśli to ma pusto w głowie.

W zaproszeniu jest pytanie o moje zdanie co do twórczości zaprezentowanej anonimowo. Tutaj chciałbym odwołać się do działań koszańskich Pana Jerzego Beresia, podczas Plenerów Osieckich. Pan Jerzy Beres zawsze autoryzował swoje działania nagością. Było to podkreślenie autentyczności i prawdy przekazu nie przyozdobionej kostiumami, jeżeli dzielił kolorem swoje nagie ciało, to był to podział symboliczny, a nie dekoracyjny. Nikt Go w tym nie wyręczał i nikt nie zastępował. Miał odwagę być sobą.

Anonimowo przekazałem dziesięć złotych na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, ale to nie była sztuka tylko drobna uczynność.

Post scriptum: jestem już dziadkiem, sporo przeżyłem, zdarzyło mi się właśnie pomarudzić, jednak upieram się przy swoim: artysta musi najpierw w siebie uwierzyć, potem starać się bardzo długo przekonywać innych, że jest artystą. I nawet wtedy, gdy będzie miał swoje pięć minut w telewizji, to będzie to tylko pięć minut, a to nie wystarczy, nawet gdyby krzyczał największymi obrazami i potem umieszczał je w środku miasta.

*Dziękuję i pozdrawiam
Marek Wawryn.*



FILM



W rezerwacie chaosu

We własnym sosie

Do Koszalina, na festiwal „Młodzi i Film”, przyjechałem w tym roku po raz trzeci z rzędu. Dwa lata temu byłem tu jako juror konkursu etiud, przed rokiem prowadziłem po festiwalowych projekcjach dyskusje z cyklu „Szczerość za szczerość”. W tym roku obsadzono mnie w tej samej roli. Tyle, że był to zupełnie inny festiwal.

Nowy dyrektor artystyczny Jerzy Kapuściński dosyć radykalnie zmienił jego oblicze powracając niejako do korzeni. Zrezygnował z międzynarodowej formuły na rzecz krajowego przeglądu najwartościowszych debiutów. I chyba słusznie. Bo międzynarodowość koszalińskiego festiwalu i tak była nieco fasadowa. Pojawiały się na nim filmy „z łapanki”. Owszem trafiały się czasem dzieła wybitne, ale przeważały jednak przeciętne produkcje, które o tyle miały wartość, że stwarzały płaszczyznę konfrontacji dla rodzimych debiutów, których było zresztą jak na lekarstwo.

Sytuacja się jednak zmieniła. Zamiast najwyżej kilku debiutanckich filmów rocznie, powsta-

je ich dzisiaj kilkanaście, czyli w sam raz tyle, by zorganizowanie dla nich krajowego konkursu naprawdę miało sens. A są jeszcze debiuty telewizyjne, realizowane choćby w ramach programu „30 minut”, etiudy studenckie. I też jest ich więcej, bo przecież szkół filmowych wciąż u nas przybywa. Warto te filmy pokazywać, wyławiać najlepszych i znów, jak przed laty, zaczyna być warto dusić się we własnym polskim sosie. Tym bardziej, że młodzi filmowcy nareszcie zaczynają bardziej gremialnie niż jeszcze przed kilku laty manifestować chęć opowiadania o świecie swoim własnym głosem, bez oglądania się na strategię, utarte szlaki i odziedziczone wzorce.

Stare i nowe

Może jeszcze nie do końca w tym roku się to objawiło. Ilość debiutanckich filmów nie przełożyła się jeszcze na jakość, ale jakiś ferment wśród „młodych” już widać. O ile Sławomir Fabicki w filmie „Z odzysku” eksploatuje jeszcze prezentystyczną¹ stylistykę dominującą w młodym kinie polskim lat ostatnich, pokazując prowincjonalną beznadzieję, o tyle „Rezerwat” Łukasza Palkowskiego zwiastuje już nową jakość, opowiadając o życiu mieszkańców zrujnowanej kamienicy na warszawskiej Pradze bez pielęgnowania polskiego skansenu nędzy, za to z czeskim dystansem, tudzież lumpiarskim sznytem przypominającym kino Andrzeja Kondratiuka. „Rezerwat” był, nie tylko moim zdaniem, największym objawieniem tegorocznego Koszalina. Zjeździł potem wszystkie możliwe wakacyjne przeglądy, zbierając po drodze nagrody publiczności. Za najlepszy debiut uznano go w Gdyni.

Tymczasem jury koszalińskie pod przewodnictwem Filipa Bajona nagrodziło jednak „Chaos” Xawerego Żuławskiego. Nie zgadzam się z tym werdyktem o tyle, że to, co u Żuławskiego jest

¹ Prezentyzm - kierunek analizy historycznej polegający na ocenie zdarzeń, faktów, poglądów i ocen z przeszłości ze współczesnej perspektywy (przyj. red).

wartością – próba powiedzenia czegoś własnym głosem ginie w bełkotliwej szarpaninie motywów i wątków. Ma jednak decyzja jurorów i dobrą stronę. Palkowski ze zdobyciem funduszy na kolejny film nie powinien mieć problemów, natomiast Żuławskiemu niebotyczne 900 tysięcy złotych ufundowane przez prezesa telewizji publicznej może się przydać bardziej.

Pozostałe filmy konkursowe były co najwyżej średnie, ale zestaw tematów, konwencji narracyjnych każe patrzeć w przyszłość z pewnym optymizmem. Bo obok autorskich komentarzy do rzeczywistości, jak ten z niedocenionej „Alei gówniarzy” Piotra Szczepańskiego pojawiło się kino gatunków w postaci ciekawie nieudanego horroru „Hiena” Dariusza Lewandowskiego. Była rzadka w naszym kinie próbka autentycznie zmysłowej erotyki w zabitym naiwnymi alternatywami „Pod powierzchnią” Marka Gajczaka. Była próba absurdałnej komedii w przeholowanym „Salonie masażu” Mariusza Gawrysia, egzystencjalna ballada w skandynawskim stylu

w „Chłopcu na galopującym koniu” Adama Guzińskiego. Każdy z tych filmów miał swoje słabości, ale każdy próbował odmiennego, indywidualnego spojrzenia na rzeczywistość. Nie wpisywał się w stadny instykt, któremu nasze kino zawsze lubiło ulegać. I tylko jeden tytuł nie powinien się w konkursie w ogóle znaleźć – „Spadek” Edwarda Porembnego – Polaka na stałe mieszkającego między Londynem a Paryżem, który zafundował nam nieporadne, infantylne, niezamierzenie śmieszne i zwyczajnie fałszywe spojrzenie na nas samych. Nazwisko Kapuścińskiego jako jednego z producentów tego filmu odrobinę kłuło w oczy.

Szczerłość za szczerłość

Koszalin poza samym kinem kojarzył się zawsze także z rozmowami o nim. Dyskusje prowadzone w latach 70. choćby przez Zygmunta Kałużyńskiego przeszły już do legendy tego festiwalu. I dzisiaj w Koszalinie widzowie chcą



fol. Grzegorz Polaniecki

rozmawiać o tym, co zobaczyli. I nadal twórcy czują sporą treść przed spotkaniami z widzami zadającą niewygodne pytania.

W tym roku ta chęć do rozmowy była jakby odrobinę mniejsza. Jakby rozmach festiwalu objętego patronatem telewizji onieśmiała. Ale i tak zdarzały się chwile na innych „milczących” festiwalach prawie niemożliwe. Piotr Szczepański, który jest nie tylko reżyserem „Alei główniary”, ale sam też dystrybuje swój film, wyszedł z roli i sam zaczął zadawać widzom trudne pytania: komu nasze kino jest właściwie potrzebne, skoro prawie nikt na nie nie chodzi? I sprowokował najbardziej burzliwą dyskusję całej imprezy. Ale najważniejsze pytanie postawił sobie: czy robiąc następny film znów trzeba utopić milion złotych, czy zrobić z założenia niszowy film za kilkanaście tysięcy, by pozostać uczciwym. Pytanie ważne, na które muszą sobie odpowiedzieć sami reżyserzy, dysponujący publicznym groszem decydenci z PISF-u, dystrybutorzy, a najlepiej, żeby odpowiedziały też publiczność przychodząca do kin.



Magdalena Cielecka
na koszalińskim festiwalu

fot. Grzegorz Połaniecki

Na żadne istotne pytanie nie udało się, niestety, odpowiedzieć uczestnikom transmitowanej na żywo przez TVP Kultura debaty poświęconej młodemu kinu. Jacek Bromski i Krzysztof Zanussi mówili to, co już wielokrotnie słyszeliśmy, młodzi przeważnie narzekali, a krytycy i widzowie domagali się po prostu dobrego kina. Pomieszenia języków i interesów polskiego filmowego światka ktoś na górze w końcu nie wytrzymał, symbolicznie przerywając transmisję w połowie uderzeniem pioruna w wieżę Babel, w którą przeobraził się na jedno popołudnie koszaliński Domek Kata.

Żywe miasto

Publiczność – aktywna, otwarta na rozmowę oraz wyrazisty klucz programowy imprezy - wyróżnia koszaliński festiwal spośród innych imprez filmowych w Polsce. Liczy się jednak również i to, co obok: warsztaty scenariuszowe, reżyserskie, przeglądy mistrzów polskiego i światowego kina, a także wyjątkowo w tym roku bogaty i ciekawy program imprez towarzyszących. Wszak nie samym kinem żyje człowiek, a koncerty nieśmiertelnego „Dżemu”, niemieckich postrockowców z Tarwater, czy wschodzącej gwiazdy jazzu Anji Garbarek sprawiały, że festiwalem zaczynało żyć miasto wspólnie tworząc atmosferę imprezy. Może jeszcze nie tak świąteczną i wyjątkową, jaka towarzyszyła Nowym Horyzontom w Cieszynie. Ale początek został zrobiony.

Tegoroczną formułę warto rozwijać, bo tego festiwalu potrzebują i młodzi filmowcy, i widzowie, i miasto, i polskie kino, w którym coś nowego budzi się właśnie powoli do życia.

XXVI Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”, organizatorzy: Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Miasto Koszalin, Centrum Kultury 105, od 20 do 23 czerwca 2007

Pod patronatem Misia Uszatka

Dawno, dawno temu, za górami za lasami, za siedmioma rzekami i siedmioma jeziorami, i za siódmą doliną mieszkała sobie... ogromna, kolorowa bańka mydlana, a w niej zupełnie inny świat... Tak mógłby brzmieć początek niejednej bajki, ale tym razem nie o bajkę będzie chodziło, choć wokół bajki i tego, co magiczne, niezwyczajne i fantastyczne będziemy krążyć.

Najpierw jednak muszę wytłumaczyć się z tej bańki. Otóż, gdy myślę o czwartym już Europejskim Festiwalu Filmowym „Integracja Ty i Ja – Bajka”, mam przed oczami ogromne bańki mydlane wyczarowywane przez chodzących na szrudach kłownów, a w tych bańkach odbijające się buzie roześmianych dzieci, gawędzących dorosłych, krzątających się organizatorów, piekących kielbaski kucharzy i machającego łapką Misia Uszatka. A to wszystko działo się wcale nie w bajce, tylko przed gmachem Koszalińskiej Biblioteki Publicznej we wrześniu 2007 roku.

Inny Festiwal

Czym ten Festiwal różnił się od poprzednich edycji? Powiedziałabym, że niemal wszystkim. Po pierwsze inny widz, po drugie odmienny repertuar, a po trzecie i chyba najważniejsze, był to Festiwal dzieci, radosny, roześmiany i głośny. I jak powiedział **Kazimierz Tarnas**, reżyser fil-

mów dla dzieci i młodzieży i jednocześnie członek jury „*ten Festiwal to strzał w dziesiątkę. Wymusza on na producentach, decydentach zajęcie się tematem dziecięcym. To jest podstawa polskiej kinematografii. Dopóki nie będziemy mieli wykształconego, przygotowanego widza dziecięcego, możemy jedynie marzyć, że nasza kinematografia będzie kiedykolwiek prawidłowo funkcjonowała!* Ale od początku...

Naturalnie zaczęło się od tańczących baniek mydlańek i bajkowego korowodu, w którym nie mogło zabraknąć kultowego Misia Uszatka spozierającego przyjaźnie na wszystkich widzów z festiwalowego programu. Pocieszny misio, co „kłapnięte uszko ma”, zapraszał nie tylko na salę kinową, ale również na wystawy (zwłaszcza tę o sobie „Miś Uszatek wita was”), koncerty, pokazy artystyczne, występy i recitale. Wraz z niepełnosprawnymi gwiazdami festiwalu „Zaczarowana Piosenka”, organizowanego przez Fundację Anny Dymnej „Mimo wszystko” w Krakowie, wystąpiły dzieci sprawne – mali artyści ze szkół i Centrum Kultury 105 w Koszalinie. Razem bawili się i śpiewali. Wszyscy uczestnicy Festiwalu, dzieci i młodzież ze szkół integracyjnych województwa zachodniopomorskiego, zwiedzili wystawy: fotograficzną **Grzegorza Funkego** zatytułowaną „Dzieci świata” oraz kolekcję „Lalki świata” **Marka Łątki**.

W festiwalowym holu każdy mógł własnoręcznie uszyć sobie misia i chyba nawet sami organizatorzy nie przewidzieli, że ten punkt programu okaże się jednym z największych hitów Festiwalu. Pierwszego dnia ciężko było dopchać się do stoiska z materiałami, a część dzieci wolała nawet szyć od... oglądania filmów! Początek Festiwalu był przepełniony atrakcjami, a była to dopiero zapowiedź tego wszystkiego, co miało wydarzyć się później...

Projekcje i dyskusje

Już po południu w czasie oficjalnego otwarcia Festiwalu mieliśmy okazję zobaczyć obsypany nagrodami film „Piotruś i wilk”, będący ekranizacją znanego baletu Sergiusza Prokofiewa.

Piotruś żyje w świecie rządzonym przez brutalne zasady, ale dzięki przyjaźni ze zwierzętami - małą Kaczuszką i Ptaszkiem - jest w stanie poradzić sobie nawet z Wilkiem. Przejmująca i nieco mroczna opowieść, wyreżyserowana przez **Suzie Templeton**, wzruszyła niemal całą widownię. Podobnie zresztą jak występ laureatki Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie **Karoliny Sawki**, której wspaniała interpretacja „Laleczki z saskiej porcelany” niejednej osobie głęboko zapadła w pamięć.

Drugi dzień Festiwalu zaczął się od dyskusji „Bez barier” (stałego elementu Festiwalu „Integracja Ty i ja” – dop.red.), prowadzonej przez zaprzyjaźnionego już od lat z Festiwalem profesora **Bassama Aouila**. Była to kontynuacja wykładów zorganizowanych przy współpracy z Instytutem Psychologii Uniwersytetu im. Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, zakończonych wręczeniem certyfikatów. Spotkania te cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród nauczycieli, wychowawców oraz opiekunów niepełno-

sprawnej młodzieży. Wzięło w nich udział blisko 100 osób. Zresztą trudno sobie wyobrazić Festiwal i festiwalowe jury bez profesora Aouila, który od 2003 roku niezmiennie pojawia się na imprezie. „*Bassam jak balsam na duszę*” - mawiają niektórzy. Wnosi on do Festiwalu ciepło i mądrość, a przede wszystkim szerzy ideę potrzeby akceptacji odmienności i zrozumienia potrzeb osób niepełnosprawnych.

Podwójne jury

Nowatorskim pomysłem organizatorów było poddanie filmów konkursowych ocenie dwójki rodzaju jury; jury profesjonalnego, składającego się z twórców filmowych i ludzi filmu, na czele którego stanął Kazimierz Tarnas, oraz jury młodzieżowego składającego się z młodzieży niepełnosprawnej.

Na Festiwalu zaprezentowano dwadzieścia jeden filmów. I były to filmy niezwykle, które trudno zobaczyć na ekranie telewizyjnym w dobie kreskówek rodem ze Stanów Zjedno-



fot. archiwum KBP

czonych. Prawdą jest bowiem fakt, że pośród wielu dziedzin kultury, w których Polacy skutecznie konkurują na rynku międzynarodowym, na szczególną uwagę zasługuje animacja. Na Festiwalu można było zobaczyć filmy mądre, w których świat dobra walczy ze złem, filmy, które jak bajka, mają swoje przesłanie i morał, przede wszystkim jednak były to obrazy piękne plastycznie o ogromnych walorach artystycznych. Takie filmy uczą jak żyć, jak dzielić się sobą i światem, jak odróżnić dobro od zła. I tak nagrodę główną Jury Profesjonalnego otrzymał film „Dwanaście miesięcy” w reżyserii **Zbigniewa Koteckiego** wyprodukowany przez TV Studio Filmów Animowanych Ltd. w Poznaniu. Jury doceniło w nim przede wszystkim niezwykle walory moralne opowieści oraz niebanalną personifikację postaci Miesiący.

Uwagę Jury Młodzieżowego zwrócił natomiast film „Syn Gwiazd”, wyreżyserowany przez **Marka Serafińskiego** i wyprodukowany przez Studio Miniatur Filmowych w Warszawie. Jest to adaptacja prozy Oscara Wilde’a. Film ten szczególnie spodobał się młodym widzom, opowiada bowiem historię znalezionej w lesie chłopca, którym zaopiekowała się rodzina biednego drwala. Chłopak jest przekonany, że jest synem gwiazdy i dlatego jest niezwykle piękny. Wyrasta na przystojnego, lecz niezwykle aroganckiego młodzieńca. Pewnego dnia w wiosce pojawia się żebraczka, która podaje się za jego matkę. Syn gwiazdy nie może znieść myśli, że może być dzieckiem kobiety tak niskiego stanu i przeganiania ją. W jednej chwili staje się brzydki. Kiedy zrozumie swój błąd i swoje okrucieństwo, postanawia ją odnaleźć i błagać o przebaczenie... Przyznając temu filmowi Nagrodę Główną Młodzieżowe Jury doceniło przede wszystkim wartość w nim mądrość życiową oraz sposób postępowania wobec bliskich ludzi.

Zdumiewająca była zgodność jury, co do Grand Prix. Jeden z członków jury profesjonalnego **Zbigniew Korsak** powiedział: - *Byliśmy zaskoczeni, że nasz werdykt był podobny... Integracja jest we wszystkich wymiarach, nawet na*

małym forum jury. Połączone jury (Profesjonalne i Młodzieżowe) postanowiło bowiem przyznać Grand Prix Festiwalu filmowi „Tajemnica kwiatu paproci” w reżyserii **Tadeusza Wilkosa**, wyprodukowanemu przez Anima-POL z Łodzi. Film opowiada historię czterech lalek na co dzień zamieszkujących przedszkole. Pewnego dnia Malutka, Narwana, Buba i Superboj zostają uprowadzeni. Udaje im się uwolnić z rąk porywaczy, gubią się jednak w lesie, gdzie spotykają zasmucone zwierzęta. Przyczyną ich rozpacz są śmieci rozrzucone po całym lesie. Lalki postanawiają pomóc zwierzętom i wspólnymi siłami zwalczyć bandę Śmieciuchów. Kiedy Malutka znajduje tajemniczy kwiat paproci, zostaje obdarzona szczególną mocą i w chwili, gdy zdaje się, że Śmieciisko-Wysypisko opanuje cały las, wypowiada zaklęcie: *„Przyjmij kwiecie me wezwanie. Czaruj cud niechaj się stanie. Niech się potwór ten rozleci. Niech przepadną wszystkie śmieci”* – i jej życzenie zostaje spełnione.

- *Według mnie film, który uzyskał Grand Prix*



fot. archiwum KBP

Festiwalu, porusza bardzo ważną sprawę. Jest to przede wszystkim niebanalna forma edukacji ekologicznej. Z drugiej strony realizuje i pokazuje idee solidarności społecznej ludzi w trudnych sytuacjach, ludzi, którzy sobie pomagają. I co najważniejsze, jest to połączenie marzeń, cudu i woli człowieka – tak podsumował wybór jury prof. Bassam Aouil.

Reżyser filmu, Tadeusz Wilkosz nie tylko zaprezentował na Festiwalu swój film, ale również spotkał się z widzami po jego projekcji. Oprócz lalek – bohaterów „Tajemnicy Kwiatu Paproci” - przywiózł ze sobą innego stworzonego przez siebie znanego bohatera bajkowego Misia Colargola. Pokazał dzieciom jak „ożywić” lalki i odpowiedział na dziesiątki pytań dociekliwych widzów, dotyczących tworzenia filmów, których bohaterami są lalki.

Animacja bez tajemnic

Nie był jedynym twórcą, który gościł na Festiwalu i który musiał zmierzyć się z pytaniami niezwykle wymagającej publiczności. Jednym z nich był również **Eugeniusz Gordziejuk**

ze Studia Miniatur Filmowych w Warszawie, który pokazywał dzieciom, jak powstaje animacja filmowa. „Posłuchaj, zobacz, wyczarowałem ci Kleksa” – krzyknął do jednej z dziewczynek i wręczył jej folię z podobizną najsympatyczniejszego bohatera stworzonego przez Jana Brzechwę.

Kolejną atrakcją Festiwalu były warsztaty odkrywające tajniki sztuki dubbingu, zorganizowane przez firmę Eurocom z Warszawy. Dzieci miały okazję obejrzeć filmy animowane w oryginale, a potem dowiedzieć się, co to jest kod czasowy, kiedy brać oddech i kiedy startować, żeby później z ust postaci na ekranie usłyszeć swój własny głos...

Więcej, niż festiwal

Trudno na kilku stronach opisać Festiwal, który wymyka się wszelkim kategoryzacjom – bo to nie tylko Festiwal, lecz przede wszystkim długofalowy projekt, który zapoczątkowało ogłoszenie ogólnopolskiego konkursu na słuchowisko radiowe, scenariusz i plakat filmowy oraz bajkę w wydaniu książkowym. Zgodnie z regulaminem uczestnikami konkursu były



fot. archiwum KBP

dzieci z ośrodków i placówek szkolno-wychowawczych, skupiających osoby niepełnosprawne. Laureaci wyłonieni przez specjalnie w tym celu powołane jury zostali zaproszeni na Integracyjne Warsztaty Artystyczne. W Podgórkach, do których przyjechało blisko siedemdziesięciu uczestników, pod okiem fachowców powstawały etiudy filmowe, plakaty, profesjonalnie udźwiękawiano słuchowisko radiowe i fotografowano otoczenie.

Wszystkie prace zostały zaprezentowane w czasie wrześniowego festiwalu, a autorom najciekawszych wręczono nagrody podczas festiwalowej gali. Na plan dalszy szedł fakt, że wszystkie dzieła tworzone były przez osoby niepełnosprawne.

- Ten Festiwal był dla wszystkich, dużych i małych. Dzieci niepełnosprawne mogły poczuć się pełnosprawne w towarzystwie dzieci sprawnych. Wiem, jak głupio czuje się człowiek, który jest inny, niż wszyscy dookoła. To taka przepaść. Dzieci pokonują tę przepaść. Piękne bajki uczą i sprawiają, że dziecko lepiej poznaje otaczający je świat. Bardzo potrzebny jest taki

Festiwal, bo wtedy dzieci się cieszą z tego, że mają coś dla siebie - Olga, 9 lat, uczestniczka Festiwalu

Niewątpliwie był to, jak zwykle zresztą, Festiwal niezwykły. Bo jakże inaczej skomentować fakt, że dzieci - sprawne i niepełnosprawne - razem szyją misie, razem tańczą i śpiewają, razem siedzą w kinie i wychodzą roześmiane z sali po obejrzeniu pięknych filmów, by zobaczyć w holu malującą ustami Dorotę Szachewicz. I nikt nie pyta, kto jest niepełnosprawny. Każdy podziwia, co może drugiemu człowiekowi dać i co sam dostaje, mimo czasami wielkich ograniczeń. Bo najpiękniejsze w tym Festiwalu jest to, że każdy potrafił z siebie dać coś naprawdę pięknego. Stąd jego niepowtarzalność, magiczność i cudowność. Resztę można między bajki włożyć...

IV Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja”. Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (Oddział Zachodniopomorski) w ramach programu „Partner III”, Urząd Miasta w Koszalinie, Koszalińska Biblioteka Publiczna, od 13 – 16 września.



Niezapomniane spotkania z Włodzimierzem Wysockim

(w relacji gościa festiwalu)

Mimo upływu lat Włodzimierz Wysocki nadal przyciąga coraz to nowe pokolenia wielbicieli swojej poezji, pieśni, filmów i kreacji aktorskich, stworzonych na deskach sławnego Teatru na Tagance. Od wielu lat – począwszy od tragicznego 25 lipca 1980 roku, kiedy to głos Wysockiego zamilkł na zawsze, wierni przyjaciele przychodzą na jego grób na starym moskiewskim cmentarzu, aby się spotkać, porozmawiać, wymienić zdobyte materiały. Ci, którym do Moskwy za daleko, zbierają się w przestrzeni wirtualnej na wielkim forum Wysockiego, forum niezwykłym, bo udostępniającym światowemu gremium liczne odkrycia, dotyczące jego życia i twórczości. Właśnie na owym forum świat „wyznawców” Wysockiego dowiedział się o niebywale cennym odkryciu polskiej badaczki Marleny Zimnej. Niektórym z nich, w tym piszącej te słowa, udało się znaleźć wśród widzów kina „Alternatywa” i przeżyć niepowtarzalne chwile na koszalińskim festiwalu.

Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim odbył się po

raz pierwszy w roku 2003 dla upamiętnienia 65. rocznicy urodzin poety i od razu zdobył sobie wierną publiczność, stanowiącą jednocześnie jury festiwalu. W 2007 roku miała ona przed sobą wyjątkowo trudne zadanie. Rok 2007 zapisze się bowiem jako rok wyjątkowy nie tylko w kronikach koszalińskiego Muzeum Włodzimierza Wysockiego, ale i w pamięci międzynarodowej społeczności wielbicieli talentu rosyjskiego poety i aktora. Dzięki ogromnej wiedzy i wytrwałości dyrektora Muzeum dr Marleny Zimnej zostały odnalezione nieznane dokumenty filmowe, które przykuły uwagę światowych mediów i sprowadziły do Koszalina znawców biografii i twórczości Wysockiego z kraju i z zagranicy.

Organizatorzy zadedykowali tę edycję festiwalu **Jerzemu Gościkowi**, zmarłemu w 2003 roku znanemu polskiemu kinooperatorowi, autorowi jednego z odnalezionych w archiwach filmów. Dzięki współpracy Muzeum Włodzimierza Wysockiego, Miejskiego Ośrodka Kultury i Koszalińskiej Biblioteki Publicznej kino „Alternatywa” stało się miejscem interesujących spotkań i gorących dyskusji wśród wiernych przyjaciół festiwalu i gości, zaproszonych tu po raz pierwszy.

Konkurs filmów

Do przeglądu konkursowego zakwalifikowało się **12 filmów**: z Rosji (w tym znane filmy moskiewskich twórców Aleksandra Kowanowskiego i Igora Rachmanowa „Gdzie wy, wilki?” i „Hamlet z Placu Tagańskiego” oraz dokument twórców telewizyjnych z Samary, **Witalija Dobrusina** i **Andrieja Pekera** o koncertach artysty w Kujbyszewie-Samarze), film z Kazachstanu (o wizycie Wysockiego w Czymkencie), z Polski (film **Marcina Urbana** z 2005 r. „Idol”), z Ukrainy (film z 1986 r. „Wspomnienie”, jeden z pierwszych filmów o Wysockim, z udziałem sławnej pieśniarki – **Eleny Kamburowej**, Belgii („Syberia. Vladimir Vissotzki” – z pieśniami Wysockiego w języku... flamandzkim), Szwecji („Vladimir Vysotskij: rosyjski poeta i aktor” **Petera Berggrena**

– film znany widzom z polskiej premiery telewizyjnej), Norwegii (recital znanego pieśniarza **Jorna Simena Overli**), Francji i Stanów Zjednoczonych (film z 1981 roku „Nie masz proroka we własnym kraju” zrealizowany przy pomocy **Miłoša Formana** na wydziale kinematografii University of Columbia).

Po długich debatach w kuluarach gościnnego kina „Alternatywa” werdyktem jury festiwalowego statuetkę **Grand Prix V** Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim otrzymał film **„Samarskie losy”** („Samarskiye sud’by”). Film W. Dobrusina i A. Pokera stanowi odrębny odcinek serialu TV Samary pod tym właśnie tytułem i opowiada historię dwóch znanych koncertów Wysockiego w Kujbyszewie, z których jeden był pierwszym jego występem przed ogromną, kilkutyśieczną widownią. I o tym, jak ów niebywały sukces przemienił się w gorycz, gdy w 1968 r. ruszyła polityczna nagonka na pieśni Włodzimierza Wysockiego, a kierująca kujbyszewskim wydziałem ideologicznym komitetu miejskiego partii Lidia Denisowa zagroziła: „Póki ja tu jestem, noga Wysockiego w Kujbyszewie nie postanie”. Film zrealizowano w formie dramatycznej opowieści dwóch świadków – dziś zarządzających dwoma muzeami Wysockiego w Samarze.

Samarscy goście odwiedzili się koszalińskiej publiczności realizując przez wszystkie dni trwania festiwalu **film o koszalińskim spotkaniu**, który widzowie będą mogli zobaczyć w kolejnej styczniowej edycji spotkań z Wysockim.

Unikaty fotograficzne i filmowe...

Zmagania konkursowe nie przesłoniły innych atrakcji spotkania miłośników rosyjskiego artysty w 2007 r. Otwarcie festiwalu zbiegło się bowiem z otwarciem interesującej wystawy fotograficznej, będącej również rezultatem poszukiwań dr M. Zimnej w polskich i zagranicznych archiwach.

„Moskiewski Hamlet w Warszawie. 1980 r.” to 26 zdjęć **Teodora Walczaka**, wówczas foto-

reportera „Sztandaru Młodych”, zachowanych na negatywie numer 387352. Zdjęcia wykonał autor w czasie próby spektaklu na scenie Warszawskiej Operetki. Sławny reżyser Teatru na Tagance, Jurij Lubimow nie zezwalał na dokumentację fotograficzną i filmową w czasie trwania spektaklu dla publiczności. Tym cenniejsze są dla nas te unikatowe fotografie, pokazujące ostatnie zagraniczne występy Włodzimierza Wysockiego - w Polsce, w maju 1980 roku.

I wreszcie – **pozakonkursowy pokaz** odnalezionych w tym samym, szczęśliwym dla Muzeum Wysockiego 2006 roku, dwóch filmów, do tychczas nieznanym miłośnikom rosyjskiego



Dr Marlena Zimna

fot. archiwum Muzeum
Włodzimierza Wysockiego

artysty: pierwszy z nich przemknął wprawdzie w 1980 roku przez ekrany telewizorów i kronikę filmową w maju 1980, aby później ugrzęznąć na długo w archiwach filmowych, o drugim nie słyszano nawet w ojczyźnie Wysockiego, choć miejscem zdjęć jest ... Moskwa.

Jest maj 1980 roku, na gościnne występy do Polski przybywa Teatr na Tagance. Ciężko chory Wysocki-Hamlet przebywa w szpitalu we Francji. Atmosfera niepewności: czy legenda rosyjskiej pieśni autorskiej i teatru Lubimowa przyjedzie do Warszawy...Przyjechał. I zagrał duńskiego księcia z taką energią i siłą, że publiczność polska pożegnała go owacją na stojąco. Niektóre ówczesne recenzje kapryśnych krytyków teatralnych różnie oceniały polski występ Włodzimierza Wysockiego. Teraz, po latach, dzięki odnalezionemu filmowi możemy im głośno zaprzeczyć: widzimy i słyszymy, jak wspaniały kontakt nawiązany został z publicznością, zadziwiając nawet samych aktorów Teatru na Tagance.

Film drugi, to również niebywała atrakcja: polski kinooperator, współautor najślawniejszych filmów Jerzego Hoffmana, Jerzy Gościk z myślą o obchodach 50. rocznicy Rewolucji Październikowej sfilmował w lecie 1967 roku moskiewską prywatkę u aktorki filmowej,

doskonale znanej i polskim miłośnikiem rosyjskiego kina – Swietłany Swietlicznej. Wśród gości spotykamy Władimira Iwaszowa (bohatera „Ballady o żołnierzu” Grigorija Czuchraja) i Nikołaja Gubienko, późniejszego ministra kultury, wcześniej wykonawcę głównych ról na Tagance przed Wysockim, i samego Włodzimierza Wysockiego w towarzystwie ówczesnej żony i matki jego dwóch synów, pięknej Ludmiły Abramowej. W trakcie towarzyskiego spotkania Wysocki śpiewa – w kadrach kroniki słyszemy znaną wszystkim pieśń „Żagiel” („Parus”), w pozostałym materiale również „Zbiorowe mogiły” (Bratskije mogiły) i piosenkę do filmu „Pion” (Wertikal) - „Alpinistka” (Skałozazka).

To **pierwsze zagraniczne zdjęcia filmowe** Włodzimierza Wysockiego, tym większa radość, że zrobił je polski operator, a dzięki staraniom koszalińskiego muzeum mogliśmy je zobaczyć jako pierwsi w świecie na ekranie kina „Alternatywa”.

W trakcie festiwalu usłyszeliśmy również interesującą zapowiedź wydawniczą: to polskie wydanie książki **Ireny Wysockiej**, stryjecznej siostry poety, **„Mój brat Wysocki”**, opowiadającej o dzieciństwie Włodzimierza i jego rodzinnych związkach z Polską.



fol. archiwum Muzeum Włodzimierza Wysockiego

...i żywa pieśń

Spotkanie z Wysockim bez żywej pieśni obejść się nie mogło. Zadbali o to organizatorzy festiwalu, sprowadzając na scenę festiwalową ciekawych artystów: młodziutką adeptkę sztuki aktorskiej z Warszawy – **Olgę Tralle** (z ciekawą, prawie hip-hopową interpretacją piosenek Wysockiego) i aktora Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, **Grzegorza Wiśniewskiego**. W pamięci widzów na długo pozostanie przede wszystkim piękny recital artystki krakowskiego kabaretu artystycznego „Loch Camelot” – **Lady Gorpienko**, przypominającej urodą Marinę Vlady, choć jej interpretacje – w przeciwieństwie do znanych nam wykonań francuskiej aktorki – brzmiały drapieżnie i bardzo współcześnie.

V Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Wysockim zapisał się złotymi zgłoskami w pamięci widzów, którzy z niecierpliwością oczekują już następnego spotkania.

Muzeum koszalińskie – jak już dzisiaj wiemy – przedstawi gościom swoje kolejne odkrycia naukowe.

Koszalińskie muzeum „w świecie”

Rok 2007 to także spotkania dr Marleny Zimnej z wielbicielami Wysockiego poza rodzinnym miastem. W sierpniu zbiory fotograficzne koszalińskiej placówki wędrują do Krakowa na kolejne zaproszenie **Krakowskiego Instytutu Sztuki** i lokują się w przytulnym klubie z tradycjami – „Pod Jaszczurami”. Widzowie po raz pierwszy mają okazję obejrzeć Włodzimierza Wysockiego w obiektywie znanych mistrzów fotografii – Walerego Płotnikowa z Rosji, Wilhelma Michajłowskiego z Litwy, Zafera Galibowa z Bułgarii, Dmetersa Balla z Węgier, a także oryginalne zdjęcia amatorskie, w tym kronikę fotograficzną pogrzebu Wysockiego w czasie trwania Olimpiady w Moskwie.

Impreza, mimo wakacyjnej już pory, cieszyła się wielkim powodzeniem wśród krakowian, którzy licznie przybywali obejrzeć wystawę i wziąć udział w wieczorach z filmami doku-

mentalnymi o Wysockim. W ramach krakowskiego spotkania odbyła się również promocja zapowiadanej w czasie koszalińskiego festiwalu książki „Mój brat Wysocki”, wydanej przez krakowskie wydawnictwo Collegium Columbinum w polskim przekładzie D. Siess-Krzyszczkowskiej. Książka zawiera także mini-dysk CD z pięcioma pieśniami Wysockiego.

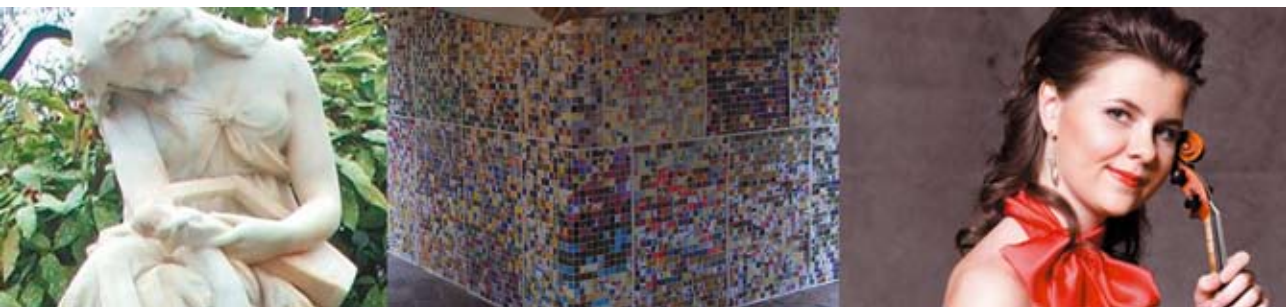
I kolejna krakowska impreza w 2007 roku: **43 Studencki Festiwal Piosenki**. „Miejsca spotkania nie można zmienić” – tak brzmi oryginalny tytuł kultowego już serialu kryminalnego Stanisława Goworuchina z Włodzimierzem Wysockim w roli kapitana Żeglowa (polski tytuł filmu nadawanego w telewizji – „Gdzie jest czarny kot?”). I właśnie odcinki tego filmu przedstawiła krakowskiej publiczności dr Marlena Zimna. Młodzi widzowie zapoznali się z laureatem koszalińskiego przeglądu – filmem „Samarskie losy” i z czeczeńskim wątkiem w artystycznej biografii Wysockiego: dokumentem z koncertu w Groznm, gdzie przyjmowano go z honorami w podzięcie za pieśń „Leciąło życie” (Letela zhizn) opowiadającą o niedoli narodu czeczeńskiego.

I wreszcie **I Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Warszawą”** w dniach od 9 do 18 listopada: Koszalińskie Muzeum Włodzimierza Wysockiego przedstawia wystawę fotograficzną, która prezentuje zdjęcia poety i artysty w towarzystwie wybitnych przedstawicieli rosyjskiej kultury: m.in. Michaiła Barysznikowa, Bułata Okudźawy, Konstantina Simonowa, Siergieja Jutkiewicza. W ramach warszawskiego festiwalu odbyła się oficjalna projekcja filmu z Czarnogóry (1974, Titograd, ob. Podgorica), odnalezionej przez Marlenę Zimną w archiwach telewizji w Zagrzebiu.

V Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych „Pasje według świętego Włodzimierza”. Muzeum Włodzimierza Wysockiego w Koszalinie, Koszalińska Biblioteka Publiczna, od 20 do 22 stycznia 2007 r.



NASI W ŚWIECIE



Fotografia jako refleksja

Kilka (socjologicznych) uwag o wystawie „Koledzy. Spotkanie przez fotografię” i o zdjęciach Zdzisława Pacholskiego

Chcę tu napisać – trochę razem, a trochę osobno – o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o wymyślonym i zrealizowanym przez **Zenona Harasyma** projekcie – zbiorowej wystawie pod tytułem „Koledzy. Spotkanie przez fotografię”.¹ Po drugie, o zatytułowanym „Kod zbiorowej refleksji” cyklu fotografii **Zdzisława Pacholskiego**, który znalazł się na wspomnianej wystawie i stanowił jeden z jej najciekawszych akcentów.

Najpierw o projekcie Zenona Harasyma

Wydaje się, że projekt „Koledzy. Spotkanie przez fotografię” wyrasta zarówno z lęku przed

wszystkimi złymi konsekwencjami postępującego rozproszenia środowiska artystów fotografów (artystów w ogóle), jak i z nadziei, że proces ten da się, być może, jeszcze powstrzymać. Co jednak miałoby w praktyce oznaczać jego powstrzymanie? Powrót do artystycznej wspólnoty, lub (choć) do wspólnoty artystów? To byłby program maksimum. Ale byłby to również program zdecydowanie najmniej realny. Z roku na rok łączy nas bowiem coraz mniej. Różnimy się (jak zawsze i na nasze szczęście) pod względem postaw artystycznych. Jednak różnimy się także - i to coraz wyraźniej, coraz bardziej spektakularnie - pod względem naszych sytuacji życiowych. Wielu z nas *de facto* odeszło od fotografii. Wielu fotografuje wyłącznie dla pieniędzy. Są wśród polskich artystów fotografów i bogacze i biedacy. Są tacy, którzy potrafią być dla siebie skutecznymi menedżerami. Są i tacy, którzy są tej umiejętności zupełnie pozbawieni. Część z nas nadal fotografuje, choć nie ufa już fotografii i w głębi duszy przestała ją cenić. Inni - dokładnie na odwrót: dziesiątki razy zrywają z fotografią po to, by po niedługim czasie znów do niej powrócić - jednak za każdym razem inaczej, z innych powodów i w innym celu.

Trudno w tych okolicznościach odnaleźć jakiś **zakres wspólności** i jakąś przestrzeń wspólnych interesów. Trudno się na cokolwiek **umówić** i trudno się do czegokolwiek **zmówić**. I tak już najpewniej zostanie.

Nierealność wspólnoty ufundowanej na podobieństwie interesów i (lub) na podobieństwie doświadczeń biograficznych nie przekreśliła ani potrzeby ani **powinności** spotykania się i rozmawiania z sobą. Od razu jednak rodzi się pytanie: po co się spotykać, po co i o czym roz-

¹ W połowie 2006 roku Zenon Harasym zwrócił się do wszystkich członków Związku Polskich Artystów Fotografików z propozycją wykonania autoportretów, których integralną częścią będzie dołączone do zaproszenia zdjęcie z podobizną autora projektu. „*Wspólny autoportret* – napisał w zaproszeniu Harasym – *to zapoznanie się przez fotografię, to także dowód wzajemnego porozumienia i akceptacji idei projektu*”. Na apel Harasyma odpowiedziało 26 artystów. Premiera wystawy „Koledzy. Spotkanie przez fotografię” odbyła się w lutym 2007 roku. Wystawa była eksponowana w Muzeum Miejskim Wrocławia.

mawiać? Najprostsza i najbardziej oczywista odpowiedź: po to, by budzić wzajemne zainteresowanie własną twórczością. Może jeszcze też po to, aby stwarzać sobie (i innym) okazje do sygnalizowania własnej bezradności - poznaczczej, artystycznej, adaptacyjnej itd. - w cichej nadziei, że te sygnały zostaną zauważone i że ktoś odpowie na nie wsparciem, które nie będzie upokarzające. I może po to, aby wzajemnie znajdować się w roli **kooperantów**, potencjalnych współwykonawców - mimo wszystko - **wspólnych** przedsięwzięć.

Ale paradoksalnie - im wszystkie te spotkania i rozmowy są rzadsze i im bardziej są one **odświętne** (a są, bo w zasadzie nie może być dziś inaczej), tym też bardziej wydają się nam one krępujące i koniec końców, sztuczne, nieudane. Nie da się, a w każdym razie jest bardzo trudno rozmawiać z sobą szczerze i uważnie wówczas, gdy wszyscy rozmówcy wiedzą, że być może nie będzie już następnej okazji do spotkania. W sytuacjach takich rozmowy zazwyczaj zamieniają się w swoisty ceremoniał lub jeszcze gorzej - w wymianę (pozornie) wzniosłych i (au-

tentycznie) pretensjonalnych deklaracji.

Są jeszcze przynajmniej dwa, równie poważne problemy.

Po pierwsze: w miarę wrastania w „realny kapitalizm” zaczęliśmy mieć - jako artyści i jako indywidualia należące do społeczeństwa, które musiało się w krótkim czasie radykalnie przekształcić - coraz większe trudności z jednoznacznym komunikowaniem naszych indywidualnych i zbiorowych tożsamości. Zwiększająca się liczba ról, w jakich chcemy (bądź musimy) występować oraz narastająca złożoność, wieloaspektowość i wielowymiarowość naszych społecznych **uwikłań** sprawiają, że przestajemy umieć **mówić o sobie**. Coraz trudniej nam bowiem zgadywać, za kogo - tak naprawdę - biorą nas nasi partnerzy społeczni i z uwagi na co, na jakie kawałki naszych „ja” możemy być dla nich ważni i interesujący.

Po drugie: nabraliśmy przekonania, że ze spotkań zawsze (powinno? musi!) coś wynikać. (W naszych czasach handlowcy, którzy dużo rozmawiają ze swoimi klientami, lecz ostatecznie niczego im nie sprzedają, szybko tracą swo-



„Koledzy. Spotkanie przez fotografię” - praca Zdzisława Pacholskiego

je posady). Tym samym zinstrumentalizowali-
śmy nasze spotkanie się i nasze komunikowa-
nie się między sobą. Stoimy dziś o pół kroku od
interesownej towarzyskości.

A teraz o fotografiach Zdzisława Pacholskiego

Przed wszystkim, powiedziałbym, że te zdje-
cia w uderzająco trafny sposób ilustrują wszy-
stkie dylematy, napięcia i wątpliwości, o których
napisałem powyżej. Są gorzkim i zarazem iron-
icznym odbiciem narastającego wśród arty-
stów przekonania o ich społecznej zbędności
i o ich bezradności w zderzeniu z „młodokapita-
listyczną” rzeczywistością naszego kraju.

Dwa kluczowe symbole użyte przez Pachol-
skiego: symbol kodu kreskowego i symbol bil-
boardu odsyłają w czytelny i oczywisty sposób
do urzeczowienia. Artysta – Pacholski i artysta
w ogóle zostaje w tych zdjęciach sprowadzony



„Koledzy. Spotkanie przez fotografię” - praca
Zdzisława Pacholskiego

do roli produktu, który ma szansę na społecz-
ną obecność jedynie wówczas, gdy zaakceptu-
je reguły **marketingu artystycznego** (i jedynie
wówczas, gdy przyjmie do wiadomości, że musi
zaproponować się rynkowi jako **nowość**).

Z jednej strony, w diagnozie, jaką stawia Pa-
cholski, nie ma niczego nowego. Wiemy już
od dziesięcioleci, że sztuka współczesna karmi
się przede wszystkim nowościami oraz, że nie-
zależnie od tego, iż większość współczesnych
artystów deklaruje dystans wobec jakichkol-
wiek form i przejawów **ekonomii artystycznej**,
w rzeczywistości jest zgoła inaczej. Przynaj-
mniej od czasów Andy’ego Warhola artyście
wolno być również celebrytą (a więc kimś zna-
nym z tego, że jest znanym – dop. red.), zaś
przynajmniej od czasów pojawienia się pun-
ków w rodzaju Johnny’ego Rottena wiemy, że
strategia krytykowania kultury głównego nur-
tu jest nie tylko dobrym interesem, lecz także,
że w błyskawicznym tempie prowadzi ona do
okrzyknięcia niedawnych obrazoburców nowy-
mi klasykami poszerzającymi granice kulturo-
wego *mainstreamu*.

Ale z drugiej strony zdjęcia Pacholskiego –
i to dopiero czyni je głęboko mądrymi – za-
wierają w sobie także i inne, o wiele moim zda-
niem bardziej intrygujące przesłanie. Odczytują
te zdjęcia jako bardzo osobistą i bardzo pry-
watną próbę rozprawienia się z czymś, co okre-
śliłbym mianem **artystycznej winy**. Pierwszy
wymiar owej „artystycznej winy” dotyczy prze-
świadczenia o własnej **niedostatecznej obec-
ności i niedostatecznej widzialności jako
artysty**. Drugi wiąże się z (również domniemy-
waną) własną współodpowiedzialnością za ato-
mizację społeczności artystów (i za zgubienie
z oczu nie tylko tych dawnych artystycznych
przyjaciół, o których wiadomo, że radzą so-
bie – jako artyści i jak osoby - w miarę dobrze,
lecz także i tych, o których wiadomo, że radzą
sobie nienajlepiej).

W pierwszym przypadku „tytułem do winy”
jest brak dostatecznego sprytu, brak wystarczają-
cej siły przebicia. Pacholski umieszczając swo-

ją podobiznę na billboardach mówi trzy rzeczy równocześnie. Po pierwsze, komunikuje, że rozpoznaje nowe artystyczne reguły gry (**albo cię widać, albo cię nie ma**). Po drugie, ironicznie się od tych reguł dystansuje. Ale po trzecie – ów dystans zawiera jednak w sobie pewien element ambiwalencji (z jednej strony wszyscy element utowarowienia sztuki i utowarowienia artysty zaszedł za daleko, lecz z drugiej strony wszyscy lubimy również pomyśleć sobie od czasu do czasu, że bycie artystą – celebrytą może być całkiem sympatyczne i że werdykty rynku mogą być, mimo wszystko, sprawiedliwsze od werdyktów krytyków).

W drugim przypadku „artystyczna wina” wiąże się z niedostateczną solidarnością ze wszystkimi przegranymi i przegrywającymi artystami. „Zwykłe” portrety Harasyma skonstrastowane z „niezwykłymi”, billboardowymi wizerunkami Pacholskiego można odczytywać jako nawiązanie do (dość cały czas deprymującej dla większości z nas) sytuacji, w której doświadczając coraz to nowych dzielących nas dystansów nie bardzo wiemy co z nimi zrobić i jak na nie reagować. Pacholski, wchodząc tu w rolę tego **lepszego**, a w każdym razie tego **wygranego**, dokonuje symbolicznego samowyobcowania i zarazem ostrzega przed nim, pokazuje jego śmieszność, jego iluzoryczność oraz jego społeczne i osobiste koszty. Artystyczny gest Pacholskiego jest ryzykowny (choćby dlatego, że może być opacznie zrozumiany). Ale właśnie dlatego, że jest ryzykowny, jest również wart uwagi. Pacholski użyczając swej twarzy umownemu **Wygrywającemu Artyście** nie tyle nawet dystansuje się od artystycznego wyścigu

(choć to pewnie też), ile pokazuje, że artysta współczesny może rozumieć otaczającą go rzeczywistość i odpowiednio efektywnie komunikować się ze swoimi odbiorcami (i z innymi artystami) tylko wówczas, gdy umie dostrzec wielość rzeczywistości (również tych społecznych) i tylko wtedy, gdy umie przyjąć cudze perspektywy patrzenia (również te, które wydają mu się obce).

Wszystko to brzmi dosyć pesymistycznie i może sprawiać wrażenie zapowiedzi jeszcze bardziej pesymistycznego podsumowania: że szanse na wolną od fasadowości i autentyczną komunikację między artystami (nie wspominając już o szansach na odrodzenie się wspólnoty artystów) są coraz bardziej iluzoryczne.

Nawet, jeśli to prawda, nie znaczy to, że nie da się w tych okolicznościach sformułować żadnego programu pozytywnego. Wydaje się, że programem takim (minimalnym, lecz sensownym) powinien stać się dziś dla nas nie tyle program nakierowany na intensyfikację (żywej, bądź zapośredniczonej) **komunikacji** między nami, ile program mający służyć **naszemu lepszemu wzajemnemu widzeniu się**.

To i tak bardzo dużo. Ów program nie trzeźnia się z oczu to w praktyce (przynajmniej) informowanie się o tym co robimy. To także większe otwarcie się na siebie rozmaitych artystycznych mikro-kręgów, które dzisiaj wzajemnie się ignorują. To w końcu również odwaga permanentnego oddawania się pod osąd i odwaga nie nachalnego proponowania się w roli **artystycznego współnika**, z którym komuś może być po drodze.

Geometria cytatów

Żyjemy dziś w czasach, na które przypada niebywały w dziejach renesans obrazu i obrazowania. Gdziekolwiek nie spojrzeć i się nie obrócić, wszędzie towarzyszą nam, a bywa, że i naprzykrzają się właśnie... obrazy. Jest to sytuacja w dziejach kultury właściwie bez precedensu i faktycznie więcej z niej wynika dla nas kłopotów aniżeli korzyści. W tej ikonicznej orgii, do której zresztą najbardziej chyba przysłużył się rozwój cyfrowych nośników oraz Internet, trudno przeciętnemu odbiorcy zatrzymać się i delektować dziełem przez czas dłuższy, niż wymaga tego zrobienie zdjęcia w ulicznym automacie. Tymczasem sztuka i jej indywidualny odbiór – nie oszukujemy się – domagają się nieco więcej czasu niż naciśnięcie przycisku w telewizyjnym pilocie. Nawet jeśli przyjmujemy, że artysta może tworzyć dzisiaj dzieło w czasie dość krótkim, to nie ulega wątpliwości, że sam proces wyłaniania się jego idei musiał niejednokrotnie odbywać się dużo wcześniej. Wreszcie kontemplowanie i medytacja nad dziełem nie jest – wbrew pozorom – niczym anachronicznym. Z tej lektury płyną prawdziwe artystyczne i tekstualne rozkosze, które nie umniejszają znaczenia ani nie zamykają drzwi przed szerszym oddziaływaniem dzieła – może ono bowiem zmieniać oblicze zarówno świata jak i naszego życia.

Ten aspekt stopniowego i powolnego interpretowania sztuki jest – jak sądzę – bardzo istotny w recepcji twórczości takich artystów jak **Andrzej Ciesielski**. Jego blisko już czterdziestoletnia działalność twórcza oraz praktyka kuratorska i edukacyjna pokazują jak znamienne – można powiązać te – pozornie odmienne – domeny aktywności. Wszystkie wszakże wymagają – od artysty i odbiorcy – cierpliwości, pasji oraz dialogiczności.

W przeciągu minionych kilku dekad Ciesielski zdążył wziąć udział w kilkudziesięciu wystawach indywidualnych oraz zbiorowych w kraju i za granicą, a także czynnie zajmował się popularyzacją sztuki w formie spotkań, warsztatów, sympozjów; był także kuratorem kilkudziesięciu wystaw w prowadzonej przez siebie w Koszalinie galerii „Moje Archiwum”. Jego prace znajdują się w kolekcjach znaczących polskich muzeów. Od 1994 roku artysta kontynuuje własny projekt artystyczny pt. „Malarstwo i Rysunek”.

Na pokazywanej w słupskiej Baszcie Czarownic wystawie można było zobaczyć ósmą już odsłonę tego cyklu. Na każdej z trzech kondygnacji galerii Ciesielski stworzył paramalarskie instalacje, które z jednej strony obrazowały jego estetyczne (i nie tylko) poszukiwania, z drugiej zaś – wchodziły w dyskurs z kontekstem miejsca, rozumianego jako obiekt architektoniczny i jednocześnie ewokujący własną historię. Jest to ten typ artystycznych działań i poszukiwań, które wnosząc własną tożsamość oraz formę, kreują zupełnie nową sytuację przestrzenną. Podobne strategie oraz narracje wynikają zarówno z refleksji nad miejscem jak i z żywego dialogu nad zmieniającą się czasoprzestrzenią.

Artystyczne interwencje i projekty Andrzeja Ciesielskiego niewątpliwie posiadają swoją genealogię w późnomodernistycznej sztuce końca XX wieku, która reflektowała malarską płaszczyznę i nie odżegnywała się od poszukiwań w obrębie samej estetyki oraz procesualności dzieła. W tym sensie prace koszalińskiego artysty bez wątpienia można sytuować w kontekście powstałych w ostatnich latach prac foto-

graficznych **Tomasza Ciecierskiego**, który – paradoksalnie – także stał się „portrecistą” malarzkiej palety. Istotny jest tu jednak fakt, że Ciesielski – przeciwnie – nie odżegnuje się w swoich instalacjach od przypadku. Wydaje się, że aleatoryzm ten pełni tu istotną funkcję kreującą dzieło, co pozwala widzieć dialog tej sztuki ze spuścizną **Johna Cage’a** oraz artystów spod znaku Fluxusu. Estetyka dzieła i problematyka malarzkiego warsztatu u Ciesielskiego stanowią element pomostu z tym, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się najbardziej aktualne – a mianowicie z refleksją nad (współ)autorstwem dzieła.

Autor „Malarstwa i Rysunku” – i widać to było wyraźnie na słupskiej ekspozycji – składa dzieło z elementów niejednorodnych i pozyskanych z zewnątrz. Jego instalacje składają się z dzie-



Andrzej Ciesielski, Malowanie i rysowanie VIII, Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej Baszta Czarownic, Słupsk, 20 kwietnia – 6 maja 2007

fol. Michał Ciesielski

siątek, a może nawet z setek fragmentów studenckich palet malarskich. Zestawione razem – właśnie na mocy przypadku – konstruują nowe kulturowe i estetyczne całości. Podobnie zresztą rzecz się ma ze złożoną z zapalek instalacją, którą artysta zbudował z nietypowych – bo na przykład „dwugłowych” – zapalek. Cierpliwe i mozolne poszukiwanie odrębności oraz odstępstwa w tworzywie, które z reguły narzuca nam się swą jednorodnością, pełni tutaj ironiczną funkcję. Mamy zatem dyskontowanie standardów, a z drugiej strony – akceptację zbieractwa i afirmację cytatów. Fakt, że Ciesielski w tej pracy zachowuje się jak współczesny didżej dowodzi nonkonformizmu oraz świeżości. Do podobnych zresztą konkluzji w ostatnich latach doszło dość wielu artystów. W tym miejscu przypomina się nieodżałowanej pamięci **Andrzej Szewczyk**, który zawsze powtarzał, że w sztuce nie ma nic do stworzenia, ale wszystko do odtworzenia... Stąd też można sztukę postrzegać jako kulturową całość, która od Altamiry do dnia dzisiejszego zatacza wielkie koło. Cykl powtórzeń jest wszakże wzbogacany o różnicę i – pamiętajmy – to różnica właśnie czyni wszystko.

Efekt przypomnienia i repetycji jest w jakiejś mierze obecny także w pracach Andrzeja Ciesielskiego. Jego geometryczne kompozycje – jakby nieco w Mondrianowskim duchu – równie dobrze mogą u odbiorcy przywoływać poszczerbione starożytne mozaiki. Nie inaczej jest z kompozycjami „zapalczanymi”, które na pierwszy rzut oka kojarzą się z „japońskimi” parawanami. Wszystkie one okazują się cieszyć oko samym wyglądem i lekkością, a przecież jest w tych strukturach zaprzęgnięta określona składnia i rytm, jest przemyślana gra z formą oraz z kolorem. Nie mniej istotny jest też fakt, że Andrzej Ciesielski włącza w obieg sztuki cytaty z innych dzieł bądź warsztatów, co dowodzi, że sztuka jest jedna i może konstruować płaszczyzną spotkania oraz dialogu zarówno w formalnym jak i w społecznym sensie.

Amerykańskie tourné „Cantate Deo”

Był lipiec 2006 roku i XII Światowy Festiwal Chórów Polonijnych, w którym, na zaproszenie koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, wziął udział chór „Vivat Musica” z Seattle. Festiwal zainaugurował koncert, podczas którego wystąpił Męski Chór Katedralny „Cantate Deo”. Występ spodobał się publiczności polonijnej, co zaowocowało zaproszeniem na amerykańskie tourné. Podróż zaplanowano na przełom września i października 2007 roku.

Prezes Domu Polskiego w Seattle **Elżbieta Filipczuk** i prezes chóru „Cantate Deo” **Mirella Telińska** rozpoczęły organizację koncertów i pobytu. Prof. **Przemysław Pałka**, który jest dyrygentem „Cantate Deo” a zarazem dyrektorem artystycznym koszalińskich spotkań polonijnych śpiewaków, po rozmowie z absolwentem koszalińskiego Studium Dyrygentów Polonijnych **Philipem Sewardem** z Chicago zorganizował koncert właśnie w tym mieście, które było pierwszym przystankiem podczas amerykańskiego tourné.

Głównym celem wyjazdu było jednak Seattle, wspólne koncerty, spotkania i wycieczki z miejscową polonią. „Miłość, jaką obdarzyła mnie

rodzina, u której zamieszkałem, spowodowała, że nie chciałem stamtąd wracać” - mówi 19-letni chórzysta **Marcin Stec**. Podobnego zdania jest **Łukasz Żukowski**: – „Życzliwość i ciepło rodzinne polskiego domu obudziły we mnie nutkę patriotyzmu”.

W Seattle oraz okolicach (Tacoma, Lynnwood) odbyło się kilka koncertów, podczas których chórzyci podbili serca Polaków i Amerykanów. Jednym z ważniejszych koncertów był występ podczas obchodów setnej rocznicy poświęcenia Katedry St. James w Seattle. **Barbara Niesułowski** – kierownik organizacyjny chóru „Vivat Musica” nie kryła wzruszenia: „Publiczność na zachodnim wybrzeżu USA została oczarowana. Owacje były na stojąco. Po jednym z koncertów usłyszałam słowa starszego Amerykanina: „I’ve never heard such beautiful music in my life” („nigdy dotąd nie słyszałam tak pięknej muzyki”). Smutno nam było, gdy odjeżdżali, bo swoją młodością, talentem i czarem podbili nasze serca”. „Śpiewają pięknie, mają bogaty repertuar, wspaniałe aranżacje. Niektóre pieśni wyciskają łzy, inne radują. Radość ich słuchać i radość na nich patrzeć. Są skupieni, zdyscyplinowani, oddani muzyce, którą śpiewają” – oceniła artystów chórzystka „Vivat Musica” **Mira Pawluśkiewicz**, mieszkająca w USA od 40 lat.

Mirella Telińska opowiada z zadowoleniem: „Może zabrzmi to nieskromnie, ale uważam, że poziom artystyczny koncertów był bardzo wysoki. Jeśli zespół miał szansę śpiewania w salach koncertowych o dobrej akustyce lub w kościołach, to utwory sakralne takie jak np. „Sepulto Domino” Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego zabrzmiały anielsko”.

Ostatnim przystankiem był Nowy Jork. Chór wziął udział w 70. Paradzie Pułaskiego. Poprzedziła ją Msza św. w Katedrze Św. Patryka na Manhattanie, podczas której śpiewali koszalinianie. Wcześniej odbyły się trzy koncerty: w kościele pw. Św. Stanisława Kostki, w Bibliotece i w świetlicy Domu Polskiego na Greenpoincie.

Katedralny Chór Chłopięcy „Cantate Deo” powstał z inicjatywy ś.p. ks. bp. **Ignacego Jeża** na przełomie lat 1989 i 1990. Od 2004 roku zespół występuje w dwóch składach: chłopięco-męskim i męskim, co zaowocowało zdobyciem srebrnego i brązowego dyplomu na III Międzynarodowym Festiwalu im. F. Nowowiejskiego w Barczewie. Chłopcy zdobyli w listopadzie 2007 r. dwa srebrne dyplomy na I Ogólnopolskim Konkursie „Ars Liturgica” w Toruniu. Chór męski w tym czasie odbył tournée po USA. Obecnie cały chór liczy około 50 osób. Prowadzi też grupy początkujące w szkołach podstawowych. Dyrygentem „Cantate Deo” jest prof. Przemysław Pałka z Akademii Muzycznej w Poznaniu, a indywidualną emisję głosu prowadzi **Maria Wleklińska**, wieloletnia solistka operowa. Od 1993 roku prezesem i kierownikiem artystycznym jest Mirella Telińska.

Zespół uczestniczył w wielu koncertach i konkursach w kraju i poza granicami. W sierpniu 1995 r. chór „Cantate Deo” spotkał się z Janem Pawłem II na audiencji generalnej w Castel Gandolfo, a następnie śpiewał w Wenecji, Padwie, Rawennie, Asyżu, Monte Cassino i Florencji. Brał udział w Międzynarodowych Kongresach „Pueri Cantores”: w Salzburgu (1996), Barcelonie (1998), Rzymie (1999) i Moskwie (2001) oraz w krajowych Kongresach: w Tarnowie (1997), Krakowie (2000), Poznaniu (2003) i Toruniu (2006). Zespół uczestniczy, odnosząc sukcesy, w Światowych Olimpiadach Chóralnych, które odbywają się co dwa lata: w Linzu (2000) zdobył srebrny dyplom, w Busan w Korei Południowej (2002) - brązowy dyplom, w Bremen (2004) - srebrny dyplom.



Chór „Cantate Deo” pod New York Public Library

fot. Paweł Mielcarek

Znów nagroda dla Jolanty Rudnik

Rok 2007 przyniósł dziennikarce Radia „Koszalin” Jolancie Rudnik kolejny sukces. Jej reportaż zatytułowany „W cieniu dobrego drzewa” otrzymał I nagrodę w Konkursie „Wspólna Europa”, na który zgłoszono 25 prac dziennikarzy z całej Polski.

Jak już pisaliśmy przed rokiem Jolanta Rudnik jest doświadczoną dziennikarką redakcji publicystyki Radia „Koszalin”. W radiu pracuje od 1978 roku. Ukończyła Szkołę Główną Planowania i Statystyki oraz Podyplomowe Studium Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. W pracy dziennikarskiej zajmuje się przede wszystkim problematyką społeczną.

Stworzyła wiele reportaży i innych audycji radiowych, w których porusza tematykę stosunków polsko-niemieckich, przedstawia złożoność historii naszego regionu i kontrowersyjne zagadnienia społeczne. Od kilku lat zajmuje się także problematyką unijną.

Jest autorką wielu reportaży nagrodzonych w konkursach ogólnopolskich, m.in. „Polska i świat” i „Pogranicze”. Jest także laureatką Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarzy.

W 2007 roku za najlepszy reportaż uznano opowieść Jolanty Rudnik o spotkaniu i przyjaź-

ni austriackiej pisarki Ute Hoeschele i Zdzisława Pacholskiego, artysty fotografika z Koszalina. W miejscu, w którym obecnie znajduje się pracownia Zdzisława Pacholskiego, niedaleko katedry, kiedyś był warsztat szewski dziadka Ute Hoeschele. Niezwykłość nawiązanej przyjaźni i wartości humanistyczne z niej wypływające, zawarte w reportażu Jolanty Rudnik, ocenione zostały najwyżej przez profesjonalne jury. Między innymi o związkach z Koszalinem i spotkaniem ze Zdzisławem Pacholskim Ute Hoeschele opowiadała podczas spotkania zorganizowanego w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej 16 czerwca 2007 r. (Pisze o nim także w tekście opublikowanym w niniejszym almanachu, w rozdziale „Miscellanea” – dop. red.).

Jolanta Rudnik, „W cieniu dobrego drzewa”, I nagroda w Konkursie „Wspólna Europa”.



Jolanta Rudnik

fol. archiwum prywatne

Młode - zdolne

Katarzyna Gołofit Aleksandra Bałdys



Są uczennicami koszalińskiego Zespołu Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie. W roku 2007 odniosły dwa spektakularne sukcesy w dziedzinie kameralistyki fortepianowej.

W przypadku Katarzyny Gołofit było to III Miejsce w VII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Miłosza Magina, który odbył się w marcu w Paryżu. Aleksandra Bałdys w tym samym konkursie otrzymała wyróżnienie.

Razem grając w duecie obie utalentowane uczennice zdobyły I nagrodę podczas VII Mię-

dzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Juliusza Zarębskiego, który odbył się 11 lipca 2007 w Łomiankach pod Warszawą. Dodatkowo obie uhonorowane zostały dorocznymi Nagrodami Prezydenta Koszalina: Katarzyna Gołofit - indywidualną nagrodą I stopnia, a Aleksandra Bałdys - indywidualną nagrodą II stopnia.

Oto, co napisała nauczycielka obu dziewcząt Jolanta Reszelska, o swych podopiecznych:

Katarzyna Gołofit jest moją uczennicą od piątej klasy szkoły podstawowej. Podczas czterech lat bardzo intensywnej nauki gry na fortepianie osiągnęła wielką biegłość, wzbogaciła repertuar o arcydzieła literatury fortepianowej. Reprezentuje naszą szkołę na wszystkich ważniejszych koncertach szkolnych i pozaszkolnych. Rokrocznie zdobywa wysokie miejsca w międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach pianistycznych.

Aleksandra Bałdys jest młodą pianistką o bardzo interesującej osobowości, którą zawsze wy-



Nagrodzone uczennice ze swoją nauczycielką **Jolantą Reszelską** na paryskim cmentarzu Per Lachaise

fot. arch. Zespołu Szkół Muzycznych

różniali jurorzy konkursów pianistycznych. Obie młode pianistki zostały zaproszone przez Filharmonię Koszalińską do wykonania „Karnawału zwierząt” Camila Saent-Saensa. Dyrygujący orkiestrą Tadeusz Wojciechowski wysoko ocenił grę dziewcząt. Katarzyna Gołofit jest osobą dynamiczną i mądrą, której osiągnięcia i zapał do pracy zasługują na wszelkie dowody uznania.

Wspomniane już sukcesy nie są jedynymi w dorobku podopiecznych J. Reszelskiej. W 2006 roku obie zdobyły II miejsce na VIII Ogólnopolskim Konkursie Kameralistyki Fortepianowej w Toruniu. Katarzyna Gołofit ma w swoim dorobku także wyróżnienie podczas

III Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Władysława Kędry w Łodzi i wyróżnienie IX Pomorskich Warsztatów Pianistycznych „Fermata 2007 r.”

Sukces uczennic jest zawsze sukcesem i radością nauczyciela. Jolanta Reszelska jest nie tylko znakomitym pedagogiem, ale także koncertującą pianistką. Dyplom z wyróżnieniem uzyskała w poznańskiej Akademii Muzycznej, była stypendystką Ministerstwa Kultury i Sztuki. W swoim dorobku ma prawykonania dzieł Zbigniewa Guzewskiego. Koncertowała w Polsce, Niemczech i na Węgrzech. Pracę pedagogiczną rozpoczęła tuż po studiach, zaczynając od Piły.

Marta Kowalczyk



Pokonała 14 konkurentów podczas krajowego finału i reprezentowała Polskę podczas 30. Konkursu Eurowizji dla Młodych Muzyków (ang. Eurovision Young Musicians Competition) w Walijskim Centrum Milenijnym w Cardiff (Walia).

Marta urodziła się w 1991 r. w Koszalinie. Naukę gry na skrzypcach rozpoczęła w wieku sied-

miu lat w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie. Obecnie uczy się w Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej im. Zenona Brzewskiego w Warszawie, pod kierunkiem prof. **Jana Staniendy**.

Jest laureatką wielu konkursów krajowych i międzynarodowych, m.in. I (2005) oraz II (2007) Nagrody na Konkursie Skrzypcowym „Młody Paganini” w Legnicy, III nagrody na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. G. Ph. Telemanna w Poznaniu (2006), I Nagrody na Młodzieżowym Konkursie na Skrzypce Solo im. T. Wrońskiego w Tomaszowie Mazowieckim (2006) i III nagrody na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. J. Kociana w Usti nad Orlicą - Czechy (2007).

Koncertowała na wielu festiwalach: we Włoszech, w Czechach, Norwegii, Niemczech i na Słowacji. Jest stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci. Wielokrotnie otrzymywała Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina.

Daria Zawiałow



W marcu 2007 r. zdobyła I nagrodę Dziecięcego Konkursu Aktorskiej Interpretacji Piosenki, który po raz pierwszy towarzyszył Przeglądowi Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. O tym występie młodej koszalinianki, podopiecznej Mini Studia Poezji i Piosenki, w Centrum Kultury

105 prowadzonym przez **Ewę Turowską**, napisała **Iza Michalewicz** na łamach „Newsweeka”: *Najbardziej laureatów konkursu (przynajmniej kilku z nich) zawstydziła nastolatka - Daria Zawiałow. Po raz pierwszy w historii festiwalu organizatorzy postanowili zrobić konkurs piosenki aktorskiej dla dzieciaków. Pomysł z pozoru tylko niefortunny, bo mógł kojarzyć się z programem „Od przedszkola do Opola”. Ale nic tych rzeczy, co było widać po efektach. Podczas koncertu (Konrad dop. red.) Imiela wręczył Tukana Juniora nastolatce w krótkiej dżinsowej spódnicy i z głową wciśniętą w ramiona. Dziewczynka niepewnie stanęła przy mikrofonie i zaśpiewała song z musicalu Romeo i Julia „Boję się”. No i mnie zatkało. Bo miała głos jak słowik cesarza Chin z baśni Andersena. Rewelacja.*

Daria jest także zdobywczynią I nagrody ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Aktorskiej „Reflektor”, który odbył się w grudniu 2007 r. w Koszalinie.

Diana Staniszewska



Jest osiemnastolatką z Koszalina. Najpierw pokonała kilkanaście tysięcy rywali podczas castingu i zakwalifikowała się do programu

„You Can Dance - Po prostu tańcz” emitowanego przez TVN, by potem w kolejnych odcinkach podbijać serca jurorów i publiczności. Ostatecznie dostała się do półfinału, co było wielkim osiągnięciem. Gwiazda koszalińskiego zespołu „Top Toys” jest uczennicą Zespołu Szkół nr 3.

Paulina Bagińska

Jest kolejną uczestniczką programu „You Can Dance”. Także trenuje w Szkole Tańca „Top Toys” w Koszalinie. Zajmuje się New Stylem, łączy elementy Break Dance, ćwiczy również Harlem Shake.



MISCELLANEA



Pamiętka na piętnastolecie,

czyli o albumie „Miasto papieskie Koszalin”

„Nie jesteśmy Rzymem ani Krakowem, gdzie Jan Paweł II żył i kierował Kościołem: Koszalin to nie Częstochowa ani Kalwaria Zebrzydowska, do kąd często pielgrzymował. A jednak nasze miasto znalazło się pomiędzy wieloma szczęśliwymi, które Ojciec Święty odwiedził na swych apostołskich drogach i ten jeden dzień jest w naszej historii dniem najważniejszym” - ten fragment tekstu pióra ks. **Henryka Romanika**, zatytułowanego „Papieski Koszalin”, a pomieszczonego w albumie „Miasto papieskie Koszalin”, mógłby stać się myślą przewodnią całej książki. Została ona wydana z inicjatywy Kurii Biskupiej diecezji koszalińsko - kołobrzesckiej gwoli upamiętnienia 15. rocznicy wizyty papieża Jana Pawła II w Koszalinie. Czym jest? Wyrazem dumy z faktu, że Papież – Polak odwiedził miasto, które nie jest „Rzymem ani Krakowem”, a mimo to znalazło się na trasie Jego podróży? Dokumentem, świadectwem sporządzonym „dla przyszłych pokoleń”? I jednym, i drugim. O ile jednak z pierwszej funkcji wywiązuje się dobrze, o tyle z drugiej – wzbudzając mieszane uczucia.

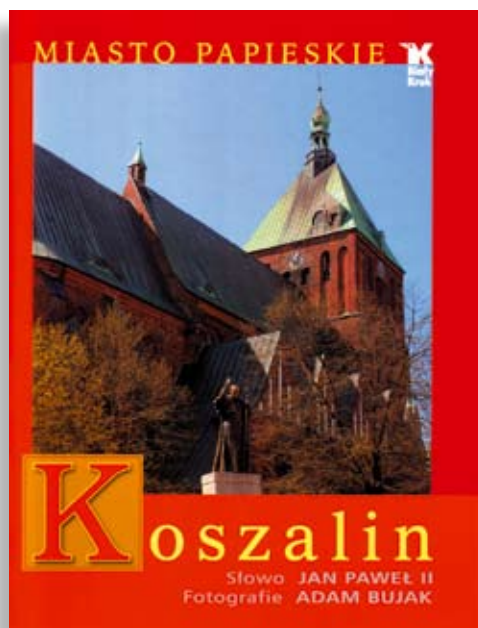
Książka wydana została starannie – choć to dziś, na szczęście, standard w przypadku wy-

dawnictw mieniących się albumowymi – na dobrym papierze, w porządnej oprawie. „Producentem” jest zresztą znana krakowska oficyna „Biały Kruk”. Szata graficzna nie budzi może zachwytu pomysłowością, ale też nie sposób jej krytykować – w końcu to rzecz gustu. Na stronie tytułowej wymieniono dwóch autorów: Jana Pawła II („Słowo”) i Adama Bujaka („Fotografie”). Zdjęcia autorstwa znanego fotografa sąsiadują jednak z pracami papieskiego dokumentalisty **Arturo Mari**, koszalinianina **Zdzisława Pacholskiego** i innych. Podobnie wygląda sprawa „słowa”: obok papieskich homilii i przemówień z pobytu w diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej znajdziemy tu także słowa skierowane bezpośrednio do czytelników, przez - nieżyjącego już dzisiaj - biskupa seniora **Ignacego Jeża**, biskupa **Kazimierza Nycza** (w chwili redagowania albumu ordynariusza diecezji) oraz prezydenta Koszalina **Mirosława Mikietyńskiego**. Największy i najbardziej treściwy spośród tekstów niepapiejskich jest jednak ten, którego fragment zacytowałam na początku – rys historyczny sporządzony przez ks. Henryka Romanika. Otrzymujemy oto opowieść o dziejach chrześcijaństwa na Pomorzu, podaną w charakterystycznym dla tego autora barwnym stylu i dzięki temu przyjemną w lekturze nie tylko dla osób interesujących się historią, ale także dla zupełnych laików, którzy zdecydowanie unikają ciężko naukowych tekstów. „Papieski Koszalin” ma co prawda wyraźne zabarwienie, by tak rzec, konfesyjne - sądzę jednak, że w tym przypadku jest ono całkowicie uprawnione. Książka powstała jako wyraz radości i dumy z obecności w Koszalinie Papieża – autorzy starają się umieścić ten fakt w tysiącletniej historii chrześcijaństwa na Pomorzu, wpleść go w cały łańcuch zdarzeń, podkreślając tym samym jego wymiar nie tylko historyczny, ale także duchowy. Zamierzenie tyleż szlachetne, co niełatwe. Żeby jednak ocenić, czy się powiodło, trzeba dokładnie przestudiować układ książki.

Rozpoczyna ją fotokopia aktu nadania Janowi Pawłowi II przez radę miejską tytułu Ho-

norowego Obywatela Koszalina. Potem czytelnik trafia na krótkie teksty autorstwa biskupa Ignacego Jeża i prezydenta Mirosława Mikietyńskiego, które są wspomnieniami (niepozba-wionymi, zwłaszcza w pierwszym przypadku, odcienia osobistego) dnia 1 czerwca 1991 roku – wspomnieniami pisanyymi z perspektywy piętnastu lat „po pielgrzymce”, ze świadomością, że Papież Polak nigdy już do Koszalina nie przyjedzie. Dalej następuje przeplatany papi-skimi przemówieniami i homiliami fotoreportaż z pobytu Ojca Świętego w Koszalinie (w kate-drze, na placu przed kościołem Ducha Święte-go, na Górze Chełmskiej, w Wyższym Semina-rium Duchownym) i w Zegrzu Pomorskim. Po-tem oglądamy zdjęcia z prywatnej audyencji 12 grudnia 2004 roku, podczas której przedsta-wiciele władz miejskich przekazali Papieżowi tytuł Honorowego Obywatela Koszalina. Tak za-myka się część, którą można by określić hasłem „Papież w Koszalinie”. Dalej – tekst ks. Romanika wprowadza w fotograficzny przegląd najpięk-niejszych i najważniejszych miejsc w Koszali-nie i regionie (Kołobrzegu, Słupsku, Pile i mniej-szych miejscowościach). O ile kryterium „waż-ności” jest tu jasne, wyznaczone bowiem przez wartość duchową prezentowanych miejscowo-ści („opisywane” są one głównie poprzez swe dziedzictwo sakralne – architekturę, rzeźbę), o tyle określenie, co jest „najpiękniejsze”, zdefi-niował wielce subiektywny gust autora zdjęć, a może redaktorów. Czytelnik spoza regionu pozna zatem Koszalin (obfotografowany oczy-wiście najobficie, zgodnie z założeniem całej książki) nie tylko poprzez zabytki i współczesne kościoły (no, i nasz „piękny inaczej” ratusz, któ-rego jednak w takich razach nie wolno pomi-nąć), lecz także wizerunki architektury współ-czesnej, których najgodniejszymi reprezentant-kami uznano, nie wiedzieć czemu, siedzibę Pol-skiego Radia (urody co najmniej dyskusyjnej) i budynek Banku PKO BP przy ul. Młyńskiej. Do-myślałam się, że zamierzano w ten sposób uk-azać ciągłość duchową i historyczną w mieście, w którym gotyk katedry rodzi surowy styl żel-

betonowy współczesnych kościołów, a history-zująca stylistyka przedwojennych willi przera-dza się w... przewracający się (na szczęście tyl-ko optycznie) budynek radia?? Cóż, moje wra-żenia są, oczywiście, czysto subiektywne. Każ-dy czytelnik – koszalinianin musi sam ocenić, czy w taki sposób rozumie materialne przejawy duchowego dziedzictwa swego miasta. Trudno jednak pojąć, czemu owo dziedzictwo nie obej-muje naszego sztandarowego, obok katedry, gotyckiego zabytku – kaplicy świętej Gertrudy (dziś niekatolickiej, ale przecież nadal chrześ-cijańskiej). Niedawno zbudowana cerkiew greckokatolicka, dla naszych gustów może dość kontrowersyjna, ale na pewno niezwykle ważna w koszalińskim pejzażu wyznaniowym, została sfotografowana tak, że... prawie jej nie widać. Może w tym przypadku przydałoby się ujęcie – zamiast artystycznego – jednak bar-dziej dokumentacyjne?



„Miasto papiesskie Koszalin”; słowo: Jan Paweł II, fotografie: Adam Bujak; „Biały Kruk”, Kraków 2007.

Po serii zdjęć z regionu następuje część zatytułowana „Szlakiem Karola Wojtyły”, a więc fotograficzna opowieść o tych miejscach na Pomorzu, w których Karol Wojtyła bywał jako uczestnik spływów kajakowych (tu także pomieszczone zostały zdjęcia archiwalne, przedstawiające przyszłego papieża biwakującego w towarzystwie innych uczestników wakacyjnych wypraw). Potem niespodziewanie następuje powrót z łona przyrody w mury Koszalina: fotografie z obchodów Święta 3 Maja 2006 roku oraz 15. rocznicy pobytu Jana Pawła II w Koszalinie i Zegrzu Pomorskim, wraz ze słowem biskupa Kazimierza Nycza.

Jak widać, konstrukcja albumu wyraźnie się „sypie”. Może problem w tym, że całość nie została zdecydowanie podzielona na części, za to nadmiernie „porcjowana”, w efekcie czego otrzymuje czytelnik mnóstwo rozdziałików, których układ wydaje się niezbyt jasny. Kolejne miejscowości albo wydarzenia anonsowane są tylko niewielkimi napisami u góry stron, tak że ktoś pośpiesznie przeglądający album może się pogubić, czy „Późnorenasansowa Grupa Ukrzyżowania w ołtarzu z 1622” znajduje się w Iwiciu czy w Tucznie, a może jeszcze gdzie indziej. Zresztą, nawet mieszkańcom regionu przydałaby się jakaś informacja o przyczynach wyboru takich a nie innych zdjęć i kilka słów o miejscowościach, w których je wykonano; czytelnikom spoza Pomorza pomocna byłaby chyba najbar dziej – mapka. Także części „pielgrzymkowej” dobrze zrobiłoby przynajmniej kalendarium pobytu Papieża na ziemi koszalińskiej – choć pewnie nie zaszkodziłoby i omówienie, choćby kilkudzaniowe, najważniejszych punktów pobytu. W końcu piętnaście lat to nie piętnaście minut - zdążyło przez ten czas dorosnąć pokolenie czytelników, którzy o wizycie Jana Pawła II mają wspomnienia mgliste albo zgoła żadne.

Rozumiem, że formuła wydawnictwa albumowego nie zawiera w sobie konieczności sporządzenia precyzyjnego opracowania naukowego, natomiast mieści się w niej przyzwolenie na pewną dowolność w komponowaniu „spisu

rzeczy”. Mam jednak wrażenie, że celem wydania „Miasta papieskiego” nie było – a przynajmniej być nie powinno – tylko swobodne zanotowanie luźnych wspomnień o arcyważnym dla dziejów miasta wydarzeniu, lecz także pewne ich uporządkowanie, zarejestrowanie dla przyszłych pokoleń, wreszcie – wpisanie w dzieje polityczne, społeczne i duchowe tego terenu. Tymczasem, choć podczas lektury wyczuwa się taki zamiar, jego realizacja nie do końca się powiodła. W efekcie otrzymujemy książkę, która dla koszalinianina pamiętającego wizytę Papieża będzie piękną pamiątką, czymś w rodzaju rodzinnego albumu, budzącego jego osobiste wspomnienia, jednak dla mieszkańca młodszego wiekiem, szukającego informacji o przyjeździe Papieża, na zbyt wiele się nie przyda. Z kolei czytelnik spoza terenu diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej bardzo mało dowie się zarówno o samym Koszalinie, jak i o pielgrzymce Jana Pawła II, a też niekoniecznie współodczuje z koszalinianami wzruszenie i dumę z tamtą wizytą związane.

Podoba mi się w omawianym albumie próba uczynienia jego głównym bohaterem miasta. Miasta dumnego z Papieża Polaka, wewnętrznie wzmocnionego jego wizytą, silnie zakotwiczonego w dziejach chrześcijaństwa, pewnego swej roli na Pomorzu i w Kościele. Szkoda tylko, że tej pięknej idei nie udało się przełożyć na spójną koncepcję, dzięki której „Miasto papieskie Koszalin” stałoby się księgą wewnętrznie uporządkowaną, spójną, czymś więcej niż tylko bardzo ładnym rocznicowym albumem, bo cennym świadectwem, czytelnym nie tylko dla uczestników wydarzeń sprzed piętnastu lat.

Mimo wszystko – cieszy mnie, że ukazał się przynajmniej taki album, przeglądam go z przyjemnością. Tylko że ja tamte wydarzenia pamiętam...

Spotkanie z udziałem Adama Bujaka, promujące album, odbyło się 7 marca w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Ute Hoeschele

„Polski - to tylko inny język...”

Przed paroma dniami wróciłam z pewnej podróży. Mój bagaż był tak ciężki, że miła paniienka na berlińskim lotnisku Tegel przymykała wszystkie oczy, by jakoś przepuścić moją walizkę przez kontrolę. Mimo nadwagi. Czego waga bagażowa nie mogła zmierzyć przy procedurze checking and boarding, to był ciężar moich wrażeń, które zgromadziłam w tej wyprawie; gdyby dało się uporządkować je w kilogramach i funtach, pewno nie dano by mi wejść na pokład samolotu: za ciężka...

To książki z tytułami „Kultura Koszalińska – Almanach 2006”, „Koszalin w poezji” albo „Koszalin 1901-2000” sprawiły wagę mojej walizki. Rozpoznajecie chyba, że idzie o książki w języku polskim. Książki te w Polsce dostawałam w obfitości nie tylko jako prezent powitalny, ale bardziej jako wyraz głębokiej i serdecznej więzi, która lekką stopą przeskakuje granice językowe. Wydrukowane kompozycje słowne w jakiejś innej mowie.

No tak, moja podróż zaprowadziła mnie do Polski! Dokładniej mówiąc: do Koszalina, dawniejszego Koeslina na Pomorzu. Żyli tam moi przodkowie, aż wielki marsz i piekło końca wojny wyrwało ich z rodzinnych stron i wypłuło na nowym brzegu. Setki kilometrów dalej na za-

chód w okolice Kassel. Podobnie bezlitosna fala wydarła wiele tysięcy Polaków z ich miejsc pochodzenia, wyrzuciła ich niemiłosiernie wiele kilometrów dalej na zachodzie, na jakiejś obcej i niegościnniej plaży...

Pojechałam do Koszalina w Polsce, w województwie zachodniopomorskim, czyli jak my mówimy: Westpommern. Spokojne miasto z jakimś 110 tysiącami mieszkańców leży blisko Bałtyku oparte o zbocza Góry Chełmskiej, pasmo zalesionych wzgórz. Z wieloma, kwiatami porośniętymi placami i jeszcze liczniejszymi, pielęgnowanymi prastarymi parkami, obmywane Dzierżęcinką, rzeczulką, która dopływa do jeziora Jamno. Z niezliczonymi budowlami z czasów niemieckich, w czerwono-ceglanym pruskim stylu, i jednocześnie z mnóstwem nowoczesnych domów; wyjątkową uwagę zwracają gmachy Radia Koszalin! I by nie przegapić: zwiastuny globalizacji w postaci sklepów LIDL'a i filii McDonalds'a.



Ute Hoeschele

fot. Zdzisław Pacholski

Podróż ta miała dwa powody: najpierw chciałam lepiej poznać ojczyznę moich przodków, a zatem także moje własne korzenie. Po drugie, ważniejszym powodem były odwiedziny u przyjaciela: „Niezwykła przyjaźń fotografa i pisarki”, jak potem nazwała to „Gazeta Wyborcza”. Od paru lat rzeczywiście niezwykła przyjaźń wiąże mnie z koszalińskim artystą i fotografikiem **Zdzisławem Pacholskim**. Już sposób naszego pierwszego spotkania miał nadzwyczaj nietypowe momenty, nadają się one do napisania jakiegoś scenariusza.

Przed dwoma laty byłam pierwszy raz w Koszalinie i zostałam jakby magnetycznie przyciągnięta do miejsca, do dawnej ulicy Bednarskiej (Boettcherstrasse, dziś ul. Kard. S. Wyszyńskiego), gdzie przed wielu laty mieszkał mój ojciec. W cieniu katedry, w centrum miasta. Właściwie żaden ślad nie przypominał starego domu rodzinnego, który został zburzony, a nowe budynki stanęły na tym placu. Gdyby nie podwórko z potężnym starym dębem, pewno odjechałabym z Koszalina bez głębszych przeżyć. W cieniu tego wiekowego drzewa jednak nagle pojęłam, że on przetrwał wszystkie czasy, wszystkie zmiany na tej niemiecko-polskiej ziemi. Ojciec i nawet mój dziadek – znali to drzewo. A ja rozpoznałam w nim jakąś część opowiadań rodzinnych, które naraz powróciły w mojej pamięci. Może ja sama siebie rozpoznałam?

Z boku budynku jest studio fotograficzne. Przypadek albo logika losu doprowadziły mnie tam przed dwoma laty i poznałam Z. Pacholskiego. Rozmawialiśmy jakąś godzinkę o historii mojej rodziny, która mnie tu sprowadziła. Opowiadał o swoich staraniach odsłaniania przeszłości jego miasta Koszalina, co nazywał walką z czasem i zapomnieniem. Mówił o swych wysiłkach w odnowieniu cmentarza żydowskiego i kontaktach z Leslie Baruchem Brentem, noblistą pochodzącym z Koeslina, który jako jedyny z rodziny uratował się z Holocaustu. Wyjaśniał swoje zamiary, aby także ślady niemieckiej kultury wydobyć z niepamięci i uczynić bardziej zrozumiałym Koszalin z jego całą wielostron-

ną przeszłością. W krótkiej rozmowie z zupełnie nie znanym mi Polakiem poczułam, że jest jakaś głęboka wspólnota w myśleniu i traktowaniu naszego własnego pochodzenia i tożsamości. Właśnie tu w Koszalinie, w tym małym, szczególnie bolesnym zakątku Europy.

Po tym spotkaniu rozwinęła się intensywna wymiana korespondencji, która w międzyczasie urosła do kilkuset listów. Stała wymiana myśli na różne tematy. Pytania i odpowiedzi z mojego niemieckiego punktu widzenia i z tego polskiej perspektywy. Tematy obejmowały historię, muzykę, literaturę, Europę i banalne sprawy: burzę na Bałtyku, przelot ptaków nad Pomorzem, wiosenne kwiaty w ogródku, oczekiwanie na wnuka... W ten sposób rozwinęło się wielostronne zrozumienie dla pochodzenia, warunków życia, środowiska kulturowego i politycznego drugiej strony: całkiem niecodzienna przyjaźń.

Pacholski jest fotografikiem – ja pisarką. Każde ma swój styl wyrażania. W maju 2006 r. Zdzisław wykorzystał artystycznie stare zdjęcie moich dziadków zrobione w 1938 r. przy Boettcherstrasse w Koeslinie; z tą pracą brał udział w wystawie w niemieckim Emsdetten. Obraz był częścią serii pod tytułem „Places as destiny” (miejsca przeznaczenia). Jesienią 2006 spisałam przeżycia z moich odwiedzin pod dębem przy Boettcherstrasse w formie krótkiego opowiadania: „Co właściwie chciałam ci powiedzieć?” Historyjka została w listopadzie opublikowana po polsku w „Głosie Koszalińskim”. Reakcja na nią była tak żywa, że redaktor **Jolanta Rudnik** z Radia Koszalin zrobiła na podstawie jej i kilku naszych e-maili swoje słuchowisko. Nazwała je: „W cieniu dobrego drzewa”. Gdy program w tym roku dotarł do Zielonej Góry na ogólnopolski konkurs radiowy „Wspólna Europa”, jury było nim bardzo poruszone. Chwalono wartości humanistyczne i niezwykłą przyjaźń Polaka i Niemki, rozpoczętą w pewnym wyjątkowym miejscu. Jolanta Rudnik została uhonorowana za to słuchowisko pierwszą nagrodą!

Przytoczę dwa zdania z naszej koresponden-

cji, które padają w tym programie: „Wiesz – pisze Zdzisław – fotografie są sprzymierzeńcami w walce z czasem...” Odpowiedziałam: „Masz rację, ale pisanie, słowa są także przyjaciółmi w zmaganiach z zapomnieniem...”

Rzeczywiście, to słowa, rozmowy uczyniły tak ceną moją podróż do Koszalina w ostatnim tygodniu. Korporacja Artystów i Dziennikarzy Klub 13 Muz pod kierownictwem Z. Pacholskiego zorganizowała spotkanie ze mną pod tytułem „W cieniu dobrego drzewa”. Sobotnim popołudniem wydarzenie to miało miejsce w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, w nowoczesnej sali kinowej multifunkcyjnego, obszernego kompleksu kulturalnego. Prawie 100 osób przyjęło zaproszenie na nasze spotkanie. Program przewidywał najpierw prezentację skróconej wersji słuchowiska Jolanty Rudnik z historią dębu w centrum. Potem ks. **Henryk Romanik**, katolicki duchowny, miał wykład o symbolice drzewa, sprawach wzajemnego rozumienia i odmiennego traktowania własnej i cudzej historii. Jak prawdziwe są jego stwierdzenia o braku wzajemnej rozmowy: „Czy historia niemieckiego miasta Koeslina jest też częścią polskiego dziś Koszalina? Czy obchodzi nas los Niemców? Czy ich porusza nasz los? Właściwie prawie nie rozmawiamy, więc skąd mamy wiedzieć?”

Po nim Zdzisław Pacholski mówił o „Trudnej wspólnocie losów”: „Dzisiejsze polskie Pomorze (region od Gdańska do Szczecina) odziedziczyło wielokulturowy i wielonarodowy charakter. Nie zawsze jednak tu byliśmy. Nie ma nas w sagach i metaforach, w literaturze i sztuce. Czy jesteśmy w stanie te rozległe przestrzenie duchowe wypełnić życiem? Wierzę, że tak, ale potrzeba do tego trochę wysiłku. Tę refleksję zawdzięczam przede wszystkim korespondencji z Utą Hoeschele (...), która swoim opowiadaniem „Co właściwie chciałam ci powiedzieć?” nie tylko dotyka swoich własnych korzeni, lecz czerpie doświadczenie miejsca zarówno z przeszłości jak i z teraźniejszości”.

Po tych wykładach był czas na mnie: nie by-

łam przygotowana na tak poważne poprzednie wypowiedzi. Byłam raczej dotknięta reakcją widowni, przyjaznymi twarzami, serdecznymi oklaskami, wyraźnym napięciem i ciekawością: Cóż ona nam powie? Zrobiłam coś, co nie było zbyt profesjonalne, ale wypłynęło z serca. Odsunęłam na bok moje przygotowane kartki z planowaną konferencją i odezwałam się „wprost jak mi leżało na wątrobie”. Szkoda mi było mojej tłumaczki, Anety Heinrich, lecz ona robiła co mogła i udało się wspaniale.

Rozwinęłam obrazy z mojego dzieciństwa, pomorski raj, który nam przekazali rodzice: tęsknota za rozległą, piękną krainą, za bałtyckimi plażami, za niebem jak nigdzie błękitnym. Trudności z pojęciem „Heimatu”, które pojawiły się w trakcie mojego życia przy okazji moich wielu przeprowadzek i zmian pobytu między Niemcami, Francją, Austrią...

Mówiłam o radości wymiany listów ze Zdzisławem, o próbach jakiegoś zrozumienia i szacunku wobec dzisiejszych trendów i powiewów opinii publicznej, o wdzięczności za przyjęcie w tym mieście i moim uznaniu dla wysiłków ponoszonych dla uczynienia Koszalina pięknie kwitnącym miastem. Zamknęłam moją mowę wyznaniem: Chciałam podróżować do Koeslina, a stało się, że dotarłam do... Koszalina!

Rzadko zbieram takie serdeczne, spontaniczne i szczere oklaski, jak na zakończenie tego spotkania. Prawie się zawstydziałam. Zaraz po zakończeniu wydarzenia podchodzili do mnie ludzie, by jeszcze ze mną zamienić parę osobistych słów i usłyszałam tragiczne albo zabawne opowieści. Pewna kobieta bowiem faktycznie zechciała ochrzcić swoją córeczkę pod tym starym dębem, który w ten sposób nieświadomie łączy ludzi i to też należy do charyzmatu tego drzewa.

Echo spotkania w koszalińskiej bibliotece było w mediach dość spore: regionalne wydanie „Gazety Wyborczej” umieściło półstronicowy artykuł „Fotograf i pisarka”; lokalna gazeta „Miasto” napisała o nas pod tytułem: „Niezwyczajna przyjaźń niemiecko-polska”, a Radio „Kosza-

lin” nadało minionej niedzieli dłuższą relację o całej sprawie.

Poza robiącymi wrażenie godzinami w bibliotece zapamiętałam jeszcze wiele pięknych obrazów: niekończące się szpalery betonowych falochronów na plaży w Mielnie, które przez wiele lat zatrzymują piasek walcząc z falami, sztormami i odpływami. Imponujące polichromie na suficie gotyckiego kościółka w Lwięcinnie (sceny sądu ostatecznego w lśniących barwach). Krajobraz pustylny w Słowińskim Parku Narodowym z wędrującymi wydrami koło Łeby. A w Koszalinie: dominująca budowla pałacowa dawnych właścicieli młyna miejskiego, gdzie dziś jest muzeum z malowniczym skansenem obejmującym odrestaurowane domy rybaków i zagrodę, świadectwo kultury jamnej. Szczególnie nastrojowy jest gęsty sosnowy las na południe od miasta, gdzie znajduje się pole kurhanów z kamiennymi kręgami z czasów wędrowek Gotów. Miejsce to budzi milczenie i tajemniczą fascynację; można porównać z Karnakiem w Bretanii.

Nie tylko zatem mój aparat był po tym wszystkim pełen niezliczonych fotografii, moje walizki załadowane cudownymi książkami i sprezentowanymi albumami, ale też moje zdolności zapamiętywania osiągnęły prawie swoje granice. Wszystko to ma oczywiście coś wspólnego z używanym pomiędzy nami językiem... „babilońskim”, w którym mieszały się kawałki polskich wyrażen ze słowami niemieckimi, angiels-

skimi i francuskimi. Któregoś razu zaskoczyłam moich gospodarzy następującym zdaniem: *Ma-intenant, I will hol my fotoalbum – wait a minut, dienkuje!*

Jeszcze jeden powód, dla którego piszę tę relację o podróży do Koszalina pod tytułem: „Polski – to tylko inny język...”: kontakt z Pacholskim i z Koszalinem żyje poprzez słowa! Słowa e-maili, listów. Ja nie znam polskiego, Zdzisław tylko trochę mówi po niemiecku (uważa jednak, że czasem jego niemiecki staje się wiele płynniejszy pod wpływem wódki, ale tego nie mógł dowieść, bo i w Polsce kierowcy znają granicę 0,0 promila). Naszym wspólnym językiem z konieczności jest angielski z zabawnymi nieraz i komicznymi dodatkami niemieckich i polskich okruczeń, co pewno jest dla nauczyciela angielskiego gramatycznym koszmarem! W najmniejszym stopniu nie przeszkadza nam to w utrzymywaniu płynnego strumienia wymiany myśli. Przeciwnie, każde stara się pojąć jakoś język drugiego, a przynajmniej wsłuchiwać się wzajemnie. Mówimy bowiem odmiennymi językami, ale obcy język nie jest żadną barierą, żadnym strachem na wróble; och, nie – jest po prostu tylko innym językiem!

(Mautern/Austria, czerwiec 2007)

Zorganizowane z inicjatywy Zdzisława Pacholskiego spotkanie z Ute Hoeschele odbyło się w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej 16 czerwca 2007 r.

Dla historyków amatorów i regionalistów

„Źródła do historii Koszalina”

W 2006 roku, w związku z 740-leciem lokacji Koszalina na prawie niemieckim, ukazało się kilka wydawnictw poświęconych dziejom tego miasta, a w tym kronika miejska Johanna Davida Wendtlanda.¹ W ramach obchodów jubileuszu miasta podjęta została przez Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina oraz Koszalińską Bibliotekę Publiczną inicjatywa publikacji źródeł do dziejów miasta w formie cyklicznego wydawnictwa „Źródła do dziejów Koszalina”. Pierwszy zeszyt w tej serii ukazał się w 2006 roku, a kolejny w roku następnym, nakładem wspomnianej wyżej już Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Jest to wydawnictwo popularno-naukowe, które poprzez udostępnienie najdawniejszych źródeł do historii miasta nie tylko w języku oryginału, ale również tłumaczeniu na język polski, stawia sobie za cel przybliżenie mieszkań-

com Koszalina, zwłaszcza młodzieży szkolnej, dziejów ich miasta, by „tym samym przyczynić się do głębszych jej związków z ich miejscem urodzenia, domem rodziców, szkołą, czyli ich Małą Ojczyzną”.

W dotychczas opublikowanych zeszytach znalazło się łącznie dwadzieścia najstarszych dokumentów dotyczących dziejów Koszalina z XIII wieku, a dotyczących różnych aspektów ustroju miasta i życia społeczno - gospodarczego. W wydawnictwie tym zamieszczono m.in. dokument z 1214 roku, w którym po raz pierwszy pojawia się na kartach historii Koszalin, będący wówczas wsią w ziemi kołobrzeskiej, położoną u podnóża Góry Chełmskiej, a przede wszystkim sam akt lokacji miasta na prawie lubeckim z 23 maja 1266 roku. Serię dokumentów opublikowanych zamyka prawdopodobny falsyfikat nadania Radzie Miejskiej Koszalini przywilejów na młyny miejskie dla klasztoru w Bukowie Morskim z 8 czerwca 1298 roku.

Źródła zebrane w wydawnictwie stanowią przedruk opublikowanych dokumentów w kodeksach dyplomatycznych *Codex Pommeraniae Diplomaticus* i *Pommersches Urkundenbuch*. Oprócz tekstów dokumentów w języku łacińskim i regestów w języku niemieckim – w celu szerszego upowszechnienia – zamieszczone zostały również ich tłumaczenia na język polski. Translacji z łaciny dokonał nestor koszalińskich archiwistów i długoletni pracownik Archiwum Państwowego w Koszalinie **Adam Muszyński**. Wydawcy w zeszycie drugim, oprócz tekstów źródłowych umieścili także zdjęcia wszystkich dwudziestu dokumentów prezentowanych w obu częściach wydawnictwa, a których oryginały przechowywane są w archiwum w Greiswaldzie (Landesarchiv Greiswald).

Każdy z zeszytów poprzedzony został krótkim wstępem autorstwa **Adama Wirskiego** (Ze-

¹ Johann David Wendtland, Eine Sammlung unterschiedlicher die Historia der Stadt Celin betfrende Sachen (Zbiór rzeczy rozmaitych historii Miasta Koszalina dotyczących) opracował zespół pod kierunkiem J. Chojeckiej, Koszalin, 2006

zszyt I) i Adama Muszyńskiego (Zeszyt II), wyjaśniających charakter i treść zamieszczonych w nich dokumentów. Ponadto w zeszycie pierwszym znalazło się miejsce na słowa uznania prezydenta Koszalina dla inicjatorów wydawnictwa. Z kolei w drugim zeszycie jest przedmowa **Joanny Chojeckiej**, dyrektora Archiwum Państwowego w Koszalinie, prezentująca całe wydawnictwo, a także idee jego powstania oraz osobę tłumacza dokumentów. Ten ostatni tekst zamieszczony został w publikacji także w tłumaczeniu na język niemiecki – szkoda tylko, że nie w całości. W związku z tym ostatnim problemem nasuwa się również uwaga do wydawcy, iż nie pokusił się on o przetłumaczenie na język niemiecki również obu wstępów autorstwa A. Wirskiego i A. Muszynskiego. Tak wybiórcze potraktowanie zamieszczonych tekstów stwa-

rza pewien chaos w publikacji, a także ogranicza możliwość zapoznania się kompleksowo z jego treścią przez partnerów niemieckich.

Podsumowując uznać należy prezentowane wydawnictwo za interesującą inicjatywę środowiska koszalińskich historyków i działaczy kultury. Wydawnictwo ma charakter popularny i stanie się na pewno ważną pomocą dydaktyczną dla nauczycieli w edukacji regionalnej młodzieży szkolnej na lekcjach historii i innych przedmiotów. Poza tym dobrym materiałem dla historyków amatorów i regionalistów, którzy zechcą pogłębić swoją wiedzę o historii Koszalina i najbliższej okolicy.



Źródła do historii Koszalina,

zeszyt 1-2, wyd. Koszalińska Biblioteka Publiczna,
Koszalin 2006-2007

Złoty Medal „Gloria Artis” dla Marii Hudymowej

Urodziła się w roku 1913 w Czortkowie na Podolu, z Koszalinem związana jest od roku 1947.

Po ukończeniu w 1934 roku Seminarium Nauczycielskiego podjęła pracę zawodową w nauczycielstwie na wschodnich rubieżach Polski. W okresie wojennym była czynną działaczką i organizatorką tajnego nauczania. Pracę pedagogiczną kontynuowała po roku 1945 w Zamościu, a następnie Chełmie Lubelskim i Modlinie, będąc między innymi organizatorem pierwszych szkół po wojnie na tym terenie oraz prowadząc działalność kulturalno-oświatową wśród rodzin wojskowych.

We wrześniu 1947 r. przyjechała do Koszalina i od tej pory jest niestrudzoną działaczką i organizatorką życia oświatowego i kulturalnego naszego miasta. Kierowała Szkołą Podstawową nr 1 oraz szkołą średnią dla wojska. Była wizytatorem Kuratorium Okręgu Szkolnego i kierownikiem Oddziału Opieki nad Dzieckiem. Przez dwie kadencje pełniła funkcję przewodniczącej Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. W roku 1956 objęła funkcję zastępcy dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie i została na tym stanowisku aż do przejścia na emeryturę w roku 1977.

Zaangażowaniu, aktywności i ogromnej pracowitości Marii Hudymowej koszalińskie bibliotekarstwo zawdzięcza najbardziej chlubny okres w swych liczących ponad pół wieku dziejach. Również jej konsekwentnemu działaniu Koszalin zawdzięcza wybudowanie nowego obiektu biblioteki przy placu Polonii 1, jako pierwszej takiej inwestycji w powojennej Polsce.

Poza pracą zawodową zawsze znajdowała czas na szeroką działalność społeczną i społecznikowską. Wiele lat przewodniczyła Zarządowi Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, działała we władzach Związku Nauczycielstwa Polskiego, była radną Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie, przewodniczyła Komisji Oświaty i Kultury a także Komisji Opieki Społecznej. Była też przewodniczącą Powiatowej Rady Związków Zawodowych.

Inicjowała powstanie wielu organizacji społecznych na terenie Ziemi Koszalińskiej: Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Ligi Kobiet, ZBoWiD. Była współorganizatorką i działaczką Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich i Północnych oraz Zarządu Okręgu Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajoznawczego. Inicjowała pierwsze wydawnictwa regionalne w województwie koszalińskim. Była także członkiem redakcji „Bibliotekarza Zachodniopomorskiego” oraz „Bibliografii Pomorza Zachodniego”. Jest autorką 4 – tomowego wydawnictwa „Szkoły jakich nie było” oraz opracowania „Wschodnie losy Polaków”. W czasie pracy zawodowej współpracowała z czasopismami fachowymi, opublikowała wiele artykułów związanych z problemami bibliotekarstwa, a także wspomnienia i pamiątki.

Postać Marii Hudymowej jest trwale wpisana w historię Koszalina, który zawdzięcza jej wiele pożytecznych i niebanalnych inicjatyw oświatowych i kulturalnych, rozwój i kształtowanie bibliotekarstwa, czytelnictwa i wizerunku bibliotekarza. Obecnie Maria Hudymowa jest Prezesem Klubu Byłych Nauczycieli Tajnego Nauczania i Prezesem Zarządu Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Pamiątnikarstwa, nadal pozo-



Maria Hudymowa

fot. Ilona Łukjaniuk

staje w kontakcie z biblioteką, służy radą i pomocą, ubarwia szarą codzienność niezwykle opowieściami o swych bogatych przeżyciach i doświadczeniach długiego, ciekawego i aktywnego życia.

W uznaniu zasług i osiągnięć w pracy zawodowej i społecznej otrzymała liczne odznaczenia, m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego, Złotą Odznakę PTTK, Złotą Odznakę ZNP, Odznakę Honorową SBP, odznaki „Zasłużony Działacz Kultury”, „Za zasługi w rozwoju województwa koszalińskiego”, „Za zasługi dla miasta Koszalina”. W 2007 roku do tej imponującej kolekcji Maria Hudumowa mogła dołączyć Złoty Medal „Zasłużony Kultu-
rze Gloria Artis”.

Nagrody Prezydenta Miasta

w dziedzinie kultury

17 grudnia 2007 r. w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej prezydent Koszalina Mirosław Mikietyński uhonorował twórców i animatorów kultury dorocznymi nagrodami.

W 2007 roku do Komisji Kultury Rady Miejskiej wpłynęły 104 wnioski o przyznanie Nagrody Prezydenta. 20 z nich dotyczyło artystów i animatorów kultury, aż 84 – dzieci i młodzieży. Z tej liczby pozytywną opinię zyskało 45 kandydatów.

Podczas spotkania w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej nagrody otrzymało 15 dorosłych laureatów oraz trzydzieścioro młodych koszalinian. Poniżej przedstawiamy twórców uhonorowanych w tej pierwszej kategorii:

Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, aktorka Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, laureatka nagrody aktorskiej XIII Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Sztuki Współczesnej. O jej dorobku scenicznym szerzej piszemy w dziale TEATR.

Bogdan Narloch, organista, dyrektor artystyczny Międzynarodowego Festiwalu Organowego. W 2007 roku wydał płytę „Muzyka i organy Pomorza”;

promującą twórczość kompozytorów związanych z Pomorzem na przestrzeni wieków. Płytę tę recenzujemy w dziale MUZYKA.

Ryszard Ulicki, prozaik, poeta, autor scenariuszy widowisk i kilkuset tekstów piosenek, wśród nich „Kolorowych jarmarków”. W latach 1991 – 2003 poseł na Sejm RP, do 2005 r. szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W roku 2007 obchodził jubileusz 45-lecia pracy twórczej. Jego najnowszy tomik „Wierszopienia” prezentujemy w dziale LITERATURA.

Bartosz Brzeskot, wielokrotnie nagradzany artysta kabaretowy, przez wiele lat związany z krakowską formacją Rafała Kmity. W 2005 roku napisał scenariusz i wyreżyserował film „Nie ma takiego numeru”, który przyniósł mu wiele nagród podczas festiwalu filmowych, między innymi koszalińskiego „Młodzi i Film”. Więcej o debiucie filmowym B. Brzeskota pisaliśmy w dziale FILM w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2006”.

Maria Idziak, artysta plastyk, autorka gwaszy, pastelów, akwareli, malarstwa olejnego, prezentowanego na wielu wystawach w kraju i zagranicą. Organizatorka plenerów artystycznych dla twórców profesjonalnych oraz dzieci i młodzieży.

Artur Zajkowski, akordeonista, założyciel i instruktor Zespołu Akordeonowego Akord, który od 1997 roku działa w Centrum Kultury 105. Inicjator i dyrektor artystyczny organizowanego od 2001 roku Festiwalu Zespołowej Muzyki Akordeonowej. W 2005 i 2007 r. zespół „Akord” zdobył nagrody Europejskiego Festiwalu Młodzieży w Neerpelt w Belgii.

Małgorzata Chmielowska, artysta plastyk, autorka malarskich kompozycji inspirowanych naturą. Wielokrotnie nagradzana podczas różnych artystycznych przedsięwzięć.

Regina Siwko, artysta plastyk, uprawia malarstwo olejne i fotografię. W 2007 roku obchodziła jubileusz 30-lecia pracy twórczej.

Anatol Ulman, pisarz, który w 2007 roku obchodził 50-lecie twórczości. O jego twórczości szerzej piszemy w dziale LITERATURA.

Tadeusz Lenartowicz – animator kultury.

Janusz Skorek – filatelista, animator wydarzeń filatelistycznych i autor specjalistycznych publikacji.

Rosaline Łazowska-Weiss – nauczycielka – plastyk, uprawia tkaninę artystyczną, malarstwo, fotografię, tworzy także biżuterię.

Emilia Soroko – jej domeną jest haft, malarstwo na jedwabiu i sztuka ludowa, m. in. pisanki.

Wielokrotnie zdobywała nagrody w konkursach twórców nieprofesjonalnych.

Barbara Mrozek od 30 lat zajmuje się malarstwem olejnym i na jedwabiu, rysunkiem, tworzy także collage.

Kapela „Swaty” – zdobywca dwóch Złotych Malw podczas XX Prezentacji Folklorystycznych Pomorza Środkowego Drawsko Pomorskie 2007.



Laureaci Nagrody Prezydenta Miasta

fol. Ilona Łukjaniuk

Jubileusze 2007



ANATOL ULMAN

50-lecie pracy twórczej

Jako literat zadebiutował w 1957 r. Jest autorem powieści m.in. „Cigi de Montbazon”, opowiadań, sztuk teatralnych: „Godziny błaznów w składnicy złomu. Komedia współczesna” (III nagroda w konkursie na sztukę współczesną w 1978 r. w Teatrze „Kwadrat” w Warszawie), „Transakcja z amnezją. Komedia wirtualna” - I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Komediodiopisarskim „Talia '99”, „Koty z gdańskiej gildii” - sztuka dla dzieci - I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie na Utwór Sceniczny w 1999 r. Jego najnowsza powieść „Dzyndzyldynda, czyli postmortuizm” ukazała się w listopadzie 2007.



EWA NAWROCKA

50-lecie pracy scenicznej

Gdyby liczyć jej sceniczną karierę od roku wstąpienia na deski teatru dramatycznego, to w roku 2007 obchodziłaby 50-lecie. W roku 1957 bowiem zaangażowała się do Teatru Ziemi Lubuskiej im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Miała już jednak za sobą pewne sceniczne doświadcze-

nia wyniesione z poznańskiego - co prawda lalkowego - „Marcinka”. Idąc tropem informacji, że w roku 45-lecia swej artystycznej pracy zagrała w BTD w Gombrowiczowskiej „Zbrodni z premedytacją”, która miała premierę w maju 1998 roku, łatwo wyliczyć, że w 2008 roku Ewa Nawrocka powinna święcić swoje 55 - lecie.

Jest jedną z aktorek najwierniejszych Bałtyckiemu Teatrowi Dramatycznemu i jedną z najbardziej wyrazistych osobowości koszalińskiej sceny. Jej kreacje zyskiwały przychyłność krytyków i sympatię publiczności. Spośród kilkunastu jej kreacji do niezapomnianych należą role w „Każdy kocha Opalę” Johna Patricka, „Pokojówkach” Jean Geneta, „Molierównie” Jean Anouilha i „Krzyszlach” Ionesco.



ZDZISŁAW PACHOLSKI

60. rocznica urodzin,

40-lecie pracy twórczej

30-lecie przynależności do Związku Polskich Artystów Fotografików

Artysta fotografik, od 1960 roku mieszka w Koszalinie. W latach 1978-94 członek Zarządu Głównego i Rady Artystycznej ZPAF. Inicjator i organizator wystaw w kraju i zagranicą. Komisarz i uczestnik wystawy „70 lat Polskiej fotoawangardy” Bergkamen, Rheine Niemcy 1991. Był inicjatorem i organizatorem wystaw: „Re-wizja I 1977” i „Re-wizja II 1979”. Brał udział w wystawach m.in.: „Rodzina polska” - Galeria ZPAF Warszawa 1978; „Polska Współczesna Fotografia Artystyczna” - Zachęta, Warszawa 1985; „Polska awangarda” - Antwerpia, Belgia (1985); Wystawa Artystów Fotografików Europy Wschodniej „Portfolio” - Budapeszt, Nowy Jork (1986), Polska Fotografia Intermedialna, BWA Poznań 1988, „Blue(s) feeling”, Leiria, Portugalia 1997; Biennale Sztuki w Sao Paulo, Brazylia 1989. Członek honorowy niemieckiego stowarzyszenia Welbrcgener Kreis.

Wystawy indywidualne: Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, galeria „Pod Jasz-

czurami” w Krakowie, galeria „Od Nowa” w Poznaniu, Galeria Grobla II w Gdańsku. Galeria FF w Łodzi, BWA w Gorzowie WLKP, Klub 13 Muz w Szczecinie, Galeria Bentlage i Galeria Katakumbe Jugend Zentrum w Niemczech.

Ma notę w jedynej, jak dotąd, wydanej „Antologii Fotografii Polskiej 1839 -1989” autorstwa Jerzego Lewczyńskiego. Autor albumowego wydawnictwa o stuleciu Koszalina „Koszalin 1901-2000”, oraz wydawca i współautor książki „Koniec świata w Iwzięcinie”.



**LUCYNA
HERMANOWICZ**
30-lecie pracy pedagogicznej w Zespole Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie

Ukończyła Akademię Muzyczną w Łodzi w klasie fortepianu prof. Tadeusza Chmielewskiego, wieloletniego prezesa Towarzystwa Chopinowskiego. Po studiach przyjechała do Koszalina, gdzie podjęła pracę najpierw w redakcji Muzycznej Radia „Koszalin”, potem w Zespole Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, gdzie prowadzi klasę fortepianu do dziś. Wśród jej uczniów jest wielu laureatów konkursów pianistycznych i cenionych muzyków, by wymienić Ewę Osadę, Adama Sztabę czy Krzysztofa Dysa, którego recital uświetnił jubileuszowy wieczór pani profesor (odbył się 20 grudnia w Zespole Szkół Muzycznych) Krzysztof Dys w ubiegłym roku został zdobywcą III nagrody Międzynarodowego Konkursu im. Aleksandra Skriabina w Paryżu.



RYSZARD ULICKI
45-lecie pracy twórczej
30 lecie piosenki „Kolorowe jarmarki”

Poeta, prozaik, dziennikarz, autor tekstów piosenek. W latach 1984-90 Redaktor Naczelny Polskiego Radia w Koszalinie. Od 1991 r. do 2003 r. – poseł na Sejm RP. Pełnił m.in. funkcję Wiceprzewodniczącego Sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej, pracował w Komisji Kultury i Środków Masowego Przekazu, Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Do 2005 r. był członkiem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Autor kilkuset tekstów piosenek, scenariuszy widowisk. Zdobywca głównych nagród na festiwalach piosenek w Sopocie, Opolu, Kołobrzegu i Kielcach. Laureat plebiscytów prasowych i radiowo – telewizyjnych m.in. za „Kolorowe jarmarki”, „Świat nie wierzy łzom”, „Śnił mi się rodzinny dom”.

POŻEGNANIA





Prof. dr hab. inż. **Zdzisław F. Piątek** (1938 – 2007)

Profesor Zdzisław F. Piątek urodził się 28 sierpnia 1938 roku w Radomiu. Po ukończeniu w rodzinnym mieście Technikum Budowlanego (1959) rozpoczął studia na Wydziale Inżynierii Budowlanej Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1963 roku. Od 1962 roku pracował w Politechnice Warszawskiej w Katedrze Konstrukcji Żelbetowych, również w Przedsiębiorstwie Budownictwa Uprzemysłowanego (1966-1967).

Rok 1969 dla Profesora Piątka okazał się bardzo ważnym i miał decydujący wpływ na dalsze Jego życie. W tym roku obronił pracę doktorską na macierzystym Wydziale i rozpoczął pracę w Politechnice Warszawskiej jako adiunkt w Katedrze Konstrukcji Żelbetowych, która w owym czasie skupiała najwybitniejszych specjalistów krajowych z zakresu konstrukcji żelbetowych.

Profesor Piątek poznał w tym czasie doc. Jerzego Smoleńskiego, rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie, który zainspirował Prof. Piątka wizją rozwoju nowo powstałej uczelni w Koszalinie. Argumentacja rektora Smoleńskiego i perspektywy udziału w tworzeniu uczelni od podstaw zadecydowały, że z początkiem 1970 roku Prof. Piątek podjął pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie.

Był to bardzo ważny okres w życiu Profesora zwłaszcza, że dostał dodatkowo od rektora zadanie opracowania założeń generalnych

inwestycji uczelni przy ul. Gdańskiej. W 1975 roku utworzył i objął kierownictwo Zakładu, później Katedry Konstrukcji Betonowych Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska. Pierwsze dziesięć lat istnienia Wydziału był czasem tworzenia wszystkiego od podstaw: organizacji struktury Uczelni i Wydziałów, procesu dydaktycznego, studenckiego życia kulturalnego. Wszystko, co się wówczas działo, zdarzało się po raz pierwszy: pierwszy dyplom inżynierski, a następnie pierwszy magisterski, pierwsze publikacje oraz prace doktorskie i habilitacyjne.

Osiągnięcia naukowe uwieńczone zostały habilitacją w 1981 roku na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej, a następnie tytułem profesora w 1985 roku i - od 1996 roku - stanowiskiem profesora zwyczajnego.

W czasie wieloletniej pracy w Wyższej Szkole Inżynierskiej, a następnie w Politechnice Koszalińskiej, Prof. Zdzisław Piątek pełnił wiele ważnych funkcji: prodziekana ds. studenckich na Wydziale Budownictwa Lądowego (1971-1974), prorektora ds. Nauczania i Wychowania (1975-1978), prorektora ds. Nauki i Współpracy z Przemysłem (1978-1981), rektora (1987-1993), dziekana Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska (1996-2002).

Prof. Zdzisław Piątek w wielkim stopniu przyczynił się do rozwoju uczelni i doprowadził do utworzenia wielu kierunków studiów, jak np.: Wychowanie Techniczne (1988/1989), Elektronika (1989), Nauczycielskiego Kolegium Języka Angielskiego (1990/1991), Zarządzanie i Marketing (1993/1994), Geodezja i Kartografia (2001). W uczelni, przy Jego udziale, powołane zostały: Środowiskowe Laboratorium Techniki Próżniowej i Środowiskowe Laboratorium Techniki Budowlanej. Jako rektor Politechniki Koszalińskiej doprowadził do wznowienia inwestycji przy ul. Gdańskiej.

Profesor był członkiem Sekcji Konstrukcji Betonowych i Sekcji Materiałów Budowlanych Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN oraz członkiem Komitetu Nauki Zarządu Oddzia-

łu PZITB. Współpracował z wieloma krajowymi uczelniami technicznymi, był Przewodniczącym Rady Naukowej Laboratorium Techniki Budowlanej. W latach 1980÷1982 współpracował z CEB (Europejski Komitet Betonu) w obszarze VI Komisji „Detailing of Lightweight Concrete”. W latach 1979-1980 przebywał na stypendium naukowym w Instytucie Inżynieryjno-Budowlanym w Moskwie, a w roku 1990 na Uniwersytecie Technicznym w Bochum (Niemcy). W 2002 roku odebrał w Warszawie nominację na członka Państwowej Komisji Akredytacyjnej, w której aktywnie działał do 2004 roku.

W ciągu czterdziestu pięciu lat pracy naukowej Prof. Piątek zajmował się głównie teorią i zastosowaniem betonów z kruszyw lekkich (glinoporyt i keramzyt) i piaskobetonów do konstrukcji żelbetowych i sprężonych. Rezultaty tych badań były publikowane w krajowych i zagranicznych czasopismach naukowych i naukowo-technicznych oraz przedstawiane na wielu konferencjach naukowych.

Prof. Piątek był autorem lub współautorem około stu artykułów, dwóch monografii i jednego skryptu, ponadto był promotorem pięciu prac doktorskich, recenzentem kilku prac kwalifikacyjnych i wniosków profesorskich, oraz publikacji naukowych. Wiele wyników Jego prac uzyskało pozytywną ocenę i znalazło bezpośrednie zastosowanie w praktyce. Ponadto prace Profesora były bezpośrednio wykorzy-

stane w tworzeniu polskich norm i opracowań dla projektantów.

Prof. Piątek był wielokrotnie nagradzany i odznaczany za działalność dydaktyczną, naukową i inżynierską. Został m.in. odznaczony: Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2001), Medalem Edukacji Narodowej (1978), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1978), Złotym Krzyżem Zasługi (1974).

Życie Profesora Zdzisława F. Piątka było bardzo pracowite i aktywne. Jako doskonały organizator potrafił do swoich koncepcji rozwoju uczelni przekonać wielu współpracowników. Jego determinacja i wytrwałość przyczyniła się do wielu sukcesów środowiska akademickiego. Miał uznane osiągnięcia nie tylko w pracy naukowej, ale także w praktycznym projektowaniu konstrukcji z betonu, które chętnie przekazywał doktorantom, studentom i dyplomantom. Był nieocenionym organizatorem, a przede wszystkim dobrym człowiekiem, otwartym na problemy innych.

Profesor Zdzisław F. Piątek zmarł 7 stycznia 2007 roku.

prof. dr hab. inż. Szymon Pałkowski,
prof. dr hab. inż. Wojciech Kacalak



Leszek Figas (1931-2007)

Redaktor Leszek Figas był współtwórcą „Głosu Koszalińskiego”, długoletnim dziennikarzem tej gazety. Nikt spośród dziennikarzy nie pracował w „Głosie” tak długo, jak on. Trzeba przypomnieć, że chodzi o „Głos Koszaliński”, utworzony 2 września 1952 roku, który w 1976 r. – wskutek reformy podziału administracyjnego kraju – przyjął nowy tytuł „Głosu Pomorza”. (Obecna gazeta „Dziennik Pomorza – Głos Koszaliński”, jest tytułem młodym, utworzonym w 1993 r.).

Urodził się w miasteczku Rynarzewo (woj. bydgoskie) 16 lipca 1931 r. Wraz z rodzicami i starszym rodzeństwem w 1945 r. osiedlił się w Koszalinie. Pracę dziennikarską zaczął w 1950 roku w koszalińskim oddziale „Głosu Szczecińskiego”. Przypomnijmy, że w 1950 r. Koszalin awansował do rangi stolicy nowo utworzonego województwa, a przez kilka lat powojennych ziemie dawnej rejencji koszalińskiej znajdowały się w obrębie woj. szczecińskiego. Obsługa prasowa regionu koszalińskiego była przypisana „Głosowi Szczecińskiemu”. Dziennikarzem został z powodu... złośliwości polonistki z Liceum Ogólnokształcącego im. St. Dubois w Koszalinie. Był zapalonym kibicem. Przed maturą, mimo sprzeciwu nauczycielki, pojechał na mecz do Gdańska. No, i mściwa polonistka nie dopuściła go do matury. Miał więc do udowodnienia, że z językiem polskim radzi sobie nie gorzej, niż pani profesor. Zatrudnił się

w redakcji, pisał o sporcie. Po roku pracy zdał maturę, a kilka lat później skończył Akademię Wychowania Fizycznego w Warszawie. Na rok wyjechał do redakcji w Szczecinie. W Koszalinie zjawiał się w 1952 roku, kiedy trwały przygotowania do wypuszczenia pierwszego numeru „Głosu Koszalińskiego” – samodzielnej gazety wojewódzkiej, redagowanej i drukowanej w młodej stolicy województwa. Mając ledwie 21 lat należał do dziennikarzy posiadających już doświadczenie zawodowe, podczas gdy sporą grupę dziennikarzy stanowili ludzie młodzi, skierowani do Koszalina wprost z uczelni w Krakowie i w Warszawie.

Z redakcją był związany nawet przez kilka lat po osiągnięciu uprawnień emerytalnych. Przystał pisać dopiero wtedy, gdy zaczęły się kłopoty ze zdrowiem. Zmarł 17 maja 2007 roku w wieku 76 lat. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Koszalinie.

Leszek Figas swoją twórczością i pracą organizatorską z Koszalinem jest związany tak bardzo, jak żaden inny dziennikarz. Odcisnął swoje piętno na gazecie jako autor artykułów, felietonów, rozmów i informacji, ale także jako nauczyciel dziennikarstwa. Ponad 20 osób pod jego opieką stawiało pierwsze kroki w zawodzie. Część z nich z czasem objęła ważne funkcje w prasie w regionie, jak Waldemar Cwięka, Krystyna Juszkiewicz, Aleksandra Worsztynowicz, Tadeusz Martychewicz. Część zrobiła karierę w dziennikarstwie poza Koszalinem: Bożena Średzińska, Walentyna Trzecińska, Aleksandra Worsztynowicz w Warszawie, Anna Romanowska w Nowym Jorku, a Leszka Malinowskiego znamy jako twórcę odnoszącego sukcesy kabaretu „Koń Polski”.

Redaktor Figas zawsze obracał się w dwóch kręgach tematycznych. Był to sprawy miasta Koszalina. Sprawy lokalne znał z dwóch stron. Jako kierownik działu miejskiego w redakcji musiał uczestniczyć w oficjalnych spotkaniach urzędowych gremiów. Tam poznawał plany rozwoju miasta, urzędowe spojrzenie na sprawy budownictwa mieszkaniowego,

gospodarki komunalnej, handlu. Tam czasem też do głosu dochodzili ludzie ze skargami na braki towarów w sklepach, na fatalną komunikację, liczne przykłady bezduszności urzędników. Miał też drugie, własne źródło informacji o mieście. Lubił do redakcji przyjeżdżać taksówką. Znali go niemal wszyscy taksówkarze. Nim dotarł do redakcji już wiedział, co się zdarzyło nocą, gdzie są dziury w jezdniach lub walące się ogrodzenia i przed jakimi sklepami ustawili się ludzie w kolejkach. Po dotarciu do redakcji miał gotowy przydział pilnych tematów dla dziennikarza działu miejskiego.

Legendą obrosły jego wyjścia z redakcji „w miasto”. Na rynku zawsze był otoczony wianuszkami ludzi. Musiał wysłuchać skarg i prośb o interwencje. Z takiego pobytu na rynku wracał z tematami dziennikarskich publikacji na kilka dni. Pisał o wielu sprawach miasta. Jego specjalnością były zadrażnienia na styku obywatel – urząd oraz ranga miasta Koszalina na mapie kraju. Jak mało który dziennikarz znał przymiarki do przyszłości Koszalina, wiedział, co znajduje się na biurkach planistów i na deskach architektów. W publikacjach domagał się, by infrastruktura komunalna (wodociągi, oczyszczalnia ścieków) Koszalina, a także komunikacja, szkolnictwo nadążały za wzrostem ludnościowym miasta. A przecież na jego oczach Koszalin wzrastał od 34 tysięcy do ponad 100 tysięcy mieszkańców.

Na popularność Koszalina w kraju wpływał jako człowiek pióra i utalentowany organizator. Był pomysłodawcą i organizatorem rowerowych wyścigów „Głosu” (zawsze w Dniu Dziecka) oraz halowego turnieju piłkarskiego w czasie ferii zimowych. Organizował je z pomocą starszego brata, Stanisława Figasa, pracownika KKS „Gwardia”. Przygotowywał bale sportow-

ców i bale prasy. Na te imprezy potrafił ściągnąć do Koszalina Irenę Szewińską, Waldemara Baszanowskiego, Jerzego Kuleją, Irenę Dziedzic, Danutę Rinn i wiele innych znakomitości. Działał w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich aż do chwili jego rozwiązania w stanie wojennym.

Nie miał wrogów. Główną cechą jego charakteru było poczucie humoru. Każdą prawie rozmowę zaczynał od dowcipu, anegdoty lub zabawnej gry słów. Spośród bohaterów literackich uwielbiał Zagłobę. Był cierpliwy i wyrozumiały dla młodych dziennikarzy. Nie znosił kręactwa i mętnych wyjaśnień. Umiał znaleźć się w każdym towarzystwie, ale wyraźnie nie najlepiej czuł się wśród ważniaków z partyjnego lub administracyjnego nadania. Może był to jeden z powodów, że w latach siedemdziesiątych XX wieku nie przyjął awansu: miał propozycję objęcia posady zastępcy redaktora naczelnego gazety.

Z prasą związała się znaczna część rodziny Leszka Figasa. Żona, Krystyna, w wydawnictwie „Głos Koszaliński” pracowała od 1952 roku do chwili przejścia na emeryturę. Przez wiele lat była główną księgową. Starsza siostra, Irena Strasser, nauczycielka, także związała się z „Głosem Koszalińskim”, zaczynała jako korektorka. Cóрка, Irena Boguszevska, poszła śladami ojca. – *Nie mogło być inaczej* – odpowiada na pytanie, dlaczego wybrała zawód dziennikarski. – *Przecież ja się wychowałam w redakcji. Po ojcu przejęłam ciekawość ludzi, a szczególnie satysfakcję dają mi takie publikacje, które przywracają ludziom wiarę w sprawiedliwość, pomagają wyjść z krytycznej sytuacji.*

Józef Narkowicz



**Prof. zw. Zdzisław Łosiński
(1943-2007)**

Wiadomość o śmierci Profesora nadeszła 19 czerwca 2007 roku, w chwili obrad komisji egzaminacyjnej nad oceną prac dyplomowych, których był promotorem. Odszedł, mimo ciężkiej choroby, zbyt szybko. Nie mógł cieszyć się sukcesem swoich koszalińskich studentów, którzy tego dnia z wyróżnieniem obronili swoje prace dyplomowe w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, gdzie Profesor Zdzisław Łosiński prowadził w latach 1999-2007 Pracownię Projektowania Wnętrz i Wystaw.

„To był król życia” – usłyszałam westchnienie starszej uczestniczki uroczystości pogrzebowych. Aleję zasłużonych Poznańskiego Cmentarza wypełniał tłum ludzi z różnych stron Polski i zza granicy, których przywiódł tu nie tylko szacunek dla urzędu i pozycji zmarłego w świecie nauki i sztuki, ale szacunek dla jego człowieczeństwa. W to czerwcowe popołudnie żegnali Go przyjaciele - rodzina, koledzy, studenci, znajomi – każdy w poczuciu straty kogoś bliskiego i wyjątkowego.

Zdzisław Łosiński (prof. zw.) urodził się w 1943 roku. W swoim rodzinnym Wągrowcu dorastał, zdobywał wiedzę i szacunek dla ciężkiej pracy. Swoje zdolności manualne wyrażał pomagając matce przy szyciu garniturów i ich prasowaniu. Być może dzięki wspomnieniom tych dawnych obowiązków potrafił czerpać radość z prostych, codziennych czynności

tak jak podlewanie trawnika w towarzystwie zawsze tego samego gościa – zaprzyjaźnionego kosa. Niepokojny duch, wrażliwość, potrzeba kreacji oraz ciągłych wyzwań pokierowały młodzieńcem w stronę Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Już podczas studiów w latach 1961-1967 poznał swoją żonę Ewę. Mimo oczywistych trudności wynikających z jednoczesnego studiowania i utrzymywania założył rodzinę, o którą dbał do końca życia, szcząc się swoją zaradnością, szczęściem żony i dwóch córek. Potrafił dzielić czas między obowiązki zawodowe i rodzinne nie zapominając o własnym rozwoju i przyjemnościach.

Przygoda z Teatrem „Marcinek” w Poznaniu zaczęła się już podczas studiów, początkowo w zespole aktorskim, następnie w pracowni plastycznej teatru, którą sam prowadził. W wyniku tej współpracy powstało wiele interesujących scenografii teatralnych. Niemalże też programów dla dzieci i młodzieży opatrzonych scenografią autorstwa Zdzisława Łosińskiego zrealizowała Telewizja Poznańska.

W swojej działalności zawodowej artysta wykonał znaczną ilość projektów wnętrz publicznych i prywatnych oraz wystaw. Przez wiele lat realizował ekspozycje w Biurze Wystaw Artystycznych oraz w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Brał udział w konferencjach architektonicznych jak również w wystawach malarstwa, scenografii, sztuk projektowych w wielu prestiżowych galeriach oraz prezentacjach Sztuki Polskiej. Realizował ekspozycje targowe na Międzynarodowych Targach Poznańskich oraz targach europejskich, za które był nagradzany medalami i wyróżnieniami. Przez ostatnie 20 lat był członkiem Komisji Rzeczników oceniających stoiska na Międzynarodowych Targach Poznańskich.

Początek kariery naukowej prof. Zdzisława Łosińskiego przypada na rok 1968, w którym to rozpoczął pracę w poznańskiej ASP (wówczas jeszcze PWSSP) jako asystent prof. Stanisława Zamecznika. W tejże uczelni przeszedł wszystkie etapy działalności dydaktyczno – nauko-

wej. Pełnił wiele funkcji, między innymi kierownika Katedry Architektury Wnętrz oraz dziekana Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa. Jego zdecydowanie, obowiązkowość, rozsądek i mądrość sprawiały, iż powierzano mu odpowiedzialne zadania, jak np. powołanie nowego kierunku – studiów wieczorowych w zakresie architektury wnętrz i wzornictwa na ASP w Poznaniu. Zaufanie i wiara w skuteczność działania profesora nie były bezpodstawne. Jego wkład w tworzenie prekursorskiego, międzyuczelnianego (Politechnika Poznańska i poznańska ASP) kierunku Architektura i Urbanistyka był nieoceniony. Studenci, doceniając poświęcenie Profesora dla solidności ich technicznego i artystycznego wykształcenia, wystąpili z inicjatywą nazwania pracowni, w której prowadził zajęcia, Jego imieniem. Charyzmy Profesora mieli szczęście doświadczyć również studenci Politechniki Koszalińskiej. W ciągu tych kilku lat, podczas których był związany z uczelnią, doprowadził do rozbudowy specjalności architektura wnętrz, wspierając młodą ka-

drę naukową oraz położył podwaliny pod powstanie odrębnego wydziału.

Był przez naszych studentów kochany. Szczególną bliskość z Profesorem przynosiły wspólnie spędzane plenery architektoniczne, zawsze w tym samym miejscu – na drugim biegunie Polski – w Zakopanem. Z tej perspektywy wyłaniało się drugie oblicze Profesora - człowieka, który lubił wyzwania, miał swoje pasje i namiętności. Cenił dobrą kuchnię, poczucie humoru, pracowitość, dystans do własnej osoby i smak w ubiorze. Uwielbiał „zabawki” i gadżety, czerpał satysfakcję z posiadania i obcowania z pięknymi przedmiotami oraz z radości dzielenia się tym dobrem. I takim pozostanie w naszej pamięci, a zamglony obraz Jego postaci, jako materialna egzemplifikacja ducha Profesora, pojawia się we wszystkich moich projektach od czasu początku naszej współpracy. I towarzyszyć będzie nadal.

Katarzyna Radecka



**Irena Maculewicz-Żejmo
(1926-2007)**

W listopadzie minionego roku pożegnaliśmy na zawsze Irenę Maculewicz-Żejmo. Osobę tyleż skromną, co wybitną, która swym odejściem osierociła nie tylko swych najbliższych – męża, dwóch synów księży, ale i ogromną rzeszę ludzi, którzy tak wiele jej zawdzięczają. Była wybitną artystką i pedagogiem, laureatką wielu nagród i odznaczeń, w tym papieskiego Benemerenti i nagrody Civitas Christiana im. Ks. Bolesława Domańskiego. Otrzymała również tytuł Honorowego Obywatela Szczecinka.

Tak jeszcze niedawno widywaliśmy ją na piątkowych koncertach symfonicznych Filharmonii Koszalińskiej. Ostatnie lata swojego życia spędziła w naszym mieście, w którym w latach siedemdziesiątych i osiemdzie-

siątych aktywnie uczestniczyła w życiu muzycznym - jako solistka-śpiewaczka w licznych koncertach, przede wszystkim kameralnych i umuzykalniających.

Wspaniałe warunki sceniczne, piękny, świetnie ukształtowany głos pozwalały jej tworzyć wielkie kreacje operowych heroin na scenie Opery Bydgoskiej. Kiedy zamieszkała w Szczecinku stworzyła parafialny chór dziecięcy, który później jako sławny zespół „De Profundis” zdobył liczne laury i sławę międzynarodową. Dwa razy zaśpiewał papieżowi Janowi Pawłowi II - raz w Watykanie, a drugi raz w Koszalinie w czasie pamiętnej wizyty Ojca Świętego. Wówczas ten niegdyś dziecięcy chór składał się już z ludzi dorosłych i po tym koncercie rozwiązał się.

Ten chór dziecięcy, od podstaw stworzony przez Irenę Maculewicz-Żejmo, był zespołem wyjątkowym. Była to właściwie swoista szkoła muzyczna. Swoista, bo uczyła nie tylko pięknego śpiewu i muzyki, ale była też szkołą życia. Dzieci intuicyjnie to czuły i w wolnym czasie dobrowolnie rezygnowały z gier i zabaw, aby pobyć w tym niezwykłym, zaczarowanym świecie muzycznego piękna. Nie zniechęcały ich żmudne ćwiczenia, cieszyło je tych trudności pokonywanie i coraz piękniejsze brzmienie chóralnego śpiewu. Tak ci dorosli już wychowankowie teraz to wspominają i z zafascynowaniem o tym opowiadają. Ale to jeszcze nie wszystko. Irena Maculewicz-Żejmo uczyła te dzieci również dobrych manier, kształciła ich osobowości, jednym słowem wychowywała i przygotowywała do dorosłego życia. Rezultat tej wychowawczej i artystycznej pracy był taki, że gdziekolwiek te dzieci się pojawiały – jako artystyczny zespół - zachwycały nie tylko pięknym śpiewem, ale wyróżniały się pełnym skromności, kulturalnym zachowaniem. A było tych koncertów wiele.

Przed wszystkim udział w młodzieżowych przeglądach i festiwalach regionalnych, ogólnopolskich i międzynarodowych, odbywających się w różnych miastach. Między innymi

w Warszawie, Gnieźnie, Elblągu, Gdańsku, Kaliszu, Krakowie, Tarnowie, Międzyzdrojach, Szczecinie, Połczynie, Słupsku, Koszalinie i wielu innych. Chór wyróżniał się niepowtarzalnym brzmieniem, gdyż posiadał nienaganną emisję głosów, ukształtowaną przez profesjonalną śpiewaczkę. To piękne brzmienie i żarliwa interpretacja zaowocowała licznymi – przeważnie pierwszymi nagrodami!

Zwrócił na to uwagę Fred Wojtan, wszechstronny muzyk, który był wówczas urzędującym wiceprezesem i dyrektorem Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego. Poznał się od razu na tym wyjątkowym, artystycznym zjawisku w życiu kulturalnym naszego regionu. Wziął ten zespół pod opiekę i odtąd „De Profundis” występował jako chór Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego. Fred Wojtan płacił za to nieraz wysoką cenę. Był wielokrotnie wzywany na przesłuchania przez Służby Bezpieczeństwa, którym nie podobało się to, że chór, choć występował w różnorodnym repertuarze i na różnych koncertach, to jednak miał wyraźnie kościelne oblicze i wręcz modlitewnie żarliwy sposób śpiewania.

Szeroki repertuar chóru wzbogacali również kompozytorzy koszalińscy: Andrzej Cwojdzński, Celina Monikowska-Martini i Fred Wojtan. A były to dzieła wielce wymagające od wykonawców. Wszystkie prawykonania tych utworów, a później dalsze ich prezentowanie przyniosły ogromną satysfakcję i sukcesy zarówno zespołowi, jak i kompozytorom. Szczególnie wiele znakomych utworów specjalnie dla chóru „De Profundis” i jego solistów skomponował Andrzej Cwojdzński. Były one wielokrotnie z powodzeniem wykonywane. Oto niektóre z nich:

- „Magnificat” do słów Karola Wojtyły op.17 wykonany po raz pierwszy w Katedrze koszalińskiej w czasie XVII Festiwalu Organowego 29 czerwca 1983 roku. Śpiewał chór „De Profundis”, Krzysztof Aksięń – sopran chłopięcy, dyrygowała Irena Maculewicz-Żejmo.

- Oratorium „Angelus Domini” na chór, głosy solowe i orkiestrę symfoniczną op.21. Wykona-

ne po raz pierwszy 26 czerwca 1986 roku również w koszalińskiej Katedrze. Wykonawcy chór „De Profundis”, orkiestra Filharmonii Koszalińskiej. Solistami byli studenci Akademii Muzycznej w Bydgoszczy z klasy wokalne Irenej Maculewicz-Żejmo: Małgorzata Lewandowska, Ewa Wadyńska, Janusz Ratajczak. Dyrygował kompozytor – Andrzej Cwojdzński.

- Hymny Maryjne do słów Romana Brandstattera op.50. Prawykonanie – podczas koncertu inauguracyjnego XXX Międzynarodowy Festiwal Organowy w Koszalinie (Katedra) 26 czerwca 1996 r. śpiewały: Kamila Orchowska, Agnieszka Olszewska, Patrycja Stróżyk, akompaniowali na organach Waław Kubicki i Bogdan Narloch. Hymny te były później z powodzeniem wykonywane w Kołobrzegu, w Szczecinku i dwukrotnie w Bydgoszczy.

- 7 Pieśni Religijnych do słów ks. Jana Twardowskiego i Anny Kamińskiej. „Spieszmy się kochać ludzi” op.71. Prawykonane w czasie XXXVII. Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie 25 lipca 2003 roku przez Ewę Wadyńską-Wąsikiewicz – alt (jej zostały przez kompozytora dedykowane) i Bogdana Narlocha – akompaniament fortepianowy.

- 8 Pieśni dziecięcych na alt z fortepianem op. 35 wykonane w maju 1991 roku, dedykowane Irenej Maculewicz-Żejmo i Ewie Wadyńskiej-Wąsikiewicz. Śpiewała Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz - alt, akompaniowała Iwona Jakubowska.

Do stałego repertuaru zespołu i solistów należały też utwory Celiny Monikowskiej-Martini – m.in. Psalm 102 do słów Jana Kochanowskiego na chór dziewczęcy oraz kilka utworów solowych (Kołyśanka i inne), a także Freda Wojtana na chór mieszany m.in.

- Witaj nam Matko Polsko (słowa M. Zientarowa-Malewska),

- Pieśń o słońcu nr 4 do słów Karola Wojtyły.

Oprócz w/w utworów kompozytorów koszalińskich zespół Irenej Maculewicz-Żejmo wykonywał szeroki repertuar światowej literatury wokalne od renesansu po współczesność.

Irena Maculewicz-Żejmo w Akademii Mu-

zycznej w Bydgoszczy prowadziła klasę śpiewu solowego. Kilkoro najzdolniejszych członków chóru „De Profundis” uczyniła studentami wydziału wokarno-aktorskiego tej uczelni. Dziś są to wybitni soliści wielu scen operowych, często laureaci wokalnych konkursów. Wielokrotnie z wielkim powodzeniem występowali z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej, a także na koszalińskich koncertach kameralnych i umuzykalniających. Zachwycały pięknymi głosami panie: Małgorzata Lamczyk-Grela, Agnieszka Olszewska, Kamila Orchowska, Adriana Dankowska, Patrycja Stróżyk, Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz. A Małgorzata i Janusz Ratajczakowie wygrali plebiscyt publiczności Filharmonii Koszalińskiej na najpiękniej śpiewającą parę małżeńską. Wszystko to zawdzięczają swojej Pani Profesor! Gdyby nie Ona, ich drogi życiowe poprowadziłyby do innych zawodów. Nie staliby się artystami.

Do niezapomnianych koszalińskich koncertów z udziałem wychowanków Irenej Maculewicz-Żejmo zaliczyć trzeba realizację sceniczno-koncertową głównych wątków dramatu Henryka Ibsena „Peer Gynt” z muzyką Edwarda Griega. Spektakl ten odbył się w dniu 26 marca 1999 roku z okazji jubileuszu 45-lecia Bałtyckiego Teatru Dramatycznego im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie. Był to rezultat współpracy Filharmonii Koszalińskiej i Teatru. Wystąpili liczni aktorzy, orkiestra symfoniczna pod dyrekcją Jacka Bonieckiego i trzy śpiewające solistki – uczennice Irenej Maculewicz-Żejmo: Adrianna Dankowska, Kamila Orchowska i Agnieszka Olszewska.

Na jednym z koncertów XVI Międzynarodowego Festiwalu Organowego Koszalin’ 92 wykonano arcydzieło muzyki barokowej – „Stabat Mater” G.P. Pergolesiego. Obszerne partie solowe przepięknie zaśpiewały Małgorzata Lamczyk – sopran i Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz – alt z towarzyszeniem Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Freda Wojtana. Siedem lat później, podczas XXXIII Międzynarodowego Festiwalu Organowego Koszalin’99, to samo dzieło znakomicie wykonały młodsze studentki Ire-

ny Maculewicz-Żejmo: Adrianna Dankowska – sopran i Patrycja Stróżyk – alt, również z towarzyszeniem tej samej orkiestry, tym razem pod batutą berlińskiego dyrygenta Karola Borsuka.

Na ubiegłorocznym 41. Międzynarodowym Festiwalu Organowym w Koszalinie obejmującym także koncerty w innych miejscowościach, śpiewała w Sarbinowie przepięknym altem Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz, obecnie artystka Dolnośląskiej Opery Wrocławskiej. Akompaniował Bogdan Narloch – dyrektor artystyczny Festiwalu. Solistka ten koncert zadedykowała swojej Mistrzynie, która była na nim obecna. Publiczność szczerze wypełniająca kościół gorąco oklaskiwała śpiewaczkę, a na koniec zgotowała stojącą owację Pani Irenie. Była to wzruszająca i niezapomniana chwila. W ten piękny sposób uhonorowano Jej nieocenione zasługi. Wówczas zarysowały się plany, aby wszyscy Jej wychowankowie zjechali się na wspólny koncert

i zaśpiewali ze swoją Panią Profesor jako solistką. Niestety, te plany się nie ziściły. Owszem zjechali się, ale już... na pogrzeb.

Soliści i chórzyci przybyli z różnych stron kraju, aby religijnym śpiewem pożegnać swego niezwyklego pedagoga. Chór rozwiązał się szesnaście lat temu i po tak długiej przerwie, po dwóch zaledwie próbach, zaśpiewał na pogrzebie na najwyższym profesjonalnym poziomie. To fenomenalny rezultat pracy Ireny Maculewicz-Żejmo. Pogrzeb był bardzo uroczysty z udziałem Biskupa Ordynariusza Edwarda Dajczaka, licznych księży i wielu osób ze świata kultury. Śpiewy solistów i chóru w kościele, a także na cmentarzu przy grobie stanowiły niezwykłą oprawę tej smutnej uroczystości.

Wzruszeniu towarzyszyło artystyczne piękno stworzone przez niezapomnianą Artystkę i Pedagogą, którą już pożegnaliśmy.

Andrzej Zborowski



Kardynał Ignacy Jeż (1914-2007)

Zapiski nie żałobne
o śp. Kardynale Ignacym Jeżu

I., „Kardynał Ignacy”

Testament: gdy idzie o człowieka, panie... to

jedna wielka przygoda. Potrzebuje przewodnika przez życie.

Są takie przykazania, bez których nie da się żyć. Nie deptać upadłego i nie udawać, że nie widzisz zła.

Mieszkanie z tobą w jednym mieście robi ze mnie honorowego obywatela. Czyj honor większy? A Koszalin niech się uczy.

Człowiek kulturalny: stolicą się jest dzięki kulturze, a nie z powodu przejezdnych polityków. Teatr, panie, filharmonia, wystawy – to ludzi podnosi ku górze.

Biskup ciekawy ludzi między bazylikami i „końcami świata”; zabytki kościelne mają służyć modlitwie.

Dachau: co ja wam będę opowiadał o piekle? I tak nie zrozumiecie.

Głód, panie, jest jak wściekły pies: kąsa od środka i zagłusza myśli.

W Kościele co dwunasty to... Judasz. Od początku tak było i trzeba sobie z tym radzić.

Jak się nie modlisz, to oddawaj, panie, pieniądze, które ci pozwalałam zbierać od ludzi (do duchownych).

Co ja tu będę gadał o religii, jak oni domu nie mają?

Klucz do sumienia: miłość.

Z Niemcami umiem się porozumieć, z sowieckimi żołnierzami siedzieliśmy w baraku śmierci, a Polska jest tam, gdzie Polacy.

Nawet komuniście trzeba dać szansę. Choć-ko w OIOM-ie.

Lapidarium w Koszalinie należy się ludziom w ziemi, a deptanie cudzych grobów nie jest żadnym patriotyzmem. Nigdzie. I niech nikt mi nie odbiera prawa do szacunku dla zmarłych!

Uśmiech: nie róbcie ze mnie wesółka na każdą okazję; nie widzicie, że oczy mi łzawią coraz częściej.

Kawały o jeżu same się rodzą. Musiałem się bronić przez całe życie. Dobrze, że nie nazywam się innym zwierzęciem.

Rodzina i szkoła to miejsca, gdzie człowiek się kształtuje. Kościół może tylko pomóc. Albo zepsuć...

Umarł w Rzymie wiedząc o swoim kapeluszu kardynalskim. Jeden dzień z długiego życia i trzeba by zmieniać herb na sarkofag.

„Co też tu się dzieje! Tylko mnie nie ściskajcie za bardzo, bo mi duszno.” (ostatnie słowa wg bpa E. Dajczaka)

Karol zabrał go na obiad do nieba. Jego święto okazało się ważniejsze niż nasze ambicje i plany.

„Za darowane w 1945 roku życie byłem Panu Bogu niepomiernie wdzięczny i stąd płynęła moja pogoda ducha.” (z testamentu odczytane- go w czasie pogrzebu)

Pan Bóg to jakoś poukłada.
I to jest Opatrzność.

II. List i medale

Najpierw dzieci rozpoznały, że jest ktoś taki pośród polskich biskupów, kto nie pasuje na pomnik. Można go nazywać Świętym Mikołajem i się nie obraża. Potem Niemcy i Polacy obarczyli największymi krzyżami w skarbnicach swoich tradycji. Mówili nawet w Rzymie: „Brueckenbauer – budowniczy mostów”. Przy- pomniano, że to ostatni z żyjących sygnatariuszy sławnego listu o pojednaniu z 1965 roku. Niektórzy do dziś pytają: przebaczać, to rozumiemy, ale „prosić o przebaczenie”? My, bohaterowie, husaria i wołodyjowscy...

Warto zatem przytoczyć słowa „za co”, które biskup Jeż podpisał w kiedyś w Rzymie i których bronił do końca.

„Obciążenie obustronnych stosunków ciągle jest jeszcze wielkie, a potęguje je tak zwane „gorące żelazo” tego sąsiedztwa. Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny, masowego niszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na między- aliancki rozkaz zwycięskich mocarstw, wydany w Poczdamie 1945 r.). Większa część ludności opuściła te tereny ze strachu przed rosyjskim frontem i uciekła na Zachód. Dla naszej Ojczy-

zny, która wyszła z tego masowego mordowania nie jako zwycięskie, lecz krańcowo wyczerpane państwo, jest to sprawa egzystencji (nie zaś kwestia większego „obszaru życiowego”). Gorzej – chciano, by 30-milionowy naród wcisnąć do korytarza jakiegoś „Generalnego Gubernatorstwa” z lat 1939 – 1945, bez terenów zachodnich, ale i bez terenów wschodnich, z których od roku 1945 miliony polskich ludzi musiały odpłynąć na „poczdamskie tereny zachodnie”. Dokąd zresztą mieli wtedy pójść, skoro tzw. Generalne Gubernatorstwo razem ze stolicą Warszawą leżało w gruzach, w ruinach. Fale zniszczenia ostatniej wojny przeszły przez kraj nie tylko jeden raz, jak w Niemczech, lecz od 1914 r. wiele razy, to w jedną, to w drugą stronę, jak apokaliptyczni rycerze, pozostawiając za każdym razem ruiny, gruzy, nędzę, choroby, zarazy, łzy, śmierć oraz rosnące kompleksy odwetu. (...)

Prosimy Was, katolicy Pasterze Narodu niemieckiego, abyście na własny sposób obchodzili z nami nasze chrześcijańskie Millenium: czy to przez modlitwy, czy przez ustanowienie w tym celu odpowiedniego dnia. Za każdy taki gest będziemy Wam wdzięczni. I prosimy Was też, abyście przekazali nasze pozdrowienia i wyrazy wdzięczności niemieckim Braciom Ewangelikom, którzy wraz z wami i z nami trudzą się nad znalezieniem rozwiązania naszych trudności.

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu, na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi i Ojcowie Soboru, po bratersku wyciągnięte ręce ujmiacie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millenium w sposób najbardziej chrześcijański.”

Trzeba nam te słowa pamiętać, szczególnie w biskupim Koszalinie, gdzie przed 1945 r. nigdy nie było Polski. Inaczej nie będziemy rozmawiali skąd te państwowe honory Niemiec i Polski, a na końcu zostaną gazetowe banały o wesołym staruszku i jego Orderze Uśmiechu.

III. Elegia

*Trzeba mieć odwagę, by na herbie biskupim
wyrycić groźbę pożaru.*

*Nie minęło nawet pokolenie od wojny,
a w tych stronach czekano z budowaniem.
Ignacy, dziecko dwudziestego wieku,
zaczął opowiadać o Duchu Ogniu,
o tajemnicy stwarzania świata
i przemiany namaszczonego człowieka.
Patrzył na potężne ruiny Kołobrzegu
i mizериę wiosek nad Parsętą.
Szedł do ludzi i zapraszał
na spotkanie przy ognisku
jak w domu, jak w drodze.
Stary harcerz i świadek piekła
powtarzał słowa Mistrza z Jeruzalem
o sądzie, którym jest Światło,
co przyszło na świat:
kto prawy podejździe bliżej,
kto łotr, skryje się w mroku.
I ufał ludziom, którzy chcieli podnosić
mury obalone przez złych
i swoje życie sponiewierane.
Hierarcha nie dawał stopy do całowania;
podawał rękę jak przyjaciel,
łagodnie patrząc w oczy.
Dobrze poznał niemiecki
i nie bał się mówić do sąsiadów.
Tak, sąsiadów, a nie wiecznych wrogów.
Polaków uczył, by się nie deptali
do ostatniej kropli krzywdy.
A gdy przyszła pora odpoczynku,
przywitał w naszym domu Przyjaciela,
Rybaka na głębinie,
i ustąpił mu miejsca
jako większemu bratu.
Ten zabrał go do siebie
przedziwnym znakiem
porzuconej purpury.
Znak ognia i krwi
zostanie jak testament
w imię Ojca:
Veni ignem mittere.*

Ks. Henryk Romanik

Kalendarium

ważniejszych wydarzeń kulturalnych w Koszalinie w 2007 roku

MUZYKA

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

4-5 stycznia Koncert noworoczny; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela de Silva – sopran, Adam Zduńnikowski – tenor

11-12 stycznia Karnawałowe jazzowanie; Wiesław Pieregórka – dyrygent, Andrzej Jagodziński – fortepian, Adam Cegielski – kontrabas, Czesław Bartkowski – perkusja

18-19 stycznia Przeboje Ryszarda Rynkowskiego; Bohdan Jarmołowicz – dyrygent, Ryszard Rynkowski – śpiew

25-26 stycznia Piosenki z repertuaru Haliny Frąckowiak w aranżacji Adama Sztaby; A. Sztaba – dyrygent, Halina Frąckowiak – śpiew, Łukasz Sztaba – fortepian, Bartek Jakubiec – gitara, Patryk Stachura – gitara basowa, Michał Dąbrowka – perkusja

31 stycznia, 1-2 lutego Karnawał w Filharmonii; Tomasz Biernacki – dyrygent, Grażyna Brodzińska – sopran

16 lutego Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Rafał Aleksander Łuszczewski – fortepian

23 lutego Koncert symfoniczny; Adam Klocek – dyrygent, Anna Maria Staśkiewicz – skrzypce

9 marca Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Kaja Danczowska – skrzypce, Tomasz Strahl – wiolonczela

16 marca Koncert symfoniczny; Andrzej Straszynski – dyrygent, Konstanty Andrzej Kulka – skrzypce

30 marca Karol Szymanowski: koncert w 70. rocznicę śmierci kompozytora; Ruben Silva – dyrygent, Sylwia Krzysiek – sopran, Małgorzata Godlewska – alt, Artur Ruciński – baryton, Iuventus Cantans – Chór Akademii Pomorskiej w Słupsku,

Beata Wróblewska – przygotowanie chóru

20 kwietnia W kręgu muzyki portugalskiej; Augusto Mesquita – dyrygent, Natan Dondalski – skrzypce

27 kwietnia Opera w Filharmonii: Tosca G. Puccini; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela de Silva – sopran, Edward Kulczyk – tenor, Przemysław Firek – baryton, Jacek Greszta – bas, Ryszard Smęda – baryton, Marcin Naruszewicz – tenor, Mateusz Teliński – baryton, Katarzyna Szafarska – sopran, Artur Gaca – baryton, Iuventus Cantans – Chór AP w Słupsku, Beata Wróblewska – przygotowanie chóru, Andrzej Zborowski – słowo wiążące

11 maja Koncert symfoniczny; Vladimir Kiradjiev – dyrygent, Mariusz Pędziątek – obój

18 maja Koncert uczniów Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie; Maja Metelska – dyrygent, Mateusz Czekał – perkusja, Tomasz Klepczyński – klarnet, Roksana Kwaśnikowska – skrzypce, Kinga Sobecka – skrzypce, Anna Nowicka – gitara, Dariusz Lampkowski – gitara, Adam Woch – gitara, Kornelia Figielska – skrzypce

25 maja Koncert symfoniczny; Tadeusz Karolak – dyrygent, Adam Wodnicki – fortepian

1 czerwca Inspiracje dziecięce w muzyce; Tadeusz Wojciechowski – dyrygent, Aleksandra Bałdys – fortepian, Katarzyna Gołofit – fortepian, Andrzej Zborowski – narracja

8 czerwca Muzyka Wschodu; Ruben Silva – dyrygent, Joanna Kurkiewicz – skrzypce, Samir Chatteerjee – tabla

7 lipca Lato z Filharmonią: Tosca G. Puccini; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela de Silva – sopran, Edward Kulczyk – tenor, Przemysław Firek – baryton, Jacek Greszta – bas, Ryszard Smęda – baryton, Marcin Naruszewicz – tenor, Mateusz Teliński – baryton, Katarzyna Szafarska – sopran, Chór Opery Nova w Bydgoszczy, Henryk Wierchoń – przygotowanie chóru, Katedralny Chór Męski i Chłopięcy „Cantate Deo”, Maria Wleklńska – słowo wiążące

14 lipca Lato z Filharmonią: Artyści koszalińscy dla Hospicjum; Band Adama Sztaby, Reni Jusis, Kasia Cerekwicka, Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej pod dyrygenturą Adama Sztaby

21 lipca Lato z Filharmonią; Paul Leo Leenen – dyrygent, Chór St. Jacobus Mastholte z Niemiec

28 lipca Lato z Filharmonią; Luis Garcia Alvarez – dyrygent, Chór Camerata Primo Tempo z Hiszpanii

28 września Koncert inauguracyjny 52. sezonu artystycznego 2007/2008; Ruben Silva – dyrygent, Piotr Różański – fortepian, chór żeński Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, Ewa Szereda – przygotowanie chóru

5 października Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Arkadiusz Adamski – klarnet, Roman Widaszek – rógzek basetowy

12 października Koncert z okazji 125. rocznicy urodzin Karola Szymanowskiego; Jacek Rogala – dyrygent, Piotr Pławner – skrzypce, Wojciech Rogowski – aktor

26 października Koncert symfoniczny; Jan Jakub Bokun – dyrygent, Krzysztof Pelech - gitara

9 listopada Koncert symfoniczny; Marzena Diakun – dyrygent, Paweł Wasilewski – kontrabas

16 listopada Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Joanna Ławrynowicz – fortepian

30 listopada Koncert symfoniczny; Paweł Przytockki – dyrygent, Aneta Łukaszewicz – sopran

7 grudnia Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Janusz Witkowski – fagot

14 grudnia Koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Rafał Łuszczewski – fortepian

41. Międzynarodowy Festiwal Organowy

29 czerwca Koszalin: inauguracja Festiwalu; Bogdan Narloch – organy, Eugeniusz Kus – dyrygent, Grażyna Flicińska-Panfil – sopran, Katarzyna Suska-Zagórska – mezzosopran, Wojciech Maciejowski – tenor, Jarosław Bąk – bas, chór Camerata Nova (Szczecin)

6 lipca Koszalin: Christoph Grohmann (Niemcy) – organy, Ruben Silva – dyrygent, Bożena Harasimowicz – sopran, orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

7 lipca Sarbinowo: Waldemar Gawiejnowicz – organy, Anna i Arkadiusz Szafraniec – Glass Duo (szklana harfa)

13 lipca Koszalin: Gail Archer (USA) – organy, chór Ojczyzna (Elżbieta Wtorkowska – dyrygent), chór Repetito (Paweł Łuczak – dyrygent), chór

Cantate Deo (Przemysław Pałka – dyrygent)

14 lipca Białogard: Gail Archer (USA) – organy, Ewa Wadyńska-Wąsikiewicz – mezzosopran, Bogdan Narloch – organy (akompaniament) – koncert w tym samym składzie odbył się 15 lipca w Sarbinowie

19 lipca Darłowo: Jakub Garbacz – organy, Joanna Woszczyk-Garbacz – flet

20 lipca Koszalin: Wolfgang Rosenmüller (Niemcy) – organy, Paul Leo Leenen (Niemcy) – dyrygent, Dziecięco-młodzieżowy chór St. Jakobus z Mastholte (Niemcy), orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

23 lipca Sarbinowo: Ana María López Encinas (Hiszpania) – organy, Mercedes Lorenzo Arnaz (Hiszpania) – dyrygent, chór Camerata Primo Tempo de Zamora (Hiszpania) – ten sam koncert odbył się 24 lipca w Białogardzie oraz 26 lipca w Darłowie

27 lipca Koszalin: Ana María López Encinas (Hiszpania) – organy, Luis Garcia Alvarez (Hiszpania) – dyrygent, Chór Camerata Primo Tempo de Zamora (Hiszpania), orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

3 sierpnia Koszalin: Nils Larsson (Szwecja) – organy, Zespół Muzyki Dawnej Sereno: Kinga Misiak – wokalistka, Maria Dudzik – skrzypce, Maria Papuzińska-Uss – skrzypce barokowe, Jakub Kościukiewicz – wiolonczela barokowa, Ewa Mrowca – klawesyn

4 sierpnia Białogard: Nils Larsson (Szwecja) – organy, Konstantin Bielonogow – dyrygent, Kaliningradzka Obwodowa Kapela Chóralna

7 sierpnia Darłowo: Robert Grudzień – organy, Georgij Agratina (Ukraina) – fletnia Pana, cymbały koncertowe, talinka, sopiłka – ten sam koncert odbył się 8 sierpnia w Sarbinowie

10 sierpnia Koszalin: Stanislav Šurin (Słowacja) – organy, ks. protodiakon Grzegorz Cebulski – dyrygent, chór Oktoich – cerkwi prawosławnej we Wrocławiu

15 sierpnia Sarbinowo: Henryk Gwardak – organy, Małgorzata Komorowska – harfa

17 sierpnia Koszalin: Karol Gołębiowski (Belgia) – organy, Cracow Brass Quintet: Michał Warzecha – trąbka, Bartosz Gaudyn – trąbka, Paweł Dzięwoński – róg, Paweł Cieślak – puzon, Jakub Urbańczyk – tuba

24 sierpnia Koszalin: zakończenie Festiwalu;

Ewa Bąk – organy, Karol Borsuk – dyrygent, orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

Polonijne Lato

8-22 lipca Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych

17-30 lipca Polonijne Warsztaty Edukacyjno-Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży

20-30 lipca Polonijne Warsztaty Chóralne

Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz

15-16 stycznia Koncert w wykonaniu uczniów I sekcji instrumentów smyczkowych

5 marca Koncert w wykonaniu pedagogów ZPSM dla mieszkańców miasta

15 kwietnia Koncert bandurzystów z Wołyńskiej Państwowej Wyższej Szkoły Kultury i Sztuki z Łucka

1-4 czerwca Międzynarodowe Warsztaty Artystyczne Koszalin 2007

1 października Koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki

18 października „Obrazy muzyką malowane” – koncert w ramach Programu Wyrównywania Szans Osób Niepełnosprawnych

20 października Koncert chóru „Żurawli” z Ukrainy

20 grudnia Recital fortepianowy Krzysztofa Dypsa z okazji jubileuszu 30-lecia pracy pedagogicznej Lucyny Hermanowicz

Inne

20 stycznia Noworoczne popisy gitarzystów. Pałac Młodzieży

10 lutego Big Star Jazz: koncert Zbigniewa Namysłowskiego z zespołem. Sala kina „Kryterium”

13 marca Big Star Jazz: Jarosław Śmietana Trio. Domek Kata

22 marca Koncert „barzycki.pl”. Radio Koszalin

30 marca Gryfy i Riffy: koncert Waldemara Gromolaka i Katarzyny Dudy. Domek Kata

2 kwietnia Big Star Jazz: Włodzimierz Nahorny Trio. Domek Kata

10 kwietnia koncert akordeonowy duetu Klau-

dusz Baran-Hubert Giziewski. Sala kina „Kryterium”
21 kwietnia Koncert jazzowy Mack Goldsbury Quartet. Centrala Artystyczna

24 kwietnia Big Star Jazz: koncert D. Błażejczyk

28 kwietnia Gryfy i Riffy: „Open your mind” - koncert Tomasza Osieckiego. Domek Kata

9 maja koncert zespołów „Formacja Nieżywych Schabuff” i „Piersi” inaugurujący XXIX Tydzień Kultury Studenckiej. Amfiteatr

11 maja koncert jazzowy z udziałem Maciej Sikala Trio. Klub „Na Skarpie”

15 maja Big Star Jazz: koncert Grażyny Auguścik. Sala kina „Kryterium”; Koncert zespołu „Stare Dobre Małżeństwo”. „Kreślarnia”

21 maja Koncert jazzowy zespołu „Vespa”. „Kreślarnia”

24 maja Recital Elżbiety Okupskiej. Domek Kata

26 maja Koncert kanadyjskiego gitarzysty i wokalisty Lestera Kissona. „Centrala Artystyczna”

27 maja Koncert piosenek Marka Grechuty „Świecie nasz” w wykonaniu Studia Poezji i Piosenki CK 105. Domek Kata

2-3 czerwca 18. Festiwal Pieśni Religijnej im. Jana Pawła II „Cantate Domino”

3 czerwca Recital Stanisława Sojki. Sala kina „Kryterium”

10 czerwca Gryfy i Riffy: koncert zespołu „Trio Balkan Strings Zoran Starcevic & Sons”. Domek Kata

13 czerwca Koncert zespołu „Ksylofon Kwartet”. Klub Osiedlowy „Na Skarpie”

17 czerwca Piotr Rubik „Psalterz Wrześniowy”. Amfiteatr

20 czerwca Koncert zespołu „Dżem” inaugurujący Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Rynek Staromiejski

22 czerwca Koncert Katarzyny Cerekwickiej. Galeria EMKA

23 czerwca Koncert Anji Garbarek, kończący Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Sala kina „Kryterium”

14 lipca Artyści koszalińscy dla koszalińskiego Hospicjum. Koncert z udziałem Adama Sztaby, Katarzyny Cerekwickiej, Reni Jusis, Adama Krylika, Adama Wojsy i Orkiestry Filharmonii Koszalińskiej. Amfiteatr

27 lipca Koncert finałowy „Polonijnego Lata”. Kościół p.w. Ducha św.

6-8 września Polsko-Niemiecki Festiwal Rockowy „GENERACJA 2007”

20-23 września 7. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej

3-6 października 3. Hanza Jazz Festiwal

2 listopada Big Star Jazz: koncert Patrycjusz Gruszecki Quintet. Domek Kata

2 listopada Zaduszki Jazzowe z udziałem zespołów „Dixieland” i „Ksylofon Kwartet”. Centrum Rozrywki „Na Pięterku”

14 listopada Koncert zespołu „Ksylofon Kwartet”. Klub „Nasz Dom”

14 listopada Koncert jazzowy w wykonaniu Maciej Grzywacz Trio. Klub „Na Skarpie”

15 listopada Muzyczny Salon Radia Koszalin: recital Chopinowski w wykonaniu J. Ławrynowicz

18 listopada Big Star Jazz: „W drodze za widnokres” recital Magdaleny Kumorek. Domek Kata

1 grudnia Koncert zespołu „Ksylofon Kwartet”. Klub „Bałtyk”

2 grudnia Koncert galowy IV Ogólnopolskiego-Festiwalu Piosenki Aktorskiej „Reflektor”. Recital Mariana Opani. Bałtycki Teatr Dramatyczny

3 grudnia Big Star Jazz: koncert Krystyny Prońko

12 grudnia Koncert zespołu „Kasa Chorych”. Domek Kata

TEATR

Bałtycki Teatr Dramatyczny
im. Juliusza Słowackiego

6 stycznia „Stosunki na szczycie” Edwarda Taylora w reż. Jana Tomaszewicza. PREMIERA

9 stycznia „Dziadek do orzechów” muz. Piotr Czajkowski, choreografia Walery Niekrasow

10 stycznia „Królowa Śniegu” Hansa Christiana Andersena w reż. Marka Sitariego – Teatr im. W. Bogusławskiego z Kalisza

21 stycznia Monodram „Shirley Valentine” Willy’ego Russella w reż. Macieja Wojtyzsko, w wykonaniu Krystyny Jandy

23-24 stycznia „Pułapka” Tadeusza Różewicza w reż. Julii Wernio – Teatr im. Stefana Jaracza

z Olsztyna

26 stycznia „Ferdynand” W. Gombrowicza, reż. Waldemar Śmigasiwicz – Teatr Nowy ze Słupska

25 lutego Monodram „... syn” w reż. Michała Siegoczyńskiego, w wykonaniu Zanetty Gruszczynskiej-Ogonowskiej. PREMIERA STUDENCKA

5-6 marca „Calineczka” Hansa Christiana Andersena w reż. Zbigniewa Marka Hassa – Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku

13 marca „Pod niebem Paryża w Café Sax” w reż. Doroty Furman – Teatr Dramatyczny z Elbląga

31 marca „Café Sax” w reż. Cezarego Domagały PREMIERA

21 kwietnia „Dzieła wszystkie Szekspira” A. Longa, D. Singera i J. Winfielda w reż. Piotra Krótkiego. PREMIERA

26 maja „Piękna i Bestia” Františka Hrubina w reż. Czesława Sieńko. PREMIERA

30-31 maja „Ach te baby w... Café Sax” w reż. Ewy Marcinkówny – Teatr Dramatyczny z Elbląga

9 czerwca „Dialogi penisa” Jean-Pierra Thérona w reż. Krzysztofa Galosa. PREMIERA

16-17 czerwca XXXII Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych – Koszalin 2007

28 czerwca „Trzy razy Piaf” w reż. Artura Barcisia

22 września „Dialogi penisa” Jean-Pierra Thérona w reż. Krzysztofa Galosa. PREMIERA PRASOWA

6 października „Kordian” Juliusza Słowackiego w reż. Jana Skotnickiego. PREMIERA

11 października „Dziady” Adama Mickiewicza w reż. Stanisława Otto-Miedzińskiego – Nowy Teatr ze Słupska. Kino „Kryterium”

16-17 października „Nowe przygody Tygryśka Pietrka” w reż. Cezarego Żołyńskiego – Teatr im. J. Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego. Kino „Kryterium”

23-24 października „Śpiąca Królowna” na podstawie baśni Braci Grimm w reż. Stefana Szaciłowskiego – Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego z Płocka. Kino „Kryterium”

27-28 października „Edith i Marlene” Ewy Pataki w reż. Andrzeja Ozgi – Teatr Dramatyczny z Elbląga

29 października „Pamiętniki Adama i Ewy” Marka Twaina w reż. Giovanni’ego Castellanos –

Teatr Dramatyczny z Elbląga

10 listopada „Sceny miłosne dla dorosłych” Zbigniewa Książka w reż. Alberta Osika – Nowy Teatr ze Słupska

24 listopada „Od czasu do czasu” Karoliny Szymczyk-Majchrzak w reż. Zdzisława Derebeckiego
PREMIERA

2 grudnia „Reflektor” – koncert galowy IV Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Aktorskiej oraz recital Mariana Opani

31 grudnia „Taniec ze wspomnieniami” w reż. Jerzego Wojtkowiaka
PREMIERA

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog”
im. Henryki Rodkiewicz

11 stycznia Stefan Canew „Ostatnia noc Sokratesa” w reż. Stefanii Tomaszewskiej

8 lutego Scena Poezji: „Szukam człowieka... wieczór z poezją żydowską” w reż. Marii Ullickiej

22 lutego Sławomir Mrożek „Moniza Clavier” w reżyserii i wykonaniu Edwarda Żentary

1-4 marca 12. Festiwal Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Średnich

17 marca „Wieczór dramatu i poezji w języku angielskim: Lucky Strike z muzyką Dymitra Szostakowicza”

22 marca „Szukam człowieka...” wieczór z poezją żydowską w reż. Marii Ullickiej

5 kwietnia Samuel Beckett, „Play” w reż. Janusza Pławczyka

13-14 kwietnia Spotkanie z aktorką Magdaleną Stuzżyńską oraz „Studium Interpretacji Literatury i Słowa”

10 maja „Fall/staff” w reż. Stanisława Otto-Miedziewskiego z Teatru Rondo ze Słupska

24 maja „Moje piosenki” – recital Elżbiety Okupskiej

1-2 czerwca spotkanie z aktorką Teresą Budzisz-Krzyżanowską oraz „Studium Interpretacji Literatury i Słowa”

31 sierpnia i 1 września Biesiada Teatralno-Muzyczna „Policko 2007”

20 września Tomasz Man „Dobrze” w reż. Stefanii Tomaszewskiej

11 października „Przyj dziewczyno, przyj” w reż.

Stanisława Otto-Miedziewskiego z Teatru Rondo ze Słupska

6 grudnia Wieczór Norwidowski „Wielcy i śmierć” w reż. Marii Ullickiej

LITERATURA

19 stycznia Spotkanie autorskie z Kazimierzem Szymbczko, autorem książek dla dzieci. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 6

1 marca Prezentacja pierwszego zeszytu z cyklu „Źródła do Historii Koszalina”. Archiwum Państwowe

7 marca Spotkanie z Adamem Bujakiem i promocja jego książki „Koszalin – miasto papieskie”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

8 marca „Przytul mnie”. Wiersze Krystyny Gucwicz czyta Krystyna Czubówna. Pałac Młodzieży

2-3 kwietnia Spotkanie z Małgorzatą Strzałkowską, autorką książek dla dzieci. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 9, 11

12 kwietnia Spotkanie z Wiesławem Romanowskim i promocja jego książki „Ukraina: przystanek wolność”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

18 kwietnia Spotkanie inauguracyjne Dyskusyjnego Klubu Książki. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 8

20 kwietnia Wieczór literacko-muzyczny Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy

8 maja Maraton czytania „Małego Księcia”. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 9

25 maja Finał Wojewódzkiego Konkursu „Literacki Start”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

4 czerwca Finał 39. Konkursu Recytatorskiego „Ptaki, Ptaszki i Ptaszeta Polne”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

11 czerwca Promocja książki „Kultura koszalińska. Almanach 2006”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

16 czerwca Spotkanie z Ute Höschele, niemiecką pisarką. Koszalińska Biblioteka Publiczna

16 października Spotkanie z Krzysztofem Petkiem. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 6

17 października Wieczór poetycki w hołdzie Stanisławowi Wyspiańskiemu. Domek Kata

19 października Spotkanie z Barbarą Kosmowską. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 6

24 października Spotkanie z poezją Reginy Adamowicz, Krystyny Pileckiej i Ludmiły Raźniak. Koszalińska Biblioteka Publiczna

26 października Spotkanie z Joanną Olech. Koszalińska Biblioteka Publiczna – Filia nr 1

26 października Finał XII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Buczaka „Istota Człowieka”

6 listopada „Zaduszki poetyckie”, wieczór poetycko-muzyczny w wykonaniu Studia Artystycznego Poezji i Piosenki. Koszalińska Biblioteka Publiczna

9-10 listopada 2. Turniej Recytatorski Twórczości Religijnej. Domek Kata

23 listopada Promocja książki „Biały jest tylko śnieg” Marka Hemerlinga. Księgarnia „Ultrafiolet”

28 listopada „Koszalin czyta Wyspiańskiego”. Plac przed Ratuszem

31 listopada - 1 grudnia Promocja książki „Tuan” i spotkania z Cizią Zykę. „Viva Italia”/ „Akwarium”

1 grudnia Konkurs Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida. Domek Kata

5 - 9 grudnia I Polsko – Ukraińskie Seminarium Literackie. BWSH

7 grudnia Jubileusz 45-lecia pracy twórczej Ryszarda Ulickiego, promocja tomiku „Wierszopienia” i 30-lecie „Kolorowych jarmarków”. Centrum Kultury „Na Pięterku”

12 grudnia Benefis Anatola Ulmana z okazji 50-lecia pracy pisarskiej oraz promocja jego książki „Dzyndzylyndzy, czyli postmortuizm”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

12 grudnia Spotkanie autorskie z Remigiuszem Spólnym. Pałac Młodzieży

14 grudnia Prezentacja drugiego zeszytu z cyklu „Źródła do Historii Koszalina”. Archiwum Państwowe

16 grudnia „Wiersze w świątecznym czasie”. Klub Garnizonowy

WYSTAWY CZASOWE

Muzeum w Koszalinie

19 stycznia - 1 lutego „Postawy roku” 2006

1 - 28 lutego „Rozmyślania”. Poezja Antoniego

Lange. Fotografie Moniki Lange

12 marca - 10 kwietnia Wystawa „Historia porcelany chińskiej od X w. do współczesności”

19 maja „Noc Muzeów”

19 maja - 18 czerwca „Moja przygoda w muzeum”

21 czerwca Wystawa „O szczęśliwą, socjalistyczną wieś polską: socrealizm w polskiej sztuce ludowej”

6 lipca - 2 września „Sexlibris i małe formy plastyczne”. Ze zbiorów Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie. Galeria Sztuki Współczesnej

6 lipca - 15 sierpnia Projekt „Kocham Koszalin”. I edycja, billboard Roberta Knutha „Kocham Koszalin”

6 lipca - 31 grudnia „No 1. Szkic do kolekcji sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie. Kolekcja Osiecka. Sztuka polska lat 70-80.”

3 września - 2 listopada Projekt „Kocham Koszalin” – II edycja. Bilbord Zdzisława Pacholskiego „Kocham Koszalin od dziecka”

20 września - 19 listopada VII Muzealne Spotkania z Fotografiją

19 grudnia - 24 lutego 2008 Wystawa „Kontakt”

19 grudnia - „Kocham Koszalin” – III edycja, billboard „Kocham ten styl życia”, projekt zespołowy Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie oraz pracowni projektowej City Light w Koszalinie pod kierunkiem Ryszarda Ziarkiewicza

Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata”

styczeń-kwiecień „Kubańskie cygara”

maj-czerwiec „Chiny – tradycja i kultura. Cz. I: Tybet – Kraj na Dachy Świata”

wrzesień „Chiny – tradycja i kultura. Cz. II: Chiny – Państwo Środka”

wrzesień-październik „Burano – żyj kolorowo” wystawa fotograficzna Artura Magdziarza

listopad „Chiny – tradycja i kultura. Cz. I: Tybet – Kraj na Dachy Świata”

listopad-grudzień „Tam i z powrotem” – wystawa fotografii Jerzego Zegarlińskiego

Bałtycka Galeria Sztuki

18 stycznia-19 lutego „Oktoberfest” – fotografie Dariusza Materki. Hol Kina „Kryterium”

2 lutego-5 marca „Pejzaż z portretami” wystawa fotografii Michała Pasicha

marzec Wystawa prac Elżbiety Stankiewicz. Hol Kina „Kryterium”

22 marca-16 kwietnia „Rysunki i malarstwo” – wystawa prac Konrada Chmielnickiego. Hol Kina „Kryterium”

29 marca-24 kwietnia Wystawa prac Barbary Wrembel: „Instalacje przestrzenne”

26 kwietnia-11 czerwca „Prywatna lekcja plastyki – w poszukiwaniu prawdy o sztuce i życiu” wystawa malarstwa Roberta Chmielewskiego

27 kwietnia Wystawa „...Walczyliśmy, walczyliśmy, nie poprzestaniemy o Województwo Środkowo-pomorskie”

14-30 czerwca Wystawa fotografii Lidii Lindy

15 czerwca-lipiec Wystawa „Tu byłem! Wolontariusz Europejski”

28 czerwca-2 sierpnia Wystawa fotografii Mike’a Abrahama „Wiara”

9-31 sierpnia Wystawa Grupy 77

6 września-11 października Wystawa „Fala – pod sufitem”

7-23 września Wystawa fotografii Miłosza Wozaczyńskiego. Hol Kina „Kryterium”

11 października-5 listopada 5. jubileuszowa wystawa Group 4 z udziałem Tomasza Mayera

8-30 listopada VIII Ogólnopolskie Biennale Rysunku i Malarstwa

9 listopada Wystawa fotografii uczniów Gimnazjum nr 7 w Koszalinie. Hol Kina „Kryterium”

6 grudnia Wystawa malarstwa Andrzeja Szoki

Galeria „Na Piętrze”

styczeń-marzec Wystawa „Z piętra na parter” z okazji 15-lecia działalności Galerii

31 marca-maj Monika Szpener „Ołtarz na miarę naszych potrzeb”

19 maja-15 czerwca „W stronę światła” – wystawa malarstwa Zbigniewa Rzepeckiego

16-31 czerwca Wystawa z cyklu „Promocja młodych”

dych” Andriej Czernec – malarstwo

lipiec-sierpień Wystawa malarstwa „Nastroje morskie” Witolda Lubinieckiego

wrzesień-październik „Erotyki” – malarstwo i grafika Czesława Tumielewicza

listopad-grudzień Wystawa sztuki współczesnej ze zbiorów własnych: malarstwo i grafika

Galeria „Ratusz”

9 stycznia Wystawa malarstwa Roseline Łazowskiej-Weiss (I p.)

styczeń Wystawa „Gobeliny” Eleonory Goździńskiej (II p.)

16 lutego-kwiecień Wystawa malarstwa Jerzego Gnatowskiego (I p.)

11 marca-19 kwietnia Wystawa fotografii z wypraw wysokogórskich „Adrenalina odpływa, zachwyty pozostaje” (II p.)

20 kwietnia-czerwiec Wystawa malarstwa Romualda Kołodzieja (II p.)

8 maja-czerwiec Wystawa malarstwa Zbigniewa Murzyna „Piękno ziemi ojczystej” (I p.)

wrzesień-październik Wystawa poplenerowa 9. Międzynarodowego Barbórkowego Pleneru Malarskiego Kołobrzeg 2007 (I p.)

wrzesień Wystawa prezentująca dorobek osiedleckiego Międzynarodowego Pleneru Malarskiego „Czas i miejsce dla sztuki” (II p.)

listopad-grudzień Wystawa prac Krzysztofa Tracza (I p.)

listopad-grudzień Wystawa malarstwa Marii Ldziak (II p.)

Galeria „Region”

5-17 stycznia „Notatki z podróży” - wystawa malarstwa Waldemara Jarosza

18-22 stycznia Wystawa fotograficzna poświęcona Włodzimierzowi Wysockiemu

1-20 lutego Tkaniny i batiki z pracowni „Poddasze” i pleneru w Tucznie

22 lutego Wystawa prac członków Mieleńskiego Studia Plastyki

12-23 marca Wystawa „Stanisław Wyspiański – w 100. rocznicę śmierci

26 marca-9 kwietnia Wystawa pokonkursowa „Baśniowy świat krasnali”

13-22 kwietnia „Napoleon w Polsce” – wystawa w rocznicę przemarszu wojsk napoleońskich

21 maja-5 czerwca Wystawa „Koszalin w publikacji i poezji”

11-30 czerwca Wystawa jubileuszowa z okazji 60-lecia Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

12-19 września Wystawa zbiorów i dekoracji Studia Małych Form Se-Ma-For, towarzysząca Festiwalowi Filmowemu „Integracja Ty i Ja”

28 października-7 listopada Wystawa poświęcona zmarłym w 2007 r. artystom i twórcom kultury „Wielcy nieobecni”

9-28 listopada Wystawa z okazji Święta Niepodległości „18 listopada w poezji i publikacjach”

26 listopada Wystawa „90-lecie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich”

8-20 grudnia Wystawa poświęcona Anatolowi Ulmanowi z okazji 50-lecia pracy literackiej

Galeria >Scena<

25-26 stycznia Peter Fuss „jesus christ king of poland”

luty WRO in tour

28 lutego Glosariusz Maliny Tomaszewskiej

21 marca Mazzoli: „Dźwięk dla Koszalina 2007”

13 kwietnia Spotkanie z cyklu „Antropolog w galerii”: wykład dr Marka Wołodźki „Sztuka współczesna a tożsamość etniczna”

9, 16, 23, 30 maja Kosmos: warsztaty, sesje, koncert

13-17 sierpnia 7. Spotkania multimedialne: wystawa „Rybka 707”

13-16 września „Kolorowe bączki i Czerwony Kapturek w Galerii SCENA” w ramach Festiwalu „Integracja Ty i Ja” 2007 - program dla dzieci (również niepełnosprawnych) przygotowany przez studentów Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej z pracowni Agaty Michowskiej i Elżbiety Kalinowskiej

17 października pokaz filmów wideo pt. LIVING VIDEO

18 października Benefis z udziałem Andrzeja Ciesielskiego, Stanisława Wolskiego, Silly Boyz in the Streetz

4 grudnia 16 edycja festiwalu Euroshorts - międzynarodowego festiwalu filmów krótkometrażowych – fabuły, animacji, dokumentu, eksperymentu i reklamy.

6 grudnia Wielkie Euroshorts after party

Inne

6 stycznia „Barwy smaków” – wystawa malarstwa Marii Idziak. Bałtycki Teatr Dramatyczny

19 stycznia-28 lutego Wystawa pokonkursowa 5. Konkursu Satyrycznego „Papkinada”. Pałac Młodzieży

13 lutego Wystawa fotograficzna Marka Wardeckiego „Przyroda w obiektywie”. Galeria „Centrum”

6-31 marca Wystawa prac słuchaczy Państwowego Ogniska Kultury Plastycznej. Galeria „Centrum”

10-31 maja Wystawa „Polacy i Niemcy przeciwko komunistycznej dyktaturze”. Hall Kina „Kryterium”

18 maja-18 czerwca VI Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda”. Pałac Młodzieży

22 maja Ogólnopolska Wystawa z okazji Dni Koszalina „Koszalin i inne zakątki Polski”. Galeria „Centrum”

maj-czerwiec Fotografia litewska ze zbiorów Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego. Galeria Starostwa Powiatowego

19 czerwca Wystawa malarstwa Violetty Ciok-Malinowskiej „Przestrzeń”. Galeria „Centrum”

18 września Wystawa batiku „W poszukiwaniu siebie” Beaty Piwar. Galeria „Centrum”

24 września-31 października Wystawa „Twarze koszalińskiej bezpieki”. Hol Kina „Kryterium”

9 października Wystawa malarstwa na jedwabiu Moniki Kruk i Marianny Niewiarkiewicz-Czerney. Galeria „Centrum”

listopad Wystawa fotografii Fotogruppe Hein Gas z Hamburga. Galeria Starostwa Powiatowego

9 listopada Wystawa w 90. rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej „Czerwony sztandar”. Centrum Rozrywki „Na Pięterku”

9 listopada-31 grudnia Wystawa fotografii „Kraje Bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia”. Pałac Młodzieży

6 grudnia Wystawa „Kwiaty wokół nas”. Pałac Młodzieży

8 grudnia Wystawa malarstwa Krzysztofa Rećko-Rapsy „Oblicza”. Centrala Artystyczna

FILM

20-22 stycznia 5. Międzynarodowy Festiwal Filmów o Włodzimierzu Wysockim „ Pasje według świętego Włodzimierza”

24 stycznia „Miasto Krótkich Filmów – Euroshorts '06: maraton filmów niekomercyjnych”. Kino „Alternatywa”

14 lutego „WRO 06 in Tour”. Kino „Alternatywa”

31 marca-1 kwietnia „Najgorsze Filmy Świata: maraton filmowy”. Kino „Alternatywa”

20-23 czerwca 26. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”

23-24 czerwca Europejski Festiwal Filmów Dokumentalnych „Dokument Art”

13-16 września 4. Europejski Festiwal Filmowy Integracja Ty i Ja – Bajka. Koszalińska Biblioteka Publiczna

21 listopada „WRO 07 in Tour”. Kino Alternatywa

4-6 grudnia Europejski Festiwal Krótkich Filmów „Euroshorts 2007”. Muzeum

INNE WYDARZENIA

3 czerwca 4. Międzynarodowy Festiwal Kataryniarzy. Muzeum

15 lipca Święto Wody 2007. Rynek Staromiejski

28 lipca 13. Festiwal Kabaretu Koszalin 2007. Amfiteatr

14-16 września 12. Polsko-Niemiecki Festiwal Młodzieży

2 października - 10 listopada 15. Koszalińskie Dni Kultury Chrześcijańskiej

Kto jest kim?

Autorzy Almanachu od A do Z

dr hab. Rafał Drozdowski – adiunkt w Zakładzie Socjologii Życia Codziennego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Beata Górecka-Młyńczak – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Joanna Górską - autorka billboardów i akcji ulicznych, współzałożycielka (z Rafałem Góral-skim) Galerii Rusz w Toruniu.

Rafał Góralski - autor billboardów i akcji ulicznych, współzałożyciel (z Joanną Górką) Galerii Rusz w Toruniu.

Anna Guszkowska - studentka V roku Politechniki Koszalińskiej, Instytutu Wzornictwa, na kierunku Wzornictwo Przemysłowe.

Lucyna Hermanowicz - pianistka, pedagog Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie.

Ute Hoeschele – niemiecka pisarka mieszkająca w Austrii.

dr Paweł Gut - historyk, pracownik Archiwum Państwowego w Szczecinie.

ks. Arkadiusz Jędrasik – absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, krytyk muzyczny „Naszego Dziennika” i „Muzyki 21”.

Wojciech Kałużyński – krytyk filmowy .

Roman Lewandowski – krytyk i teoretyk sztuki, niezależny kurator. Mieszka w Krakowie.

Rafał Jakubowicz - malarz, twórca filmów wideo i instalacji, doktorant w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wykładowca. Członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki - AICA.

prof. dr hab. Wojciech Kacalak - kierownik Katedry Mechaniki Precyzyjnej na Wydziale Mechanicznym Politechniki Koszalińskiej.

Jadwiga Koprowska – dziennikarka Radia Koszalin.

Anna Kowal – starszy bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Paulina Malinowska-Kowalczyk - tłumaczka, dziennikarka, na stałe współpracuje z TVP S.A.

ks. dr hab. Jerzy Machnac - filozof i ksiądz katolicki.

Anna Maria Marcinek-Drozdalska – specjalista do spraw wydawnictw w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Stanisław Miedziewski – reżyser teatralny, założyciel i szef artystyczny Ośrodka Teatralnego „Rondo” w Słupsku.

Paweł Mielcarek – student Wydziału Ekonomii i Zarządzania Politechniki Koszalińskiej. Z zamiłowania fotoreporter. Solista Męskiego Chóru Katedralnego „Cantate Deo” w Koszalinie.

dr Ewa Miśkiewicz-Zebrowska – artysta grafik, komisarz plenerów „Czas i miejsce dla sztuki” w Osiekach.

Anna Mosiewicz – etnograf, publicystka wydawanego w Koszalinie Ogólnopolskiego Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik”.

Józef Narkowicz – dziennikarz „Głosu Koszalińskiego”.

Izabela Nowak – dziennikarka, publicystka Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik”.

Agnieszka Okrzeja - niezależny kurator. Redaktorka www.spam.art.pl, współpracuje z różnymi magazynami i galeriami.

prof. dr hab. inż. Szymon Pałkowski - kierownik Katedry Konstrukcji Metalowych Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska Politechniki Koszalińskiej.

Grażyna Preder – dziennikarka Radia Koszalin
dr Katarzyna Radecka – asystentka w Pracowni Projektowania Wnętrz i Wystaw w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej.

Anna Małgorzata Rawska – dziennikarka Radia Koszalin.

ks. Henryk Romanik - ksiądz katolicki, duszpasterz koszalińskich środowisk twórczych, bibliosta, poeta.

Kazimierz Rozbicki - kompozytor, dyrygent, pedagog, krytyk muzyczny.

Danuta Siess-Krzyszowska - pracownik Centrum Bibliografii Polskiej Estreicherów UJ. Tłumaczka książki Ireny Wysockiej „Mój brat Wysocki”. Mieszka i pracuje w Krakowie.

Maria Słowik-Tworke - dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Monika Szumowska – historyk sztuki, pracownik Muzeum w Koszalinie.

dr Krzysztof Uniłowski – krytyk literatury, adiunkt w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Mateusz Wodyk - student prawa Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor serwisu internetowego Katedra.

Stanisław Wolski – artysta plastyk, do roku akademickiego 2006/7 pracownik Instytutu Wzornictwa na Politechnice Koszalińskiej.

Julita Wójcik – absolwentka Wydziału Rzeźby ASP w Gdańsku. Performerka, autorka akcji artystycznych. Mieszka i pracuje w Gdańsku.

Andrzej Zborowski - śpiewak, znawca i popularyzator muzyki.

Ryszard Ziarkiewicz – kierownik Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie.

Małgorzata Zychowicz – bibliotekarz w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Spis treści

I • MUZYKA

1. **Kazimierz Rozbicki**, Rok kontynuacji ze świąteczkiem w tunelu. Filharmonia Koszalińska w 2007 r. • **8**
2. **Ks. Arkadiusz Jędrasik**, Od Volckmara do Cwojdziańskiego, Muzyka Pomorza na CD. • **17**
3. **Beata Młyniczak-Górecka**, Jazzowe rytmy i akordeonowe brzmienia. • **19**
4. **Lucyna Hermanowicz, Maria Słowik-Tworke**, Salon Muzyczny Radia Koszalin. Dobry - ale mało! • **24**

II • TEATR

1. **Izabela Nowak**, Oddycham razem z publicznością... Sylwetka aktorki Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej. • **28**
2. **Krytycy** o nagrodzonym monodramie Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej ...Syn". • **30**
3. **Jagoda Koprowska**, Udana powtórka z Osieckiej „Café Sax” w BTd. • **31**
4. **Izabela Nowak**, O dwoistości męskiej natury. „Dialogi penisa” w BTd. • **33**
5. „Kordian” w BTd – zapis fotograficzny. • **35**
6. **Izabela Nowak**, Artystyczne Biesiady w Policku. • **37**
7. **Stanisław Miedziewski** – „Wesele” na jednego aktora i zmechanizowane pałuby. • **41**

III • LITERATURA

1. **Krzysztof Uniłowski**, Anatol Ulman – strażnik śmietnika. • **46**
2. **Ks. Jerzy Machnacz**, Edyta Stein – Przewodniczka Europejek i Europejczyków. Recenzja książki ks. Henryka Romanika, „Przewodniczka po Europie”. • **54**
3. **Małgorzata Zychowicz**, Poznać znaczy: zrozumieć. Recenzja książki Wiesława Romanowskiego, „Ukraina. Przystanek wolność”. • **57**
4. **Mateusz Wodyk**, Wcale nie żal... Recenzja książki Marka Hemerlinga „Biały jest tylko śnieg”. • **60**
5. **O książce Tadeusza Zubińskiego**, „Wieża i inne opowiadania”. • **62**
6. **Nowy tomik Ryszarda Ullickiego**, „Wierszopienia”. • **63**
7. **Anna Marcinek-Drozdalska**, Z duchem czasu. 60-lecie Koszalińskiej Biblioteki Publicznej. • **64**
8. **Grażyna Preder**, „Mniej deklaratywności, więcej działań...” Rozmowa z prof. Mykołą Zymomrą po I Polsko-Ukraińskiej Konferencji Literackiej w Koszalinie. • **67**

IV • SZTUKA I ARCHITEKTURA

1. **Ryszard Ziarkiewicz**, Multimedialne Lubieszewo. Co po „Osiekach”? • **72**
2. **Agnieszka Okrzeja**, Pamięć o plenerowym genius loci. • **76**
3. **Ewa Miśkiewicz-Zebrowska**, Nowa dekada plenerów osieckich. • **79**
4. **Stanisław Wolski**, Dwie wystawy. Wspólne przedsięwzięcia Muzeum Narodowego w Szczecinie i Muzeum w Koszalinie. • **81**
5. **Anna Mosiewicz**, Sukces „Nocy Muzeów”. • **84**
6. **Anna Mosiewicz**, Cztery żywioły. Wystawa chińskiej porcelany w Muzeum w Koszalinie. • **86**
7. **Anna Guskowska**, „Przystanek Koszalin . Identyfikator budujący tożsamość” Prezentacja dr Katarzyny Radeckiej”. • **89**

8. Anna Rawska, Debata „Sztuka w przestrzeni publicznej”. • 92

V • FILM

1. Wojciech Kałużyński, W rezerwacie chaosu.

XXVI Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. • **108**

2. Paulina Malinowska-Kowalczyk, Pod patronatem Misia Uszatka.

IV Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja – Bajka”. • **111**

3. Danut Siess-Krzyszowska, Niezapomniane spotkania z Włodzimierzem Wysockim:

(w relacji gościa V Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych „Pasje według świętego Włodzimierza”). • **116**

VI • NASI W ŚWIECIE

1. Rafał Drozdowski, Fotografia jako refleksja. Kilka (socjologicznych) uwag o wystawie

„Koledzy. Spotkanie przez fotografię” i o zdjęciach Zdzisława Pacholskiego. • **122**

2. Roman Lewandowski, Geometria cytatów. O wystawie Andrzeja Ciesielskiego „Rysowanie.

Malowanie VIII” w BWA w Słupsku. • **126**

3. Paweł Mielcarek, Amerykańskie tournée Katedralnego Chóru Męskiego „Cantate Deo”. • 128

4. Małgorzata Kołowska, Nagroda dla Jolanty Rudnik. • 130

5. Młode – zdolne. • 131

VII • MISCELLANEA

1. Monika Szumowska, Pamiątka na piętnastolecie, czyli o albumie „Miasto papieskie Koszalin”. • 136

2. Ute Hoeschele, „Polski - to tylko inny język...” • 139

3. Paweł Gut, „Źródła do historii Koszalina”. Recenzja „Zeszytów Historycznych”. • 143

4. Złoty Medal Gloria Artis dla Marii Hudymowej. • 145

5. Nagrody Prezydenta 2007. • 147

6. Jubileusze: Anatol Ulman, Ewa Nawrocka, Ryszard Ulicki, Zdzisław Pacholski,

Lucyna Hermanowicz. • **149**

VIII • POŻEGNANIA

1. Prof. Zdzisław F. Piątek • 152

2. Leszek Figas • 154

3. Prof. Zdzisław Łosiński • 156

4. Irena Maculewicz-Żejmo • 157

5. Ks. bp. Ignacy Jeż • 160

IX • KALENDARIUM 2007 • 163

X • KTO JEST KIM. Autorzy „Almanachu” od A do Z • 172

